

JEFF LINDSAY



DEXTER

DEMONY DEXTERA

 SAGA
EGMONT

Jeff Lindsay

Demony Dexter

Tłumaczenie Jan Kraśko

Saga

Demony Dextera

Tłumaczenie Jan Kraśko

Tytuł oryginału *Darkly Dreaming Dexter*

Język oryginału angielski

DEXTER SERIES #1: DARKLY DREAMING DEXTER: Copyright

© 2004 by Jeff Lindsay

Copyright © 2004, 2022 Jeff Lindsay i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728516126

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

*Dla Hilary,
która jest dla mnie wszystkim*

1

Księżyc. Cudowny księżyc. Pełny, tłusty, czerwonawy, noc jasna jak dzień i poświata, z którą spływa na ziemię radość, radość, och, jaka radość. Radość i gromki zew tropikalnej nocy, łagodny, jednocześnie dziki ryk wiatru szalejącego we włosach na rękę, głucho zawodzenie światła gwiazd, zgrzytliwy krzyk migotliwie skrzającej się wody.

A wszystko to skamle i błaga, a wszystko to wzmaga żądzę. Żądza. Och, ten symfoniczny, ten przeraźliwy wrzask tysięcy przyczajonych głosów, ten wewnętrzny krzyk, ryk całego jestestwa, wołanie milczącego obserwatora, cichego, bezdusznego, chichoczącego potwora, bestii tańczącej na promieniach księżyca. Głos kogoś, kto jest i nie jest mną, kto szydzi, śmieje się i odzywa, gdy jest głodny, gdy wyje z żądz. A żądza była teraz bardzo silna, zimna, spięta, skulona i sprężona, jak nigdy dotąd nieodparta, zwarta i gotowa – mimo to wciąż czekała i obserwowała, a wraz z nią czekałem i obserwowałem ja.

Czekałem i obserwowałem go od pięciu tygodni. Żądza podszczypywała mnie, poganiała i ponaglała, żebym znowu coś upolował, żebym znalazł kolejnego, żebym go wreszcie dopadł. Od trzech tygodni wiedziałem, że to on, że to ten, od trzech tygodni byliśmy we władzy Mrocznego Pasażera, ksiądz i ja. Przez trzy tygodnie walczyłem z coraz większą presją, z żądzą, tak, z żądzą, która narastała we mnie jak wielka fala, jak olbrzymi grzywacz, który wali się z rykiem na brzeg i zamiast cofnąć się do morza, z każdym tyknięciem zegara jasnej jak dzień nocy jeszcze bardziej potężnieje.

Były to również dni ostrożności, dni, które poświęciłem na sprawdzanie i upewnianie się. Ale nie na sprawdzanie księdza, nie: co do księdza nie miałem wątpliwości już od dawna. Był to czas niezbędny do zdobycia ostatecznej pewności, że można to zrobić jak należy, czysto i schludnie, że wszystko jest całkowicie dograne, zapięte na ostatni guzik. Przecież nie mogli mnie złapać, nie teraz. Zbyt ciężko pracowałem, pracowałem zbyt długo, żeby coś nagle nie wypaliło. Zbyt długo i zbyt pilnie strzegłem mojego małego, szczęśliwego życia.

Poza tym za dobrze się bawiłem, żeby raptem przestać.

Dlatego zawsze byłem ostrożny. Zawsze schludny i porządny. Zawsze przygotowany, żeby wszystko poszło tak, jak trzeba. A kiedy już miałem całkowitą pewność, że pójdzie, analizowałem plan jeszcze raz. Tak jak uczył mnie Harry, niech go Bóg błogosławi, ten dalekowzroczny policjant doskonały, mój przybrany ojciec. Zawsze bądź całkowicie pewny, ostrożny i dokładny, mawiał, i już od tygodnia miałem całkowitą pewność, że wszystko jest tak, jak by tego chciał. I gdy wieczorem wyszedłem z pracy, od razu wiedziałem, że to jest to. Że to ta noc. Że jest w niej coś innego i niezwykłego. Że coś się zaraz wydarzy, że po prostu musi. Tak jak wydarzyło się poprzednio. Tak jak wydarzy się nieraz w przyszłości.

I tak jak tej nocy miało przydarzyć się księdzu.

Nazywał się Donovan. Uczył śpiewu w sierocińcu Świętego Antoniego w Homestead. Dzieci go kochały. I oczywiście on kochał dzieci. Och, i to jak. Poświęcił im całe życie. Nauczył się dla nich kreolskiego i hiszpańskiego. Nauczył się ich piosenek. Wszystko dla nich. Wszystko, co robił, robił dla dzieci.

Dosłownie wszystko.

Obserwowałem go tego wieczoru, tak jak obserwowałem go przez tyle wieczorów przedtem. Widziałem, jak przystanął w drzwiach sierocińca, żeby porozmawiać z małą czarnoskórą dziewczynką, która za nim wyszła. Dziewczynka była bardzo drobna, tak drobna, że wyglądała najwyżej na osiem lat, może nawet na mniej. Usiadł na stopniach i rozmawiał z nią przez pięć minut. Ona też usiadła i zaczęła podskakiwać. Roześmiali się. On oparła się o niego. On pogłaskał ją po głowie. W progu stanęła zakonnica. Patrzyła na nich przez chwilę, zanim coś powiedziała. Potem uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Dziewczynka trąciła głową ramię księdza. Ten objął ją, przytulił, wstał i pocałował ją na dobranoc. Zakonnica roześmiała się i znowu coś powiedziała. Ksiądz jej odpowiedział.

A potem ruszył w stronę samochodu. Nareszcie: spałem się w sobie i zwinąłem jak sprężyna, gotów do ataku, gdy wtem...

Nie. Jeszcze nie teraz. Cztery, pięć metrów od schodów stała furgonetka dozorczy. Gdy ksiądz Donovan ją mijał, rozsunęły się boczne drzwiczki i z wnętrza wychynął mężczyzna z papierosem w ustach. Wychynął, powitał go, a on oparł się o maskę i zaczęli rozmawiać.

Łut szczęścia. Znowu łut szczęścia. W nocie takie jak ta zawsze miałem szczęście. Nie zauważyłem tego mężczyzny, nie wiedziałem, że tam jest. Ale on na pewno zauważyłby mnie. Gdybym nie miał szczęścia.

Wziąłem głęboki oddech. Powietrze wypuszczałem powoli i spokojnie, zimny jak lód. To tylko mały drobiazg. Innych na pewno nie przeoczyłem. Zrobiłem wszystko tak, jak trzeba, tak jak poprzednio, tak, jak należy. Wszystko musiało być dobrze.

Teraz.

Donovan ponownie ruszył do samochodu. Odwrócił się i zawołał do dozorczy. Dozorca pomachał mu od drzwi, zgasił

papierosa i wszedł do sierocińca. Zniknął. Już go nie było.

Szczęście. Znowu szczęście.

Ksiądz poszperał w kieszeni, wyjął kluczyki, otworzył drzwiczki i wsiadł. Włożył kluczyk do stacyjki. Odpalił silnik. I nagle...

Teraz!

Usiadłem na tylnym siedzeniu i zarzuciłem mu pętlę na szyję. Jedno szybkie, śliskie, lecz jakże cudowne szarpnięcie i zrobiona z wytrzymałej żyłki pętla zacisnęła się mocno i pewnie. Ogarnięty paniką ksiądz zdążył tylko cicho sapnąć.

- Teraz jesteś mój - powiedziałem, a on zastygł w przepięknym, niemalże doskonałym bezruchu, jakby wiele razy to ćwiczył, jakby usłyszał ten drugi głos, rechot tkwiącego we mnie obserwatora. - Rób dokładnie to, co każę - dodałem.

Donovan wziął chrapliwy półoddech i zerknął w lusterko. Czekala tam na niego moja twarz w jedwabnej masce, spod której widać było jedynie oczy.

- Rozumiesz? - spytałem i jedwab zafalował mi na ustach.

Ksiądz nie odpowiedział. Patrzył mi w oczy. Szarpnąłem żyłką.

- Rozumiesz? - powtórzyłem nieco łagodniej.

Tym razem kiwnął głową. Podniósł do szyi trzęsącą się rękę, nie wiedząc, co zrobię, jeśli spróbuje dotknąć żyłki. Siniała mu twarz.

Poluźniłem pętlę.

- Bądź posłuszny, a dłużej pożyczysz - powiedziałem.

Wziął głęboki oddech. Słyszałem, jak powietrze rozrywa mu gardło. Zakaszlał i ponownie odetchnął. Ale wciąż siedział bez ruchu, wciąż nie próbował uciekać.

I bardzo dobrze.

Ruszyliśmy. Wypełniał moje rozkazy bez wahania i bez żadnych sztuczek. Przez jakiś czas jechaliśmy

na południe, przez Florida City, a potem kazałem mu skręcić w Card Sound Road. Poczułem, że zaczyna się denerwować, lecz nie zaprotestował. Nie próbował się do mnie odzywać. Ręce trzymał na kierownicy; były blade i tak mocno zaciśnięte, że sterczały mu kłykcie. Świetnie. Znakomicie.

Jechaliśmy na południe jeszcze przez pięć minut, w zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć śpiewu opon i wiatru, potężnej pieśni olbrzymiego księżyca, która wypełniała mi wszystkie żyły, cichego chichotu zawsze czujnego obserwatora i coraz silniejszego, coraz bardziej dudniącego pulsu nocy.

- Skręć tu - poleciłem.

Książd zerknął w lusterko i spotkaliśmy się wzrokiem. Panika próbowała wydłubać mu oczy, zedrzyć mu twarz, rozewrzeć usta, ale...

- Skręć! - powtórzyłem i skręcił. Oklapł za kierownicą, jakby od początku się tego spodziewał, jakby od początku na to czekał, i skręcił.

Droga była tak wąska, że prawie niewidoczna. Trzeba było wiedzieć, że tu jest. Ale ja wiedziałem. Ja byłem tu przedtem. Miała cztery kilometry długości, trzy zakręty i wiła się w wysokiej trawie i między drzewami nad małym kanałem, by skończyć się na leżącej wśród bagnisk polanie.

Przed pół wiekiem ktoś zbudował tu dom. Znaczna część domu wciąż jeszcze stała. Sądząc po wielkości ruin, musiał być duży. Kiedyś. Teraz miał tylko trzy pokoje i pół dachu i nie widać tu było śladu bytności człowieka.

Nigdzie z wyjątkiem starego warzywniaka na bocznym podwórzu. Bo w warzywniaku ktoś niedawno kopał.

- Stań - powiedziałem, gdy światło reflektorów wyłowiło z mroku rozpadające się ściany.

Donovan natychmiast mnie posłuchał. Strach sparaliżował go i wcisnął głębiej w ciało, usztywnił mu myśli i kończyny.

- Wyłącz silnik - dodałem i od razu go wyłączył.

Zapadła głucha cisza.

Na drzewie zaświergotało coś małego i niewidocznego. Trawą poruszył wiatr. A potem zapadła cisza jeszcze cichsza, cisza tak głęboka, że niemal zagłuszyła ryk nocnej muzyki pulsującej w moim sekretnym ja.

- Wsiadaj.

Ksiądz ani drgnął. Nie odrywał wzroku od warzywniaka.

Widać tam było siedem kopczyków ziemi. Ziemi czarnej w świetle księżyca. Dla niego musiała być jeszcze czarniejsza. Mimo to wciąż ani drgnął.

Szarpnąłem żyłką i zacisnąłem pętlę mocniej, niż się spodziewałem, tak mocno, że poczułem, iż tego nie przeżyje. Wygiął kark, wyszły mu żyły na czole i pomyślał, że zaraz umrze.

Ale nie umarł. Jeszcze nie. Owszem, miał umrzeć, ale dopiero za jakiś czas.

Żeby poczuł, jak bardzo jestem silny, otworzyłem kopniakiem drzwiczki i wywlokłem go z samochodu. Upadł ciężko na piaszczystą ścieżkę i zaczął się tam wic jak ranny wąż. Mroczny Pasażer wybuchnął śmiechem: spodobało mi się to, dlatego z pasją odegrałem moją rolę. Postawiłem nogę na piersi księdza i zacisnąłem pętlę.

- Musisz mnie słuchać i robić to, co każe - powiedziałem. Nachyliłem się i lekko poluźniłem żyłkę. - Powinieneś o tym wiedzieć. To ważne.

Usłyszał mnie. W nagłym przebłysku zrozumienia poruszył oczami nabiegłymi bólem, krwią i spływającymi na policzki łzami, poruszył nimi i gdy spotkaliśmy się wzrokiem, ujrzał wreszcie to, co go czekało. Wreszcie to zobaczył. I pojął, że musi się odpowiednio zachowywać, że to niezmiernie istotne. Zaczął to sobie uświadamiać.

- Wstań.

Wypełnił rozkaz powoli, bardzo powoli, nie odrywając ode mnie wzroku. Staliśmy tak długo, patrząc sobie prosto w oczy, on i ja, jak jedna osoba, ogarnięte żądzą jestestwo, i nagle zadrzał. Podniósł rękę, żeby dotknąć twarzy, lecz opuścił ją bezwładnie w połowie drogi.

- Wejdz do domu - poleciałem mu cicho i och, jak łagodnie. Do domu, gdzie wszystko było przygotowane.

Spuścił oczy. Po chwili podniósł wzrok, ale nie mógł już na mnie patrzeć. Odwrócił się, lecz nagle przystanął, ponownie ujrawszy kopczyki czarnej ziemi w warzywniaku. Chciał na mnie spojrzeć, lecz nie mógł, nie po tym, jak zobaczył tonące w księżycowej poświacie kurhanki.

Ruszył przed siebie, a ja trzymałem go jak na smyczy. Szedł posłusznie, ze zwieszoną głową, jak grzeczna, potulna ofiara. Pięć stopni zniszczonych schodów, wąski taras, zamknięte drzwi. Przystanął. Nie podniósł głowy. Nawet na mnie nie zerknął.

- Otwórz - rzuciłem miękko.

Zadrzał.

- Otwórz drzwi - powtórzyłem.

Lecz on nie mógł ich otworzyć.

Pochyliłem się, przekręciłem klamkę i wepchnąłem go tam kopniakiem. Potknął się, zatoczył, odzyskał równowagę i ponownie przystanął z mocno zaciśniętymi powiekami.

Zamknąłem drzwi. I zapaliłem elektryczną lampę na podłodze tuż za progiem.

- Spójrz - szepnąłem.

Powoli i ostrożnie otworzył jedno oko.

Zamarł.

Czas stanął w miejscu, przynajmniej dla niego.

- Nie - rzucił.

- Tak - odparłem.

- Och, nie - powtórzył.
- Och, tak - odrzekłem.
- Nie! - krzyknął głośno i przeraźliwie.

Szarpnąłem żyłką. Krzyk momentalnie ucichł i Donovan upadł na kolana. Zaskowyczał, chrapliwie zaskomlał i ukrył twarz w dłoniach.

- Tak - powiedziałem. - Okropne, prawda?

Zamknął oczy, zamknął je wraz z całą twarzą. Nie mógł na to patrzeć, nie teraz, nie tak. W sumie to mu się nie dziwiłem, bo widok był naprawdę koszmarny. Świadomość tego koszmaru denerwowała mnie od chwili, gdy zorganizowałem tę wystawę. Ale on musiał ją obejrzeć. Musiał. Nie tylko ze względu na Mrocznego Pasażera. Musiał ją obejrzeć ze względu na samego siebie. Musiał. Musiał, lecz nie oglądał.

- Niech ksiądz otworzy oczy - rozkazałem.
- Proszę... - zaskowyczał cicho i płacząco.

Bardzo się zdenerwowałem, choć nie powinienem - zimna krew, najważniejsze to zimna krew - ale naprawdę wkurzyłem się, że jęczy tak i szlocha na widok tych okropieństw, dlatego podciąłem mu nogi i powaliłem go na podłogę. Szarpnąłem żyłką, prawą ręką chwyciłem go za szyję i grzmotnąłem głową, a właściwie twarzą w brudne, wypaczone deski. Pocięło trochę krwi, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło.

- Otwórz - syknąłem. - Otwórz oczy. Otwieraj. Ale już! I patrz! - złapałem go za włosy i odchyliłem mu głowę. - Rób, co mówię. Patrz. Albo odetnę ci powieki.

Zabrzmiało to bardzo przekonująco. Dlatego mnie posłuchał. I zrobił to, co kazałem. Popatrzył.

Ciężko pracowałem, żeby wszystko wyglądało tak, jak trzeba, ale cóż, musiałem radzić sobie z tym, co miałem.

Nic by z tego nie wyszło, gdyby nie zdążyły obeschnąć, najgorzej, że były takie brudne. Większość ziemi udało mi się usunąć, ale niektóre leżały w warzywniaku bardzo długo, dlatego trudno było powiedzieć, gdzie zaczynała się ziemia, a gdzie kończyło ciało. Ale jeśli dobrze się zastanowić, nigdy się tego nie wie. Były takie brudne, takie brudne...

W sumie leżało ich tam siedem, siedem małych ciał, siedem bardzo brudnych sierotek na gumowych prześcieradłach, które są o wiele porządniejsze od zwykłych, no i nie przeciekają. Siedem sztywnych, prościutkich zwłok ułożonych nogami do drzewi.

I do księdza Donovana. Żeby wiedział.

Żeby wiedział, że już niedługo do nich dołączy.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

Szarpnąłem żyłką.

- Nie, nie, księżo, nie teraz. Teraz chodzi o prawdę.

- Proszę... - wycharczał.

- O tak, proś mnie, błagaj. Tak jest lepiej. O wiele lepiej. - Szarpnąłem żyłką jeszcze raz. - Siedmioro? Tylko siedmioro? Oni też błagali?

Donovan nie miał najwyraźniej nic do powiedzenia.

- Myśli ksiądz, że są tu wszystkie? Naprawdę? Tylko siedmioro? Czyżbym żadnego nie przeoczył?

- O Boże... - wychrypiął z jakże miłym dla ucha bólem.

- A jak było w innych miastach, księżo? Na przykład w Fayetteville. Chciałby ksiądz o tym porozmawiać?

Donovan wydał zduszony szloch, ale wciąż milczał.

- Albo w East Orange. Ile ich tam było? Troje? A może jednak któreś pominąłem? Nie wiem, tak trudno o pewność... A więc troje czy czworo, księżo?

Próbował krzyknąć. Miał za bardzo ściśnięte gardło, żeby coś z tego wyszło, ale włożył w to dużo uczucia i uczucie

to zrekompensowało wyraźne niedociągnięcia techniczne. Tak więc krzyknął, a potem upadł na twarz. Pozwoliłem mu trochę pochlipać, szarpnąłem żyłką i postawiłem go na nogi. Chwiał się, zupełnie nad sobą nie panował. Stracił też panowanie nad pęcherzem i bardzo się ślinił.

- Błagam - wydyszał. - Nie mogłem się powstrzymać. Proszę, musi mnie pan zrozumieć...

- Ależ ja księdza rozumiem.

Musiał usłyszeć coś w moim głosie, w głosie Mrocznego Pasażera, który teraz przeze mnie przemawiał, i to coś zmroziło mu krew w żyłach. Powoli podniósł głowę, spojrzał mi w oczy i zamarł na widok tego, co w nich zobaczył.

- Rozumiem doskonale - ciągnąłem, zbliżając twarz do jego twarzy. Pokrywający ją pot zmienił się w lód. - Bo widzi ksiądz, ja też nie mogę się powstrzymać.

Staliśmy teraz bardzo blisko siebie, niemal się dotykaliśmy i nagle miałem dość bijącej z niego ohydy. Zacisnąłem pętlę i ponownie go podciąłem. Runął na podłogę.

- Ale dzieci? - rzuciłem. - Nie mógłbym tego zrobić dzieciom. Nigdy. - Postawiłem mój czysty but na jego głowie i przygniotłem mu twarz do podłogi. - W przeciwieństwie do ciebie, księżo. Nigdy nie zabijam dzieci. Szukam takich jak ty.

- Kim jesteś? - wyszeptał.

- Początkiem - odparłem. - Początkiem i końcem wszechrzeczy. Twoim antystwórcą, księżo.

Strzykawkę miałem przygotowaną, dlatego igła weszła w szyję tak, jak powinna, pokonując lekki opór zeszywniałych mięśni i nie musząc pokonywać żadnego oporu ze strony księdza. Wcisnąłem tłok, opróżniłem zbiorniczek i Donovana szybko wypełnił czysty, błogi spokój. Minęło kilka sekund, ledwie kilka sekund i zachwiała mu się głowa, i spojrzał na mnie nieprzytomnie.

Czy mnie widział? Czy widział moje podwójne gumowe rękawice, starannie zapięty kombinezon i obcisłą, jedwabną maskę? Czy naprawdę mnie widział? A może działo się to w innym pokoju, w pokoju Mrocznego Pasażera, schludnym, nieskazitelnie czystym, pomalowanym na biało przed dwoma dniami, starannie zamiecionym, wmytym, odskrobanym, wyszorowanym i wysprejowanym? A czy widział stół? Tam, pośrodku pokoju z oknami uszczelnionymi grubymi, gumowymi prześcieradłami, dokładnie pośrodku, pod zwisającymi z sufitu lampami – czy wreszcie zauważył ten prowizoryczny stół, białe pudła z workami na śmieci, butelki z chemikaliami, krótki rząd pił i noży? Czy w końcu zobaczył tam mnie?

A może wciąż widział te brudne grudy na podłodze, siedem podłużnych grud, siedem i Bóg wie ile jeszcze? I czy wreszcie zobaczył siebie samego, czy zobaczył, jak rozkłada się w warzywniaku tak samo jak one?

Nie, oczywiście, że nie. Nie mógł tego zobaczyć. Nie pozwalała mu na to wyobraźnia. I nic dziwnego. Bo przecież wiedziałem, że w przeciwieństwie do dzieci, z których zrobił coś ohydneho, on się w tę ohydę nie zmienia. Że nigdy bym do tego nie dopuścił i nie dopuszczę. Że nie jestem taki jak on, że jestem potworem innego rodzaju.

Że jestem potworem porządnym.

Bycie schludnym i porządnym wymaga oczywiście czasu, ale jest tego warte. Warte, bo zadowala Mrocznego Pasażera, bo na długo go ucisza. Tak, warto jest robić to czysto i porządnie. Usunąć z tego świata jeszcze jedną kupę brudu. Kilka starannie zapakowanych toreb, kilka worków na śmieci i ten mały zakątek świata będzie miejscem czystszy i szczęśliwszym. Lepszym.

Zostało mi osiem godzin. I żeby zrobić to tak, jak należy, potrzebowałem wszystkich ośmiu.

Przywiązałem go do stołu taśmą samoprzylepną, rozciąłem mu ubranie i go rozebrałem. Z czynnościami przygotowawczymi uporałem się bardzo szybko: mycie, golenie, wygładzanie wszystkiego tego, co nieporządnie sterczało. Jak zwykle poczułem to cudowne, powoli narastające napięcie, to ogarniające całe ciało pulsowanie. Wiedziałem, że będzie tak narastało przez cały czas, narastało i unosiło mnie ze sobą do samego końca, do chwili, gdy żądza i ksiądz Donovan odpłyną razem na cofających się do morza falach.

Tuż zanim przystąpiłem do poważnej pracy, otworzył oczy. Już nie było w nich strachu; to się czasem zdarza. Spojrzał na mnie i poruszył ustami.

- Co? - spytałem i nachyliłem się nad nim. - Nie słyszę.

Cicho odetchnął. Powoli i spokojnie wypuścił powietrze, powtórzył to, co powiedział przedtem, i ponownie zamknął oczy.

- Nie ma za co - odparłem i zabrałem się do roboty.

2

O wpół do piątej nad ranem był już sprawiony i oporzędzony. A ja czułem się o niebo lepiej. Jak zawsze po. Zabijanie poprawia mi nastrój. Rozpuszcza tę nieznośną gulę w brzuchu dobrego, kochanego Dextera. Przynosi słodką ulgę, otwiera wszystkie zaworki w ciele. Lubię moją pracę; przykro mi, jeśli was to drażni. Naprawdę mi przykro, i to bardzo. Ale cóż. Poza tym nie chodzi oczywiście o zabijanie byle jakie. Chodzi o zabijanie w odpowiedni sposób, w odpowiednim czasie, z odpowiednim współnikiem i partnerem - to bardzo skomplikowane, lecz konieczne.

I zawsze nieco wyczerpujące. Dlatego byłem zmęczony, ale napięcie, które trawiło mnie od tygodnia, wreszcie znikło i znowu mogłem być sobą. Znowu mogłem być ekscentrycznym, zabawnym, beztrioskim, martwym w środku Dexterem. Już nie Dexterem nożownikiem czy Dexterem mścicielem. Tylko zwykłym Dexterem. Przynajmniej do następnego razu.

Zakopałem dzieci w warzywniaku, tuż obok ich nowego sąsiada, i najdokładniej, jak tylko mogłem, wysprzątałem stary, rozlatujący się dom. Zapakowałem rzeczy do samochodu księdza i pojechałem nad kanałek, gdzie czekała moja pięciometrowa łódź, motorówka o małym zanurzeniu i z wielkim silnikiem. Zepchnąłem samochód do wody i wszedłem na pokład. Z pokładu patrzyłem, jak wóz tonie i znika. Gdy zniknął, odpaliłem silnik i powoli wypłynąłem na zatokę, biorąc kurs na północ. Właśnie wschodziło słońce i świat skrzył się w jaskrawym blasku. Przybrałem mój najszcześliwszy wyraz twarzy; ot, kolejny wędkarz wracający

do domu po nocnej wyprawie. Czy ktoś ma ochotę na smażonego okonia?

O wpół do siódmej byłem już w Coconut Grove, czyli w domu. Wyjąłem z kieszeni szkiełko mikroskopowe, prostokątny kawałek zwykłego, czyściutkiego szkła z pojedynczą kroplą krwi księdza pośrodku. Krwi czystej, już zakrzepłej, tak że mogłem ją teraz obejrzeć pod mikroskopem – teraz albo potem, żeby trochę wspominać. Szkiełko dołączyło do kolekcji trzydziestu sześciu innych czyściutkich szkiełek z trzydziestoma sześcioma kroplami zakrzepłej krwi.

Wziąłem wyjątkowo długi prysznic, żeby gorąca, och, jak gorąca woda rozluźniła mi mięśnie, zmyła ze mnie resztki nocnego napięcia, lepki zapach księdza i ziemi z ogrodu przy domu na moczarach.

Dzieci. Powinienem był zabić go dwa razy.

Nie wiem, dlaczego tak się ze mną porobiło, wiem jednak, że jestem wypalony, pusty w środku i niezdolny do uczuć. Że po prostu udaję. Ale myślę, że nie ma w tym niczego niezwykłego. Jestem pewien, że w codziennych kontaktach udaje mnóstwo ludzi, przynajmniej po trosze. Ja udaję całkowicie, zawsze i wszędzie. Udaję bardzo dobrze i nigdy niczego nie odczuwam. Ale lubię dzieci. Nigdy nie mógłbym ich napastować czy molestować, ponieważ seks w ogóle mnie nie kręci, wprost przeciwnie. Chryste, jak można robić te wszystkie dziwne rzeczy? Gdzie poczucie godności? A dzieci – dzieci to coś innego, coś wyjątkowego. Ksiądz Donovan zasługiwał na śmierć. Postąpiłem zgodnie z kodeksem Harry'ego i zaspokoilem Mrocznego Pasażera.

Kwadrans po siódmej znowu byłem czysty i odświeżony. Wypiłem kawę, zjadłem płatki i pojechałem do pracy.

Gmach, w którym pracuję, jest duży, nowoczesny, biały, przeszklony i stoi niedaleko lotniska. Moje laboratorium mieści się na pierwszym piętrze, trochę z tyłu. Za laboratorium mam

gabinet. Niby nic wielkiego, ale przynajmniej jest mój, ot, mały, ciasny boks oddzielony od głównej sali laboratorium krwi. Tak, wszystko tu jest moje. Nikomu nie wolno tu wchodzić, nikomu nie wolno tu niczego dotykać i bałaganić. Biurko, krzesło i drugie krzesło dla gościa, pod warunkiem że gość nie będzie za duży. Komputer, półka, szafka na dokumenty. Telefon. Automatyczna sekretarka.

Gdy wszedłem, sekretarka zamrugwała do mnie czerwonym światłem. Wiadomość. Do mnie. To rzadkość. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu na świecie żyje bardzo niewiele osób, które mają coś do powiedzenia specjaliście od analizy śladów krwi, zwłaszcza podczas godzin pracy. Jedną z nich jest Debora Morgan, moja przybrana siostra. Policjantka, tak samo jak jej ojciec.

Zatem wiadomość była przeznaczona dla mnie. Tak, bez dwóch zdań.

Wcisnąłem guzik, wysłuchałem brzękliwej, elektronicznej melodyjki i wreszcie rozległ się głos Debory.

- „Dexter, zadzwoni do mnie, jak tylko przyjdiesz. Proszę. Jestem w terenie, w motelu Cacique na Tamiami Trail... - Pauza. Zasłoniła ręką słuchawkę i coś do kogoś powiedziała. Potem buchnęła głośna, meksykańska muzyka i Debora odezwała się ponownie. - Możesz przyjechać natychmiast? Proszę cię, Dex...”

I odłożyła słuchawkę.

Nie mam rodziny. To znaczy, o ile wiem. Gdzieś tam musi istnieć ktoś, kto nosi podobny garnitur genów, jestem tego pewien. Bardzo mu współczuję. Jemu albo im. Ale nie, nigdy ich nie spotkałem. Nie szukałem ich, nawet nie próbowałem, a oni nie próbowali odszukać mnie. Adoptowali mnie i wychowali Harry i Doris Morganowie, rodzice Debory. I zważywszy to, kim jestem, odwalili kawał dobrej roboty, prawda?

Obydwoje już nie żyją. Tak więc Deb jest jedyną osobą na świecie, którą choć odrobinę obchodzi, czy jeszcze żyję, czy już nie. Mało tego. Z powodu, którego za nic nie potrafię zgłębić, moja przybrana siostra wolałaby, żebym jednak żył. Uważam, że to bardzo miłe i gdybym tylko miał i potrafił okazywać uczucia, obdarowałbym wszystkimi właśnie ją.

Dlatego tam pojechałem. Wyjechałem z parkingu przed Metro-Dade i skręciłem na pobliską autostradę prowadzącą na południe i przecinającą Tamiami Trail w dzielnicy, gdzie zbudowano motel Cacique oraz setki jego braci tudzież sióstr. Na swój sposób to prawdziwy raj. Zwłaszcza dla karaluchów. Rzędy budynków, które jakimś cudem błyszczą i jednocześnie rozsypują się w proch. Jaskrawe neony na dachach starych, ohydnych, zmurszałych, na wskroś przegniłych domów. Jeśli nie pójdziesz tam w nocy, nie pójdziesz tam nigdy. Bo widzieć to miejsce za dnia to tak, jak widzieć sedno naszej nędznej umowy z życiem.

Dzielnica taka jak ta jest w każdym większym mieście. Jeśli garbaty karzeł w zaawansowanym stadium trądu zapragnie seksu z kangurzycą i nastoletnim chórzystą, na pewno trafi tutaj i dostanie pokój. A gdy już skończy swoje, może zaprosić ich do pobliskiej knajpki na kubańską kawę i kanapkę *medianoche*. Bo jeśli tylko da suty napiwek, nikt się nimi nie zainteresuje.

Debora spędzała tam ostatnio bardzo dużo czasu. O wiele za dużo. Jej zdaniem, nie moim. Bo ja uważam, że nie ma lepszego miejsca dla policjantki, która chce zwiększyć statystyczne prawdopodobieństwo nakrycia kogoś na czymś naprawdę strasznym.

Ale ona widziała to inaczej. Może dlatego, że pracowała w obyczajówce. Ładna dziewczyna z obyczajówki, pracująca na Tamiami Trail, kończy zwykle jako przynęta, stojąc niemal zupełnie nago na ulicy i czyhając na facetów, którzy chcą

zapłacić za seks. Deb tego nie znosiła. Prostytycja jej nie brała, może tylko jako zjawisko socjologiczne. Uważała, że nagabywanie i podpuszczanie klientów nie ma nic wspólnego ze zwalczaniem przestępczości. I - o czym wiedziałem tylko ja - nie znosiła też niczego, co jeszcze bardziej podkreślało jej kobiecość i piękną figurę. Chciała być policjantką; to nie jej wina, że bardziej przypominała dziewczynę z rozkładówki.

Wjeżdżając na parking, łączący motel Cacique z jego najbliższym sąsiadem, Tito Café Cubano, stwierdziłem, że jej kobiecość tudzież wspaniała figura nie wymagają dobitniejszego podkreślenia. Była w jaskraworóżowym topie, szortach ze spandeksu, czarnych kabaretkach i w wysokich szpilkach. Jakby za chwilę miała wejść na plan kolejnego odcinka *Dziwek Hollywoodu* w trzech wymiarach.

Przed kilku laty ktoś z kryminalnej dostał cynk, że alfonsi śmieją się z nich na ulicy. Wyglądało na to, że stroje dla udających prostytutki policjantek kupowali policjanci, a więc mężczyźni. Dobór ubrań mówił bardzo dużo o ich preferencjach seksualnych, lecz ubrania te bynajmniej nie przypominały tych, jakie nosiły prawdziwe prostytutki. Dlatego dosłownie każdy mógł wyłowić wśród nich tę, która nosiła w torebce blachę i pistolet.

Otrzymawszy cynk, gliniarze zaczęli nalegać, żeby pracujące na ulicy funkcjonariuszki dobierały sobie stroje same. Ostatecznie kobiety znają się na tym lepiej niż mężczyźni, prawda?

Większość z nich to robi. Ale nie Debora. Bo Debora najlepiej czuje się w mundurze. Szkoda, że nie widzieliście, w czym chciała wystąpić na balu maturalnym. A teraz... Nigdy w życiu nie widziałem pięknej kobiety w tak skąpym ubraniu, która miałaby mniej seksapilu niż ona.

Mimo to rzucała się w oczy. Z blachą na obcistym topie próbowała okiełznać tłum gapiów. I była bardziej widoczna niż sześćset metrów żółtej taśmy ostrzegawczej, którą rozwiesili policjanci, i trzy stojące pod kątem radiowozy z migającymi kogutami. Jaskraworóżowy top dawał po prostu silniejszy rozbłysk.

Uwijała się po prawej stronie parkingu, robiąc wszystko, żeby tłum nie przeszkadzał technikom, którzy – tak to przynajmniej wyglądało – namiętnie grzebali w knajpianym pojemniku na odpadki. Ucieszyłem się, że nie przydzielono do tego mnie. Bijący z pojemnika smród zalewał cały parking i przez okno wdzierał się do samochodu duszący fetor fusów południowoamerykańskiej kawy wymieszany z odorem gnijących owoców i rozkładającej się wieprzowiny.

Wjazdu pilnował gliniarz, którego znałem. Przepuścił mnie machnięciem ręki i znalazłem wolne miejsce.

– Cześć, Deb – powiedziałem, podchodząc do siostry. – Ładne ubranko. Znakomicie podkreśla figurę.

– Wal się – mruknęła, czerwieniąc się jak piwonia; u dorosłej policjantki to naprawdę niesamowity widok. – Znaleźli kolejną prostytutkę. A przynajmniej myślą, że to prostytutka. Na podstawie tego, co z niej zostało, trudno to stwierdzić na pewno.

– To już trzecia w ciągu ostatnich pięciu miesięcy – zauważyłem.

– Piąta. Dwie znaleziono w Broward. – Deb pokręciła głową. – A te dupki twierdzą, że to sprawy bez związku.

– Sprawy ze sobą powiązane pociągnęłyby za sobą mnóstwo papierkowej roboty – podsunąłem jej uprzejmie.

Drapieżnie obnażyła zęby.

– A może by tak, kurwa, usiedli na dupie i trochę popracowali, co? – warknęła. – Przecież to podstawy. Debil

by zobaczył, że te morderstwa się z sobą łączą. - Lekko się wzdrygnęła.

Patrzyłem na nią zadziwiony. Była policjantką córką rasowego policjanta. Nic jej nie ruszało. Kiedy zaczynała pracować i starsi koledzy po fachu robili te swoje sztuczki, chcąc, żeby zwróciła lunch - z lubością pokazywali jej na przykład poćwiartowane zwłoki, które w Miami znajduje się codziennie - Deb nawet nie mrugnęła okiem. Nie mogli jej niczym zaskoczyć. Była tam, wszystko widziała, kupiła nawet podkoszulek z napisem.

Ale to zabójstwo przyprawiało ją o dreszcze.

Ciekawe.

- To jest chyba inne, prawda? - spytałem.

- Inne, bo popełniono je, kiedy byłam na służbie i wystawałam na rogu z dziwkami. - Wycelowwała we mnie palcem. - A to z kolei znaczy, że muszę w tej sprawie zadziałać, dać się zauważyć i załatwić sobie przeniesienie do wydziału zabójstw.

Posłałem jej promienny uśmiech.

- Czyżby zżerała cię ambicja?

- Żebyś wiedział - fuknęła. - Mam dość obyczajówki i tych wyuzdanych kiecek. Chcę pracować w zabójstwach, a to jest mój bilet. Jeśli mi się pofarci... - Urwała. A potem powiedziała coś zupełnie niezwykłego. - Proszę, pomóż mi, Dex. Ja naprawdę tego nienawidzę.

- „Proszę”? - powtórzyłem. - Ty mnie prosisz? Zaczynam się denerwować.

- Przestań pieprzyć, Dexter.

- Ale naprawdę...

- Przestań. Pomożesz mi czy nie?

Skoro tak to ujęła, z tym dziwnym, jakże rzadkim u niej „proszę”, które długo pobrzmiwało mi w uszach, czy mogłem

odpowiedzieć inaczej niż:

- Oczywiście, że ci pomogę. Przecież wiesz.

Przeszyła mnie wzrokiem. O „proszę” nie było już mowy.

- Nie, Dexter, nie wiem - warknęła. - Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

- Naturalnie, że ci pomogę - powtórzyłem jak ktoś, komu zrobiono przykrość. I przekonująco udając, że głęboko uraziła moją godność osobistą, ruszyłem w stronę pojemnika, gdzie grasowały policyjne szczury.

Camilla Figg grzebała w odpadkach, szukając odcisków palców. Była krępa, miała trzydzieści pięć lat, krótkie włosy i nigdy nie reagowała na moje radosne i jakże czarujące komplementy. Ale gdy tylko mnie spostrzegła, ukłękła, zaczerwieniła się i bez słowa odprowadziła mnie wzrokiem. Ona tak zawsze. Gapiła się na mnie, a potem się czerwieniła.

Na odwróconej do góry dnem skrzynce na mleko na drugim końcu pojemnika siedział Vince Masuoka. Siedział i też grzebał w odpadkach. Był półkrwi Japończykiem i często mawiał, że przypadła mu w udziale ta krótsza połowa. Oczywiście żartował, a przynajmniej twierdził, że to żart.

W jego szerokim, azjatyckim uśmiechu było coś sztucznego. Jakby nauczył się uśmiechać z książki z obrazkami. Nikt się nie wściekał na niego nawet wtedy, kiedy próbował opowiadać kolegom świńskie kawały, czego w tym środowisku bezwzględnie wymagano. Nikt się z nich co prawda nie śmiał, ale to bynajmniej go nie zniechęcało. Wykonywał wszystkie rytualne gesty, ale gesty te zawsze wyglądały sztucznie. Chyba dlatego go lubiłem. Był kolejnym facetem, który udawał człowieka, tak samo jak ja.

- Dexter? - rzucił, nie podnosząc wzroku. - Co cię tu sprowadza?

- Przyjechałem zobaczyć, jak pracują prawdziwi zawodowcy w prawdziwie zawodowej atmosferze. Widziałeś tu jakichś?

- Ha, ha - odparł. Miało to zabrzmieć jak śmiech, ale wypadło jeszcze sztuczniej niż uśmiech. - Pewnie myślisz, że jesteś w Bostonie. - Znalazł coś, podniósł to do światła i zmrużył oczy. - Ale tak na poważnie. Po co przyjechałeś?

- A dlaczego miałbym nie przyjeżdżać? - odparłem, udając, że się obruszyłem. - To miejsce zbrodni, prawda?

- Analizujesz ślady krwi. - Vince odrzucił na bok to, co oglądał, i zaczął szukać dalej.

- To już wiem.

Spojrzał na mnie ze swoim najszerszym i najbardziej sztucznym uśmiechem na ustach.

- Dex, tu nie ma krwi.

Zakręciło mi się w głowie.

- Jak to?

- Ani kropli. Ani w pojemniku, ani na pojemniku, ani obok pojemnika. To najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Tu nie ma krwi. Słowa te rozbrzmiewały mi w głowie coraz głośniej i głośniej. Ani kropli lepkiej, brudnej, ohydnej krwi. Żadnych rozbryzgów. Żadnych plam. Ani kropli krwi!

Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Poczułem się jak kawałek układanki, który dopasował się nagle do czegoś, co jeszcze przed chwilą uważał za skończone i kompletne.

Dexter i krew - nie chcę udawać, że rozumiem, o co w tym układzie chodzi. Wystarczy, że o tym pomyślę i od razu zaciskają mi się zęby, a przecież badanie krwi było przedmiotem moich studiów, jest moim zawodem, częścią mojej pracy. Najwyraźniej ma to związek z czymś głębszym, ale w sumie mało mnie to interesuje. Jestem tym, kim jestem, poza tym, czy to nie uroczy wieczór? W sam raz na wiwisekcję kolejnego dzieciobójcy.

Ale to...

- Dobrze się czujesz? - spytał Vince.

- Fantastycznie - odparłem. - Jak on to robi?

- To zależy.

Zerknąłem w dół. Vince trzymał w ręku garść kawowych fusów i grzebał w nich palcem.

- Od czego?

- Od tego, kim jest i co robi. Ha, ha.

Pokręciłem głową.

- Jesteś jak zwykle nieodgadniony i zagadkowy, ale czasami przeginasz. Jak zabójca pozbywa się krwi?

- Na razie trudno powiedzieć. Jak dotąd znaleźliśmy tyle co nic. Poza tym ciało jest w kiepskim stanie, więc będzie ciężko.

To było już znacznie mniej interesujące. Lubię zostawiać zwłoki czyste i starannie oporzędzone. Precz z brudem, bałaganem i ociekającymi krwią ciałami. Jeśli morderca był tylko kolejnym kundlem memłającym nadgryzioną kość, nic dla mnie nie znaczył.

Odetchnąłem.

- Gdzie ciało?

Ruchem głowy wskazał miejsce pięć, sześć metrów dalej.

- Tam, gdzie LaGuerta.

- O rety. To ona prowadzi tę sprawę?

Znowu się uśmiechnął i znowu sztucznie.

- Nasz morderca ma fart.

Popatrzyłem w tamtą stronę. Wokół sterty czyściutkich worków na śmieci stała grupka ludzi.

- Nic nie widzę.

- Tam. W workach. Po jednej części w każdym. Pokroił ją na kawałki i każdy kawałek owinął jak prezent pod choinkę. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Oczywiście, że widziałem.

Ja też tak robię.

3

Kiedy miejsce zbrodni tonie w jaskrawym słońcu Miami, jest w nim coś dziwnego i rozbijającego. Ofiara najbardziej odrażającego zabójstwa wygląda wtedy czysto i schludnie, jak na wystawie. Przypomina rekwizyt w nowo otwartej części Disney Worldu poświęconej seryjnym mordercom i kanibalom. Zapraszamy na przejażdżkę chłodnią do przechowywania zwłok! Lunch proszę zwracać tylko do wyznaczonych pojemników.

Nie, żeby widok pokiereszowanych zwłok kiedykolwiek mnie ruszał. Nie, wprost przeciwnie. Owszem, trochę rażą mnie zwłoki zapaskudzone, uwalane płynami ustrojowymi – są naprawdę obrzydliwe. Ale na pozostałe mogę patrzeć jak na żeberka w sklepie mięsnym. Natomiast nowicjusze i goście, których zaproszono na miejsce zbrodni, zwykle wymiotują. I z jakiegoś powodu ci z Florydy zwracają o wiele mniej niż ci z Północy. Pewnie przez to słońce. Słońce oczyszcza, w słońcu trup wygląda ładniej. Może dlatego kocham Miami. To takie schludne, porządne miasto.

Wstał już piękny, gorący dzień. Każdy, kto przyjechał w marynarce, szukał teraz miejsca, żeby ją powiesić. Niestety, na tym małym, brudnym parkingu trudno było o dobry wieszak. Stał tam tylko pojemnik na odpadki i pięć czy sześć radiowozów. Pojemnik upchnięto w rogu, między tylnymi drzwiami do knajpy a różowym, stiukowym murem, którego szczyt zwieńczono zwojem drutu kolczastego. Między knajpą i parkingiem krążyła młoda, ponura policjantka. Handlowała *café cubano* i ciasteczkami, szybko dobijając targu z zajętymi

pracą policjantami i technikami. Garstka policjantów w garniturach, którzy kręcą się na miejscu zbrodni tylko po to, żeby ktoś ich zauważył albo po to, żeby przycisnąć podwładnych czy też po to, żeby niczego nie przegapić, miała teraz kolejną rzecz do trzymania i przekładania. Kawa, ciastko, marynarka.

Ci z laboratorium garniturów nie nosili. Woleli koszulki do gry w kręgle, takie ze sztucznego jedwabiu, z dwiema kieszeniami. Ja też miałem taką na sobie. Moja była we wzorek przedstawiający czarownika wudu z bębniem pod palmą na soczystozielonym tle. Koszulka była szykowna, lecz praktyczna.

Ruszyłem w stronę grupki stojącej wokół zwłok, a konkretnie w stronę najbliższego policjanta w jedwabnej koszulce. Należała do Angela Batisty-Bez-Skojarzeń, jak się zwykle przedstawiał. Cześć, jestem Angel Batista, tylko bez skojarzeń, proszę. Pracował w biurze lekarza sądowego. I właśnie kucał, zaglądając do jednego z worków.

Podszedłem bliżej. Mnie też ciekawiło, co jest w środku. Coś, co tak bardzo poruszyło Deborę, na pewno było tego warte.

- Jak się masz, Angel? - powiedziałem, stając z boku. - Co tu mamy?

- Mamy? - odparł. - Co znaczy: „mamy”, białasku? Tu nie ma krwi, nic tu po tobie.

- Tak, słyszałem. - Przykucnąłem obok niego. - Zrobił to tutaj czy gdzie indziej?

Batista-Bez-Skojarzeń pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Pojemnik opróżniają dwa razy w tygodniu. Tego nie tykali od dwóch dni.

Rozejrzałem się po parkingu, popatrzyłem na fasadę motelu.

- A do motelu? Zaglądaliście?

Angel wzruszył ramionami.

- Wciąż tam łożą, ale chyba niczego nie znajdują. Pewnie skorzystał z pierwszego lepszego pojemnika i tyle. Hm - mruknął nagle. - Ciekawe...

- Co?

Angel rozchylił worek długopisem.

- Spójrz na to cięcie.

Z worka sterczała noga, blada i wyjątkowo martwa w jaskrawym blasku słońca. Noga, a właściwie kawałek nogi kończący się na kostce, bo stopy za kostką nie było. Widniał na niej wytatuowany motyl z jednym skrzydłem; drugie odcięto wraz ze stopą.

Cicho zagwizdałem. Cięcie wykonano z niemal chirurgiczną precyzją. Ten facet umiał to robić, był w tym równie dobry jak ja.

- Czyściutkie - powiedziałem. Bo takie było, i samo cięcie, i cała reszta. Nigdy dotąd nie widziałem tak eleganckiej, tak pięknie osuszonej, tak schludnie wyglądającej nogi. Była wprost cudowna.

- *Me cago en diez* czystość i porządek - powiedział Angel-Bez- Skojarzeń. - On jeszcze nie skończył.

Nachyliłem się i zająrzałem do worka. Nic się w nim nie ruszało.

- Chyba jednak skończył - odparłem.

- Zobacz. - Angel otworzył sąsiedni worek. - Tę nogę pociął na cztery kawałki. Dokładnie, jak przy linijce albo czymś takim. Widzisz? A tę? - Wskazał nogę bez stopy, którą tak bardzo podziwiałem. - Tylko na dwa? Dlaczego?

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Może detektyw LaGuerta na coś wpadnie.

Spojrzeliliśmy na siebie, z trudem zachowując powagę.

- Może - powiedział Angel i wrócił do pracy. - Idź do niej i zapytaj.

- *Hasta luego* - rzuciłem.

- Prawie na pewno - odparł z głową nad plastikowym workiem.

Przed kilku laty krążyły plotki, że detektyw Migdia LaGuerta dostała się do wydziału zabójstw przez łóżko. Łatwo można było w to uwierzyć, wystarczyło na nią spojrzeć. Wszystko miała na swoim miejscu, była fizycznie atrakcyjna, zawsze poważna, wyniosła, może nawet arystokratyczna. Była też prawdziwą mistrzynią makijażu i świetnie się ubierała, szykownie, jak modelka Bloomingdale'a. Ale nie, krążące o niej plotki nie mogły być prawdziwe. Zaczniemy od tego, że chociaż wyglądała bardzo kobieco, nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, która byłaby bardziej męska. Twarda, ambitna i dbająca o własne interesy, miała tylko jedną ułomność, a konkretnie słabość do wybitnie przystojnych mężczyzn, w dodatku mężczyzn kilka lat od niej młodszych. Jestem przekonany, że nie dostała się do wydziału zabójstw przez łóżko. Dostała się tam, ponieważ jest Kubanką, dobrym politykiem i umie włożyć ludziom w tyłek. Ta kombinacja jest o wiele lepsza niż seks, przynajmniej w Miami.

Tak, LaGuerta umie włożyć ludziom w tyłek, to pewne. Jest w tym świetna, jest absolutną mistrzynią świata. I włożyła w tyłek wszystkim tym, którzy szczebel po szczeblu mogli pomóc jej wejść na sam szczyt i zdobyć tytuł śledczego. Niestety, na szczycie dar ten na nic się jej nie przydał, dlatego była kiepskim detektywem.

To się czasem zdarza; brak kompetencji jest wynagradzany o wiele częściej niż ich nadmiar. Tak czy inaczej, muszę z nią pracować. Dlatego wykorzystałem mój wielki czar, żeby ją urobić. Poszło dużo łatwiej, niż myślicie. Każdy może być czarujący, pod warunkiem że umie udawać, że przechodzą mu przez gardło te głupie, oczywiste, przyprawiające o mdłości komplementy, których sumienie większości z nas mówi

nie pozwala. Na szczęście ja sumienia nie mam. Dlatego je prawię.

Gdy podszedłem do grupki stojącej przy drzwiach, LaGuerta przesłuchiwała kogoś po hiszpańsku. Brzmiało to tak, jakby strzelała z karabinu maszynowego. Znam hiszpański; rozumiem nawet trochę po kubańsku. Ale z jej hiszpańszczyzny rozumiałem tylko jedno słowo na dziesięć. Dialekt kubański jest wyrazem rozpaczki świata hiszpańskojęzycznego. Jego jedynym celem zdaje się wyścig z niewidzialnym stoperem i wypowiedanie myśli w szybkich, trzysekundowych seriach z pominięciem wszystkich spółgłosek.

Ale można go zrozumieć. Cała sztuka polega na tym, żeby domyślić się, co mówiący chce powiedzieć, zanim to powie. Rzecz w tym, że to z kolei przyczynia się do utrwalania swoistej kastowości, na którą tak narzekają nie-Kubańczycy.

Mężczyzna, którego maglowała LaGuerta - niski, śniady, szeroki w barach, o indiańskich rysach twarzy - był wyraźnie przestraszony jej dialektem, tonem głosu i służbową odznaką. Odpowiadając na pytania, próbował na nią nie patrzeć, co powodowało, że LaGuerta mówiła jeszcze szybciej.

- *No, no hay nadie afuera* - odrzekł cicho i powoli, uciekając wzrokiem w bok. - *Todos estan en café.* - Nikogo tu nie było, wszyscy byli w środku.

- *Donde estabas?* - spytała. - A ty gdzie byłeś?

Mężczyzna spojrzał na worki z rozczłonkowanymi zwłokami i szybko odwrócił głowę.

- *Cocina.* - W kuchni. - *Entonces yo saco la basura.* - A potem wyniosłem kubeł.

LaGuerta parła naprzód, miażdżąc go jak buldożer, zadając niewłaściwe pytania tonem głosu, który zastraszał go i poniżał, tak że w końcu biedak zapomniał o horrorze, jaki towarzyszył

mu od chwili znalezienia zwłok w pojemniku, sposepniał i przestał z nią współpracować.

Zagranie godne prawdziwej mistrzyni. Dopaść głównego świadka i obrócić go przeciwko sobie. Jeśli uda ci się spieprzyć sprawę w ciągu kilku pierwszych, tych najważniejszych godzin, zaoszczędzisz wszystkim czasu i papierkowej roboty.

LaGuerta zakończyła paroma groźbami i bardzo szybko go odprawiła.

- *Indio* - prychnęła pogardliwie, gdy odszedł trochę dalej.

- Nie tylko - powiedziałem. - *Campesinos* też tu są.

Spojrzała na mnie, a właściwie otaksowała mnie wzrokiem, powoli i leniwie, podczas gdy ja stałem tam i zastanawiałem się dlaczego. Zapomniała, jak wyglądam? Ale nie, bo w końcu się uśmiechnęła, i to szeroko. Ta idiotka naprawdę mnie lubiła.

- *Hola*, Dexter. Co cię tu sprowadza?

- Dowiedziałem się, że jesteś tu, pani, i nie mogłem się oprzeć. Pani detektyw, kiedy pani za mnie wyjdzie?

Zachichotała. Stojący w pobliżu policjanci wymienili spojrzenia i odwrócili wzrok.

- Nie kupuję butów bez przymiarki - odparła. - Bez względu na to, jak bardzo są ładne. - I chociaż wiedziałem, że na pewno tak jest, nie wyjaśniało to bynajmniej, dlaczego gapiła się na mnie z czubkiem języka między zębami. - A teraz zmiataj, przeszkadzasz mi. Mam tu poważną robotę.

- Właśnie widzę. Schwytaliście już mordercę?

- Mówisz jak pismak - prychnęła. - Te dupki zaraz tu będą.

- Co im pani powie?

Spojrzała na worki i zmarszczyła czoło. Nie dlatego, że ich widok ją poruszał. Widziała tam swoją karierę i już układała oświadczenie dla prasy.

- Że morderca popełni błąd, że to tylko kwestia czasu i że wtedy go złapiemy...

- To znaczy, że do tej pory nie popełnił żadnego, że nie znaleźliście żadnych śladów i że musicie czekać, aż zabije ponownie?

Przeszyła mnie wzrokiem.

- Zapomniałam. Dlaczego ja cię lubię?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zielonego pojęcia, ale wyglądało na to, że ona też nie ma.

- Nie mamy nic, *nada y nada*. Ten Gwatemalczyk... - Zrobiła minę. - Ten Gwatemalczyk znalazł zwłoki, kiedy wyszedł tu z kubłem. Zobaczył, że to nie ich worki, i otworzył najbliższy, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie w nim czegoś dobrego. Znalazł ludzką głowę.

- A kuku - wtrąciłem.

- Co?

- Nic.

LaGuerta rozejrzała się z nachmurzonym czołem. Może miała nadzieję, że wypatrzy jakiś trop i że będzie mogła nim pójść.

- No i tak. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Muszę czekać, aż twoi kumple skończą swoje, może wtedy czegoś się dowiem.

- Witam panią detektyw. - Głos zza pleców. Zmierzał ku nam kapitan Matthews. Wraz z nim podążała wonna chmura, płyn po goleniu od Armaniego, co oznaczało, że zaraz przyjadą tu reporterzy.

- Dzień dobry, kapitanie - odrzekła pani detektyw.

- Przydzieliłem do tej sprawy policjantkę Morgan - oświadczył Matthews. - Jest tajną agentką i jako taka dobrze zna środowisko miejscowych prostytutek, co może wydatnie przyspieszyć rozwiązanie wielu newralgicznych kwestii. - Pewnie miał w głowie tezaurus. I spędził za dużo lat na pisaniu raportów.

- Nie wiem, czy to konieczne, panie kapitanie - odparła LaGuerta.

Matthews zamrugał i położył jej rękę na ramieniu. Kierowanie ludźmi to prawdziwa umiejętność.

- Spokojnie. Zachowa pani wszystkie prerogatywy dowódcze. Jako zwierzchniczka policjantki Morgan będzie pani odbierała jej meldunki. Świadkowie i tak dalej. Jej ojciec był świetnym policjantem. Zgoda? - Popatrzył na drugi koniec parkingu i natychmiast skupił wzrok. Zerknąłem przez ramię. Na parking wjeżdżał wóz transmisyjny wiadomości Kanału 7. - Przepraszam - rzucił kapitan. Poprawił krawat, przybrał poważną minę i ruszył w tamtą stronę.

- *Put* - mruknęła cicho LaGuerta.

Nie wiedziałem, czy była to uwaga o charakterze ogólnym, czy też miała na myśli Deborę, ale pomyślałem, że to odpowiedni moment, by stamtąd odejść, ponieważ pani detektyw mogła w każdej chwili przypomnieć sobie, że policjantka *Put* jest moją siostrą.

Gdy do niej dołączyłem, Matthews witał się już z Jerrym Gonzalezem. Jerry był miejscowym czempionem krwawego dziennikarstwa. Sprawa krwawi, publika się bawi - lubię takich jak on. Ale tym razem czekało go rozczarowanie.

Przeszedł mnie leciutki dreszcz. Ani kropli krwi...

- Dexter. - Debora powiedziała to głosem prawdziwej policjantki, ale nie wiedziałem, dlaczego jest taka podekscytowana. - Rozmawiałam z kapitanem Matthewsem. Przydzielił mnie do tej sprawy.

- Słyszałem. Bądź ostrożna.

Deb szybko zamrugła.

- Bo co?

- Bo to sprawa LaGuerty.

- LaGuerta - prychnęła Deb.

- Tak, LaGuerta. Nie lubi cię i nie chce, żebyś wchodziła jej w paradę.

- No to ma pecha. Jest podwładną kapitana.

- Uhm. I już od pięciu minut myśli, jak to obejść. Dlatego uważaj.

Deb wzruszyła ramionami.

- Czego się dowiedziałeś?

Pokręciłem głową.

- Jeszcze niczego. LaGuerta już się w tym pogubiła, ale Vince powiedział... - Urwałem. Nawet mówienie o tym było czymś zbyt intymnym.

- No?

- To tylko drobny szczegół, Deb, mały detal. Kto wie, co to może znaczyć.

- Nikt nic nie będzie wiedział, dopóki czegoś z siebie nie wydusisz.

- Wygląda na to, że... że w ciele nie ma krwi. Ani kropli krwi.

Debora zamilkła. I długo milczała. Ale nie było w tym żadnej rewerencji, nie to co u mnie. Siostra po prostu myślała.

- Dobra - powiedziała w końcu. - Poddaję się. Co to znaczy?

- Nie wiem. Za wcześnie na wnioski.

- Ale uważasz, że coś w tym jest.

O tak. Był w tym dziwny zawrót głowy. Była w tym chęć dowiedzenia się czegoś więcej o mordercy. Był w tym życzliwy rehot Mrocznego Pasażera, który ledwie kilka godzin po śmierci księdza Donovana powinien był siedzieć cicho. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć, prawda? Dlatego powiedziałem tylko:

- Możliwe, któż to wie?

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Dobra. Coś jeszcze?

- Och tak, i to mnóstwo. Piękne cięcia. Niemal chirurgiczna precyzja. Zamordowano ją gdzie indziej, a ciało podrzuciono tutaj. Wszystko na to wskazuje, chyba że znajdą coś w motelu, w co wątpię.

- Gdzie indziej? To znaczy gdzie?

- Bardzo dobre pytanie. Zadawanie dobrych pytań to połowa sukcesu, w policji też.

- A druga połowa to wysłuchiwanie odpowiedzi.

- Cóż. Nikt nie wie gdzie. Poza tym nie mam jeszcze żadnych danych laboratoryjnych...

- Ale masz przeczucie.

Spojrzałem na nią. Ona spojrzała na mnie. Miewałem przeczucia już przedtem. Nawet z tego słyszałem. Moje przeczucia często się sprawdzały. Bo niby dlaczego miałyby się nie sprawdzać? Znam sposób myślenia zabójcy. Myślę bardzo podobnie. Oczywiście nie zawsze mam rację. Czasami chybiam, i to bardzo. Podejrzanie by to wyglądało, gdybym zawsze trafiał. Poza tym nie chcę, żeby policja wyłapała wszystkich seryjnych morderców. Gdyby ich wyłapała, jakie uprawiałbym hobby? Ale to tutaj... Jak podejść do tego niezwykle interesującego casusu?

- Masz? - napierała Debora.

- Może i mam - odparłem. - Ale jest trochę za wcześnie.

- Cóż, koleżanko Morgan. - Głos LaGuerty. Odwróciliśmy się. - Widzę, że jest pani ubrana jak na policjantkę przystało.

Powiedziała to tak, jakby chciała przylać jej w twarz. Debora zesztyniała.

- Dzień dobry. Znaleźliście coś? - Niby pytała, chociaż ton jej głosu wyraźnie sugerował, że zna już odpowiedź.

Marny strzał. Niecelny. LaGuerta lekceważąco machnęła ręką.

- To tylko dziwki - odparła, spoglądając wymownie na jej rzucający się w oczy dekolt. - Zwykle kurewki. Najważniejsze jest to, żeby prasa nie wpadła w histerię. - Powoli, jakby z niedowierzaniem pokręciła głową i podniosła wzrok. - Ale zważywszy, jak znakomicie radzi sobie pani z siłą grawitacji, nie powinno być z tym żadnych kłopotów. - Puściła do mnie oko i poszła na drugi koniec parkingu, gdzie kapitan Matthews rozmawiał dostojnie z Jerrym Gonzalezem z Kanału 7.

- Suka - syknęła Deb.

- Przykro mi, siostrzyczko. Wolałabyś, żebym powiedział: Pokażemy jej? Czy może: A nie mówiłem?

Łypnęła na mnie spode łba.

- Niech to szlag. Naprawdę chciałabym dorwać tego faceta.

I gdy pomyślałem, że w poćwiartowanym ciele nie znaleziono ani kropli krwi...

Stwierdziłem, że ja też. Że bardzo chciałbym go znaleźć.

4

Tego wieczoru po pracy popłynąłem na przejażdżkę łodzią, żeby uciec od pytań Debory i ustalić, co właściwie czuję. Czuję. Ja. Ja i uczucia. Cóż za skojarzenie.

Powoli wpłynąłem do kanału. Nie myśląc o niczym, w stanie zen doskonałego, sunąłem powoli wzdłuż rzędu domów oddzielonych od siebie wysokimi żywopłotami i ozdobnymi łańcuchami. Odruchowo rozciągnąwszy usta w szerokim uśmiechu, machałem radośnie wszystkim sąsiadom na schludnych podwóreczkach graniczących z zabezpieczającym brzeg wałem. Machałem dzieciom bawiącym się na starannie utrzymanych trawnikach. Mamusiom i tatusiom robiącym grilla, wylegującym się na leżakach, polerującym drut kolczasty i pilnującym swoje pociechy. Machałem dosłownie każdemu. Niektórzy odmachiwali. Znali mnie, widywali mnie na łodzi już przedtem, zawsze wesołego i radośnie wylewnego. To był taki miły człowiek. Bardzo przyjacielski. Nie mogę uwierzyć, że robił te potworne rzeczy...

Wypłynąwszy z kanału, pchnąłem dźwignię przepustnicy i wzięłem kurs na południowy wschód, na Cape Florida. Wiejący w twarz wiatr i słone rozbryzgi wody pomogły mi pozbierać myśli, ukoiły mnie i trochę odświeżyły. Tak, tu myślało mi się o wiele łatwiej. Po części dzięki panującej na wodzie ciszy i spokojowi. A po części dlatego, że zgodnie z najlepszą obowiązującą tu tradycją większość innych motorowodniaków próbowała mnie zabić. Bardzo mnie

to odprężyło. Byłem w domu. Oto moja ojczyzna, oto moi rodacy.

W pracy udało mi się zdobyć trochę informacji z laboratorium. W porze lunchu wiadomość trafiła do krajowych mediów. Po „makabrycznym odkryciu” w motelu Cacique zdjęto cenzurę na morderstwa prostytutek i ci z Kanału 7 odwalili kawał świetnej roboty, opisując horrendalnie poćwiartowane zwłoki w pojemniku i nic w sumie o nich nie mówiąc. Jak celnie zauważyła pani detektyw LaGuerta, były to tylko zwykłe dziwki, lecz gdy za pośrednictwem mediów zaczął wzmacniać się nacisk opinii publicznej, dziwki te równie dobrze mogły być córkami senatorów. Dlatego też policja zaczęła przygotowywać się na długie manewry obronne, doskonale znając wszystkie rozdzierające serce głupoty, jakie będą wygadywać nieustraszeni piechurzy z piątej władzy.

Debora została na parkingu dopóty, dopóki kapitan Matthews nie zaczął się martwić o pieniądze na nadliczbowki i nie odesłał jej do domu. O drugiej po południu zaczęła do mnie wydzwaniać i wypytywać, czego się dowiedziałem, ale było tego niewiele. W motelu nie znaleziono dosłownie niczego. Na parkingu było tak dużo śladów opon, że wszystkie się na siebie nakładały. Stwierdzono całkowity brak odcisków palców i na pojemniku, i na workach, i na zwłokach. Wszystko było czysto i dokładnie jak przed inspekcją tych od BHP.

Pytaniem dnia była lewa noga. Jak zauważył Angel, noga prawa została starannie przecięta w trzech miejscach, w okolicach biodra, kolana i stopy. A lewa nie. Lewą rozcięto tylko na dwie części i części te pieczolowicie owinięto. Aha, powiedziała detektyw LaGuerta, nasz damski geniusz. Morderca nie dokończył pracy, bo ktoś mu przerwał, ktoś go zaskoczył i wystraszył. Bo wpadł w panikę, gdy ktoś

go zobaczył. I cały wysiłek skupiła na poszukiwaniach tegoż właśnie świadka.

W jej teorii był pewien mały problem. Maleńki szczegół, ot, szczegółik, pewnie niewart dzielenia włosa na czworo, ale... całe ciało zostało dokładnie umyte i zapakowane przypuszczalnie już po tym, jak je poćwiartowano. A jeszcze potem zostało ostrożnie przewiezione do pojemnika, z czego wynikałoby, że morderca miał dużo czasu i mógł się w pełni skupić, żeby nie popełnić żadnego błędu i nie pozostawić żadnego śladu. Albo nikt nie wytknął tego LaGuercie, albo - dziw nad dziwy! - nikt tego nie zauważył. Czy to możliwe? Możliwe. Praca policji jest w dużej mierze rutynowa i polega na dopasowywaniu części do układanki. A jeśli układanka była zupełnie nowa, śledztwo mogło przypominać to prowadzone przez trzech ślepców oglądających słońca przez mikroskop.

Ale ponieważ nie byłem ani ślepy, ani ograniczony rutyną, uznałem, że o wiele bardziej prawdopodobne jest to, iż zabójca przestał po prostu odczuwać satysfakcję z tego, co robił. Miał mnóstwo czasu, ale było to już piąte morderstwo według tego samego schematu. Czyżby zwykle ćwiartowanie zwłok zaczęło go nudzić? Czyżby nasz chłopczyk szukał czegoś innego? Nowego kierunku działań, nowej, niewypróbowanej jeszcze podniety?

Niemal czułem, jak bardzo jest sfrustrowany. Zaszedł tak daleko, do samego końca. Wszystko starannie pociął, zapakował i nagle go olśniło: Nie, to nie to. Coś mi tu nie pasuje. *Coitus interruptus*.

Tak, już go to nie zaspokajało. Szukał innego podejścia. Próbował coś wyrazić i nie wiedział jeszcze jak. Moim osobistym zdaniem - a potrafiłem się w niego wczuć - musiało go to bardzo frustrować. I na pewno skłaniało do dalszych poszukiwań.

Tak, będzie próbował. I to już wkrótce.

Ale niech LaGuerta szuka sobie świadka. Nie znajdzie żadnego. Mieliśmy do czynienia z zimnym, ostrożnym potworem, a ja byłem nim absolutnie zafascynowany. Cóż więc mogłem zrobić z tą fascynacją? Nie bardzo wiedziałem, dlatego popłynąłem na przejażdżkę. Żeby pomyśleć.

Kilka centymetrów przed dziobem łodzi z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę przemknęła motorówka. Pomachałem wesoło załodze i wróciłem do rzeczywistości. Dopływałem do Stiltsville, w większości opuszczonej kolonii starych domów na palach w pobliżu Cape Florida. Zatoczyłem wielki, powolny łuk i płynąc donikąd, zatoczyłem również wielki, powolny łuk myślami.

Co robić? Musiałem podjąć decyzję już teraz, zanim okaże się, że udzieliłem Deborze zbyt daleko idącej pomocy. Bo tak, oczywiście, mogłem pomóc jej rozwiązać tę sprawę - nikt nie zrobiłby tego lepiej - zwłaszcza że tamci szli złym tropem. Pytanie tylko, czy chciałem. Czy chciałem, żeby go aresztowano? Czy też chciałem znaleźć i powstrzymać go sam? I czy na pewno chciałem - och, ta mała, rozkosznie dręcząca myśl - żeby przestał zabijać?

Co robić?

Po prawej stronie w gasnącym świetle dnia widziałem Elliott Key. I jak zwykle przypomniała mi się moja wycieczka z Harrym Morganem. Moim przybranym ojcem. Dobrym gliniarzem.

„Ty jesteś inny, Dexter”.

Tak, Harry, na pewno.

„Ale możesz nauczyć się nad tą innością panować i wykorzystywać ją konstruktywnie”.

Dobrze, Harry. Skoro tak uważasz. Tylko jak?

No i mi powiedział.

Gdy ma się czternaście lat i jest się na wycieczce z ojcem, nigdzie indziej nie ma tak rozgwieżdżonego nieba jak na południowej Florydzie. Nie ma, nawet jeśli ojciec jest przybrany. I nawet jeśli widok tych wszystkich gwiazd napełnia cię tylko swoistą satysfakcją, bo żadne uczucia nie wchodzi w grę. Po prostu nic nie czujesz. Między innymi dlatego tu jesteś.

Ognisko przygasa, gwiazdy są aż za jaskrawe, przybrany ojciec od jakiegoś czasu milczy, popijając ze starodawnej piersiówki, którą wyjął z bocznej kieszeni plecaka. Nie jest w tym dobry, bo w przeciwieństwie do wielu innych gliniarzy prawie nie pije. Ale piersiówka jest już pusta i jeśli w ogóle ma to powiedzieć, wie, że musi powiedzieć to teraz albo nigdy.

- Ty jesteś inny, Dexter - zaczyna.

Odrywam wzrok od jasnych gwiazd. Ogień powoli dogasa i na małej piaszczystej polanie tańczą cienie. Niektóre przemykają przez jego twarz. Ojciec wygląda dziwnie, nigdy dotąd tak nie wyglądał. Jest zdeterminowany, smutny i trochę pijany.

- To znaczy jaki, tato?

Harry ucieka wzrokiem w bok.

- Billupowie mówią, że Buddy zniknął.

- Hałaśliwy kundel. Szczekał przez całą noc. Mama nie mogła spać.

Mama potrzebowała snu, to było oczywiste. Człowiek umierający na raka musi dużo odpoczywać, a ten mały, wstrętny pies z naprzeciwka szczekał na każdy liść niesiony przez wiatr po chodniku.

- Znalazłem grób - ciągnie ojciec. - Było w nim mnóstwo kości. Nie tylko kości Buddy'ego.

Cóż mogę powiedzieć. Biorę powoli garść igliwia i czekam.

- Od kiedy to robisz?

Sonduję wzrokiem jego twarz, a potem patrzę przez polanę na brzeg. Stoi tam nasza łódź, kołysząc się łagodnie na wodzie. Po prawej stronie widać światła Miami, miękką, białą lunę nad miastem. Teraz z kolei czeka tato. Nie umiem go rozgryźć, nie wiem, dokąd zmierza, co chce usłyszeć. Ale jest człowiekiem na wskroś porządnym i uczciwym i prawda dobrze na niego działa. Zawsze wszystko wie albo wszystkiego się dowiaduje.

- Od półtora roku - mówię.

Ojciec kiwa głową.

- Dlaczego zacząłeś?

Bardzo dobre pytanie, z tym że mnie przerasta, bo mam dopiero czternaście lat.

- Bo... Nie wiem. Jakoś tak... Bo musiałem. - No proszę, taki młody, a jaki wygadany.

- Słyszysz jakieś głosy? - pyta ojciec. - Coś czy ktoś mówi ci, co masz robić, a ty go słuchasz?

- No... - odpowiadam z elokwencją czternastolatka - niezupełnie.

- To jak to jest?

Och, żeby tak wzeszedł księżyc, dobry, tłusty księżyc, żeby tak miał coś większego do patrzenia. Biorę z ziemi kolejną garść igliwia. Mam gorącą twarz, jakby tata wypytywał mnie o seksualne sny. Chociaż w sumie...

- No, wiesz - mówię. - To jest tak, jakbym... jakbym to czuł. Tu, w środku. Jakby to coś mnie obserwowało. Jakby się tam... śmiało. Nie prawdziwym śmiechem, tylko... - I wymownie wzruszam ramionami.

Ale tato chyba coś z tego zrozumiał.

- I to coś... To coś każe ci zabijać.

Po niebie pełnie powoli wielki odrzutowiec.

- Nie, nie każe. Tylko... Tylko myślę wtedy, że to dobry pomysł.

- Czy chciałeś kiedyś zabić coś innego? Coś większego niż pies?

Próbuję odpowiedzieć, ale mam ściśnięte gardło. Odchrząkam.

- Tak - mówię.

- Człowieka?

- Nikogo konkretnego. Po prostu... - Znowu wzruszam ramionami.

- To dlaczego nie zabiłeś?

- Bo... Bo by się to wam nie spodobało. Tobie i mamie.

- Tylko dlatego?

- Nie chciałem... Nie chciałem, żebyś się na mnie wściekł. No, wiesz. Nie chciałem cię zawieść.

Zerkam na niego ukradkiem. Patrzy na mnie, ani mrugnie.

- To dlatego zabrałeś mnie na wycieczkę? - pytam. - Żeby o tym porozmawiać?

- Tak - mówi tato. - Trzeba cię naprostować.

Naprostować, o tak. Naprostować zgodnie z tym, jak - według niego - powinno się żyć, żyć ze starannie zasłanymi łózkami i na błysk wypucowanymi butami. Ale już wtedy wiedziałem swoje. Wiedziałem, że to, iż od czasu do czasu muszę coś zabić, wcześniej czy później wejdzie w konflikt z koncepcją naprostowywania.

- Ale jak? - pytam, a on patrzy na mnie przeciągle i widząc, że podążam za tokiem jego myślenia, wreszcie kiwa głową.

- Grzeczny chłopiec - mówi. - No więc... - I zamiast coś powiedzieć, długo milczy. Patrzę na światła łodzi przepływającej dwieście metrów od naszej małej plaży. Ponad warkotem silnika niesie się głośna kubańska muzyka. - No więc... - powtarza tato i przenoszę na niego wzrok.

Ale on spogląda na dogasające ognisko, w przyszłość, która się tam czai. - No więc, to jest tak. - Uważnie słucham. Tato zawsze tak zaczyna, kiedy chce wygłosić prawdę wyższego rzędu. Zaczynał tak, kiedy pokazywał mi, jak narzucać podkreconą piłkę, jak zadać cios lewym sierpowym. „To jest tak”, mówił i zawsze tak było, dokładnie tak. - Starzeję się, Dexter. - Odczekał chwilę, żebym zaprotestował, a kiedy nie zaprotestowałem, kiwnął głową. - A ludzie starsi patrzą na świat inaczej. I nie chodzi o to, że z wiekiem miękną czy widzą, że oprócz czarnego i białego jest jeszcze szary. Naprawdę myślę, że pewne rzeczy rozumiem teraz inaczej. Lepiej. - Posyła mi to swoje spojrzenie, spojrzenie niebieskich oczu Harry'ego, kochające i twarde.

- Aha - mówię.

- Dziesięć lat temu wysłałbym cię do jakiegoś zakładu czy gdzieś. - Szybko mrugam. Jego słowa bołą, lecz ja też o tym myślałem. - Ale teraz znam cię lepiej niż kiedyś. Wiem, kim jesteś i wiem, że dobry z ciebie chłopiec.

- Nie - mówię głosem cichym i słabym, ale tato mnie słyszy.

- Tak - powtarza stanowczo. - Wiem, że dobry z ciebie chłopiec. Po prostu wiem. - Mówi jakby do siebie, może dla większego efektu, a potem patrzy mi prosto w oczy. - Gdyby było inaczej, nie obchodziłoby cię, co myśli mama czy ja. Po prostu to robisz. Nie możesz się powstrzymać, nic na to nie poradzisz. A robisz to dlatego... - Milknie i przez chwilę tylko na mnie patrzy. Czuję się bardzo nieswojo. - Co pamiętasz z dzieciństwa? - pyta. - No, wiesz. Sprzed adopcji.

Przeszłość wciąż mnie boleśnie dręczy, ale nie wiem dlaczego. Miałem tylko trzy lata.

- Nic.

- To dobrze. Nikt nie powinien tego pamiętać. - Do końca życia nie powiedział na ten temat nic więcej. - Ale chociaż tego

nie pamiętasz, coś cię wtedy bardzo odmieniło. Dlatego jesteś taki, jaki jesteś. Rozmawiałem o tym z paroma ludźmi. – I, dziwnie nad dziwnie, posyła mi ten słaby, jakby nieśmiały uśmiech: uśmiech Harry'ego. – Spodziewałem się tego. Ukształtowało cię to, co przydarzyło ci się, kiedy byłeś mały. Próbowałem z tym walczyć, ale... – Tato wzrusza ramionami. – To jest za silne, za głęboko w tobie siedzi. Utkwiło za wcześnie i już tam zostanie. I będzie ci kazało zabijać. Nic na to nie poradzisz. Nie dasz rady tego zmienić. Ale... – dodaje i odwraca wzrok, żeby popatrzeć na coś, czego nie widzę. – Ale możesz to skanalizować. Kontrolować. Możesz wybierać... – Szuka słów, dobiera je starannie niż kiedykolwiek przedtem. – Możesz wybierać to, co chcesz zabić. To albo... tych. – I patrzy na mnie z najbardziej nieprawdopodobnym uśmiechem, jaki u niego kiedykolwiek widziałem, z uśmiechem posępnym i suchym jak popiół w dogasającym ognisku. – Jest wielu takich, którzy na to zasługują.

I tymi kilkoma słowami ukształtował całe moje życie, ukształtował dosłownie wszystko, moją osobowość i to, kim jestem. Ten cudowny, ten wszechwidzący i wszechwiedzący człowiek. Harry. Mój tato.

Gdybym tylko był w stanie kochać, och, jak bardzo bym go kochał.

To było tak dawno temu. Tyle lat upłynęło od jego śmierci. Ale jego nauki wciąż żyły. Nie dlatego, że buzowały we mnie ciepłe, łzawe uczucia. Żyły dlatego, że Harry miał rację. Wielokrotnie się o tym przekonałem. Harry wiedział i dobrze mnie nauczył.

„Bądź ostrożny”, mówił. I nauczył mnie ostrożności tak dobrze, jak tylko policjant mógł nauczyć mordercę.

Nauczył mnie starannie wybierać ofiary wśród tych, którzy na to zasługiwali. Kazał mi je w nieskończoność sprawdzać.

A potem po sobie sprzątać. Nie zostawiać żadnych śladów. I zawsze unikać zaangażowania emocjonalnego; takie zaangażowanie prowadzi do błędów.

Bycie ostrożnym wykraczało oczywiście daleko poza samo zabijanie. Oznaczało też budowanie ostrożnego życia. Szufiadkuj. Bądź towarzyski. Udawaj, że naprawdę żyjesz.

I żyłem, och, jak ostrożnie. Byłem niemal doskonałym hologramem. Hologramem poza wszelkimi podejrzeniami, poza wstydem, hańbą i pogardą. Byłem miłym, porządnym potworem, chłopakiem z domu naprzeciwko. Oszukałem nawet Deborę, może nie do końca, ale na pewno połowicznie. No, ale ona wierzy oczywiście tylko w to, w co chce wierzyć.

Teraz wierzyła, że mogę pomóc jej rozwiązać sprawę tych morderstw, wepchnąć ją na pierwszy stopień kariery zawodowej, wyrwać z tego hollywoodzkiego seksstroju i wbić w pięknie skrojony służbowy kostium. Miała rację. Oczywiście, że miała rację. Mogłem jej pomóc. Ale nie bardzo chciałem, ponieważ lubiłem podziwiać owoce pracy tego drugiego, ponieważ czułem, że mamy podobny smak estetyczny, że jestem...

Zaangażowany emocjonalnie?

No i proszę. To wyraźne naruszenie kodeksu Harry'ego.

Zawróciłem i popłynąłem do domu. Było już zupełnie ciemno, ale sterowałem według namiarów z radia i zboczyłem tylko kilka stopni w lewo.

Dobrze, niech będzie. Harry miał rację wtedy, ma rację i teraz.

„Nie angażuj się emocjonalnie”, przestrzegał. Więc nie będę.

I pomogę siostrze.

5

Nazajutrz rano padało i ruch zwariował, jak zawsze kiedy w Miami pada. Niektórzy kierowcy zwalniali na śliskiej jezdni. Doprowadzało to do furii innych, więc jak opętani trąbili klaksonami, wrzeszczeli przez okno albo wciskali gaz do dechy, zjeżdżali na pobocze, wpadali w poślizg i wymijając tych jadących wolniej, wygrażali im pięściami.

Na zjeździe z autostrady w LeJeune wielka ciężarówka z nabiąłem zjechała z rykiem na pobocze i wpadła na autobus pełen dzieci z katolickiej szkoły. Wpadła i zdachowała. Skutek? Pięć oszołomionych dziewcząt w kraciastych, wełnianych spódnickach wylądowało w olbrzymiej kałuży mleka. Ruch zamarł na bitą godzinę. Jedną dziewczynkę odwieziono śmigłowcem do szpitala. Pozostałe taplały się w mleku i patrzyły, jak dorośli wydzierają się na siebie.

Spokojnie przesuwałem się do przodu, słuchając radia. Policja wpadła najwyraźniej na trop Rzeźnika z Tamiami. Szczegółów nie podano, ale w głosie kapitana Matthews'a słyszeć było tę cudownie zjadliwą nutkę. Mówił tak, jakby zamierzał aresztować mordercę osobiście, gdy tylko dopije kawę.

W końcu zjechałem z autostrady, ale na bocznych drogach ruch był niewiele mniejszy. Wstąpiłem do cukierni w pobliżu lotniska. Kupiłem jabłko w cieście i słodki rogalik w lukrze, ale jabłko zjadłem, zanim wróciłem do samochodu. Mam bardzo wysoki poziom metabolizmu. To skutek wygodnego, dostatniego życia.

Deszcz ustał, zanim dojechałem do pracy. Zaświeciło słońce, zaczęły parować chodniki. Wszedłem do holu, okazałem dokumenty i pojechałem na górę.

Deb już na mnie czekała.

Nie robiła wrażenia szczęśliwej czy choćby zadowolonej. Nieczęsto bywa zadowolona, ale to normalne. Ostatecznie jest policjantką, a większość policjantów nie zna tej sztuczki. Za dużo czasu spędzają na służbie, robiąc wszystko, żeby nie wyglądać jak człowiek. No i tak już im zostaje.

- Jak się masz? - rzuciłem, stawiając na biurku bielutką torebkę z rogalikiem w lukrze.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - spytała. Cierpko, tak jak się spodziewałem. Płytkie zmarszczki na jej czole zmieniają się niedługo w głębokie bruzdy i oszpecą tę cudowną twarz. Żywe, inteligentne, ciemnoniebieskie oczy, mały zadarty nosek z kilkoma piegami na czubku, czarne włosy... Tak, miała naprawdę śliczną twarz, chociaż wysmarowała ją kilogramem tanich kremów, podkładów, pudrów i szminek.

Patrzyłem na nią z czułością. Musiała przyjść tu prosto z pracy, bo była w koronkowym staniku, jaskraworóżowych szortach ze spandeksu i w złotych szpilkach.

- Nieważne - odparłem. - Ważne, gdzie byłaś ty.

Zaczerwieniła się, jak to ona. Tolerowała jedynie czyste, wyprasowane bluzki, niczego innego nie znosiła.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

- Przepraszam.

- Jasne, nie ma sprawy.

Bez słowa usiadłem na krześle. Deb lubi się na mnie wzywać. Cóż, po to jest rodzina.

- Co cię tak przypiliło? - spytałem.

- Odsuwają mnie. - Otworzyła moją torebkę i zajrzała do środka.

- A czego się spodziewałaś? Wiesz, co myśli o tobie LaGuerta.

Deb wyjęła rogalik i brutalnie się weń wgrzyzła.

- Chcę - powiedziała z pełnymi ustami - brać udział w śledztwie. Tak jak powiedział kapitan.

- Masz za niski stopień. I brakuje ci zmysłu politycznego.

Zmiała torebkę i cisnęła nią w moją głowę. Chybiła.

- Cholera jasna. Dobrze wiesz, że zasługuję na przeniesienie do wydziału zabójstw. Mam dość tego... - Strzeliła ramięczkiem stanika i wskazała swój skąpy strój. - Tego gówna.

Kiwnąłem głową.

- Na tobie wygląda całkiem nieźle.

Zrobiła straszną minę. Wściekłość i obrzydzenie były się na jej twarzy o miejsce.

- Nie znoszę tego. Każą mi to robić jeszcze trochę i przysięgam, że zwariuję.

- Deb, jeszcze nic nie wiem, jest za wcześnie.

- Kurwa mać. - Musiałem przyznać, że praca w policji wybitnie zubaża jej słownictwo. Przeszyła mnie twardym spojrzeniem, takim policyjnym, chyba pierwszy raz w życiu. Było to spojrzenie Harry'ego. Miała takie same oczy i patrzyła tak samo jak on, przenikliwie i sondująco, jakby chciała przebić się wzrokiem do prawdy. - Przestań pieprzyć, Dex - dodała. - Musisz tylko zobaczyć zwłoki i w pięćdziesięciu przypadkach na sto od razu wiesz, kto zabił. Nigdy cię nie pytałem, jak to robisz, ale jeśli masz jakieś przeczucia, chcę je znać. - Kopnęła moje metalowe biurko tak mocno i z taką wściekłością, że zrobiło się w nim małe wgniecenie. - Cholera jasna, chcę zrzucić z siebie te głupie szmaty!

- A my chcielibyśmy przy tym być. - Głęboki, sztuczny głos od strony drzwi. Podniosłem wzrok. Uśmiechał się do nas Vince Masouka.

- Nie wiedziałbyś, co robić - mruknęła Debora.

Masouka uśmiechnął się jeszcze szerzej tym swoim jasnym, podręcznikowym uśmiechem.

- Może się przekonamy?

- Marzyciel. - Deb odęła wargi, czego nie widziałem u niej, odkąd skończyła dwanaście lat.

Vince ruchem głowy wskazał zmiętą torebkę na biurku.

- Dzisiaj była twoja kolej, staruszk. Co mi przyniosłeś? I gdzie to jest?

- Przepraszam, Vince, ale twój rogalik zjadła Debora.

- Chciałbym - odparł z imitacją lubieżnego uśmiechu. - Wtedy ja mógłbym zjeść jej brzoskwinę. Wiesz mi wielkiego rogała, Dex.

- Jedyne wielkie, jakiego kiedykolwiek będziesz miał - dogryzła mu Debora.

- Nie chodzi o wielkość - odparł - tylko o umiejętności cukiernika.

- Przestańcie - wtrąciłem. - Nadwerężycie sobie płat czołowy. Jest za wcześnie na inteligentne docinki.

- Ha, ha, ha - roześmiał się Vince tym straszliwie sztucznym śmiechem. - Ha, ha, ha. Na razie. - Puścił do mnie oko. - Nie zapomnij o moim rogaliku. - I poszedł do swojego mikroskopu na końcu korytarza.

- No więc? - spytała Deb. - Czego się dowiedziałeś?

Siostra mocno wierzyła w to, że od czasu do czasu miewam przecucia. Nie bez powodu. Moje pełne inspiracji domysły dotyczyły zwykle brutalnych psycholi, którzy raz na parę tygodni lubili kogoś poćwiartować, ot tak, dla zabawy. Kilka razy Debora była świadkiem, jak szybko wskazałem moim czyściutkim paluszkim coś, czego nikt z nich nie zauważył. Nigdy tego nie komentowała, ale jest piekielnie dobrą policjantką, dlatego od dłuższego już czasu chyba mnie o coś

podejrzewa. Nie wie dokładnie o co, wie jednak, że coś tu nie gra i potwornie ją to wkurza, bo ostatecznie bardzo mnie kocha. Ostatnia żywa istota na ziemi, która mnie kocha. Nie rozczulam się nad sobą, tylko wiem: jest to zimna, wyrachowana wiedza i samoświadomość. Tak, jestem człowiekiem odstręczającym. Zgodnie z planem Harry'ego próbowałem zadawać się z ludźmi, nawiązywać z nimi stosunki, a nawet - w najgłębszych okresach życia - usiłowałem się zakochać. Ale nic z tego nie wyszło. Coś się we mnie popsło albo w ogóle tego czegoś nie mam, dlatego wcześniej czy później ta druga osoba przyłapuje mnie na udawaniu. Albo nadchodzi jedna z tych nocy.

Nie mam nawet żadnego zwierzaka. Zwierzęta mnie nienawidzą. Raz kupiłem psa. Ogarnięty ślepą furią przez dwa dni non stop szczekał i wył - na mnie! - tak że musiałem się go w końcu pozbyć. Potem kupiłem żółwia. Kiedy go dotknąłem, schował się do skorupy, nie chciał z niej wyjść i po kilku dniach zdechł. Wolał zdechnąć, niż ponownie mnie zobaczyć czy pozwolić się dotknąć.

Tak więc nikt mnie nie kocha i już nie będzie. Nawet - a zwłaszcza - ja. Wiem, kim jestem i bynajmniej siebie za to nie lubię. Jestem samotny, samotny jak palec i mam tylko Deborę. No i potwora, który we mnie mieszka i rzadko kiedy wychodzi, żeby się pobawić. A kiedy już wychodzi, bawi się nie ze mną, tylko z kimś innym.

Dlatego dbam o siostrę, jak tylko umiem. Nie, nie jest to chyba miłość, ale naprawdę mi na niej zależy.

No i teraz siedziała tam, kochana siostrzyczka, z wielce nieszczęśliwą miną. Moja rodzina. Patrzyła na mnie, nie wiedząc, co powiedzieć, chociaż miała to na czubku języka, na samym czubku, pierwszy raz w życiu.

- Cóż, szczerze mówiąc...

- A jednak! Widziałam! Widziałam, że coś masz.

- Nie przerywaj mi, kiedy jestem w transie. Stracę kontakt ze światem duchowym.

- No? Wyduś to z siebie.

- Chodzi o to cięcie. Na lewej nodze.

- O cięcie?

- LaGuerta myśli, że ktoś mu przerwał, przeszkodził. Że zabójca zdenerwował się i nie dokończył dzieła.

Deb kiwnęła głową.

- Kazała mi wczoraj przepytac dziwki, czy czegoś nie widziały. Któraś musiała.

- No nie, i ty też? Pomyśl, siostrzyczko. Gdyby ktoś mu przerwał, gdyby facet się wystraszył...

- Worki - wypaliła. - Musiał poświęcić dużo czasu na owijanie poćwiartowanych części ciała, na pakowanie ich do worków. - Była zaskoczona. - Cholera. Po tym, jak ktoś go nakrył?

Nagrodziłem ją oklaskami i promiennym uśmiechem.

- Brawo, panno Marple.

- W takim razie to nie trzyma się kupy.

- *Au contraire*. Skoro morderca ma dużo czasu, lecz nie kończy rytuału - a pamiętaj, że rytuał to niemal wszystko - jaki wypływa z tego wniosek?

- Na miłość boską - warknęła. - Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć?

- Nie byłoby wtedy żadnej zabawy. Prawda?

Głośno wypuściła powietrze.

- Niech cię szlag. No, dobrze. Jeśli mu nie przerwano i jeśli mimo to nie dokończył roboty... Cholera. Całe to owijanie i pakowanie było ważniejsze niż ćwiartowanie.

Było mi jej żal.

- Nie, siostrzyczko. To piąta ofiara, dokładnie taka sama jak poprzednie. Cztery lewe nogi przecięte z chirurgiczną

precyzją. A noga numeru piątego... - Wzruszyłem ramionami i uniosłem brew.

- Kurczę, Dex. Skąd mam wiedzieć? Może potrzebne mu były tylko cztery. Może... Nie wiem. Przysięgam na Boga, że nie wiem. No?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Dla mnie było to takie jasne...

- Przestał czerpać przyjemność z tego, co robi, Deb. Zabrakło mu dreszczyku. Coś mu nie pasuje. Coś nie działa. Najbardziej nieodzowny element magii, ten, który sprawia, że rytuał jest tak doskonały, rozmył się nagle i znikł.

- I ja miałabym na to wpaść?

- Ktoś powinien, nie sądzisz? Coraz cieńszą strużką wyciekła z niego cała inspiracja, dlatego szuka jej, lecz nie znajduje.

Debora zmarszczyła brwi.

- To znaczy, że przestał. Że już nie zabije.

Roześmiałem się.

- O mój Boże, nie, siostrzyczko. Wprost przeciwnie. Co byś zrobiła, gdybyś była księdzem i szczerze wierzyła w Boga, lecz nie mogła znaleźć odpowiedniego sposobu na jego wielbienie?

- Próbowałabym dalej - odparła Deb. - Do skutku. - Wytrzeszczyła oczy. - Chryste. Tak myślisz? Że on znowu kogoś zabije?

- To tylko przeczucie - odrzekłem skromnie. - Mogę się mylić. - Ale byłem pewny, że się nie mylę.

- Powinniśmy coś wymyślić i schwytać go, kiedy znowu zaatakuje. A nie szukać nieistniejących świadków. - Debora wstała i ruszyła do drzwi. - Zadzwoń później. Pa! - I już jej nie było.

Pomacałem papierową torebkę. Była pusta. Dokładnie tak samo jak ja: czyściutkie, nieco sztywne opakowanie i nic

w środku.

Złożyłem ją na pół i wrzuciłem do kosza przy biurku. Tego ranka miałem trochę pracy, poważnej policyjnej roboty. Musiałem napisać oficjalny raport, przebrać zdjęcia, zewidencjonować dowody rzeczowe. Rutyna, podwójne zabójstwo, sprawa, która prawdopodobnie nigdy nie trafi do sądu, ale jeśli już coś robię, lubię robić to w sposób dobrze zorganizowany.

Poza tym to zabójstwo było naprawdę ciekawe. Analiza śladów nastreczyła mi bardzo wielu trudności; na podstawie rozbryzgów krwi z tętnic dwóch ofiar - które poruszały się, wielokrotnie zmieniając pozycję - oraz na podstawie wzoru, w jaki ułożyły się fragmenty ich pociętych piłą łańcuchową ciał, prawie nie sposób było określić miejsca, gdzie zostały zamordowane. Żeby zbadać cały pokój, zużyłem aż dwie butelki luminolu, środka, który wykrywa mikroskopijne nawet ślady krwi i szokuje ceną dwunastu dolarów za buteleczkę.

Żeby ustalić główne kąty rozbryzgów, posłużyłem się sznurkiem, techniką tak starą, że niemal alchemiczną. Wzór, w jaki się ułożyły, był wyrazisty i przerażający. Jaskrawe, drapieżne, porozrzucane ślady krwi widniały na wszystkich ścianach, na meblach, na telewizorze, na ręcznikach, prześcieradłach i na zasłonach - zadziwiający, obłąkany wprost horror tryskającej wszędzie krwi. Można by pomyśleć, że ludzie słyszeli coś nawet tu, w Miami. Facet szlachtuje żywcem dwoje ludzi w eleganckim apartamencie hotelowym, a sąsiedzi po prostu podkręcają dźwięk w telewizorze.

Powiecie, że mnie ponosi, że wasz pilny, pracowity, pedantyczny Dexter przesadza, ale lubię być dokładny i wiedzieć, gdzie schowała się krew. Powody zawodowe są absolutnie jasne, lecz dla mnie nie tak ważne jak te osobiste. Dlaczego? Może któregoś dnia pomoże mi to zrozumieć więzienny psychiatra.

Tak czy inaczej, zanim dotarliśmy na miejsce zbrodni, poćwiartowane ciała były już bardzo zimne, dlatego prawdopodobnie nigdy nie znajdziemy faceta w robionych na miarę mokasynach rozmiaru siedem i pół. Praworęcznego i otyłego, o wspaniałym bekhendzie.

Mimo to pracowałem wytrwale i odwaliłem kawał solidnej roboty. Nie robię tego, żeby złapać tych złych. Niby dlaczego miałbym tego chcieć? Nie, robię to, żeby uporządkować chaos. Dać nauczkę tym paskudnym, krwawym plamom i spokojnie odejść. Chwytaniem przestępców niech zajmują się inni; nie mam nic przeciwko temu, ale to nieistotne.

Jeśli kiedykolwiek będę na tyle nieostrożny, że mnie złapią, powiedzą pewnie, że jestem wyrafinowanym potworem, chorym, zboczonym demonem, bo nawet nie człowiekiem, i pewnie posadzą mnie na krześle elektrycznym, gdzie zadowolony i zadufany w sobie umrę w pięknej, neonowej poświacie. Jeśli natomiast kiedykolwiek schwytają tego w mokasynach rozmiaru siedem i pół, stwierdzą, że to zły człowiek, który zbłądził z winy społeczeństwa, po czym wsadzą go na dziesięć lat do więzienia, a potem wypuszczą, obdarowawszy go przedtem pieniędzmi, za które kupi sobie garnitur i nową piłę łańcuchową.

Z każdym dniem pracy coraz lepiej rozumiem Harry'ego.

6

Piątkowy wieczór. Wieczór randek. I możecie mi wierzyć lub nie, ale jest to również wieczór randek dla Dextera. To dziwne, ale kogoś sobie znalazłem. Że niby co? Dzielny, acz duchowo dobity Dexter z dziewczyną? Seks między chodzącymi mumiami? Czyżby moja potrzeba naśladowania życia zaszła tak daleko, że uwzględnia również udawanie orgazmu?

Spuśćcie parę. Rzecz nie ma nic wspólnego z seksem. Po latach zażenowania i wstydu, towarzyszącego wszelkim próbom zachowania najmniejszych choćby pozorów normalności, znalazłem w końcu dziewczynę idealną.

Rita jest prawie tak samo pokręcona jak ja. Zbyt młodo wyszła za mąż i przez dziesięć lat walczyła o utrzymanie swojego małżeństwa. Jej czarujący mąż – i ojciec dwojga dzieci – miał kilka małych problemów. Najpierw był alkohol, potem heroina, a jeszcze potem – pewnie mi nie uwierzycie – jeszcze potem crack. I bił ją, brutal jeden. Łamał meble, krzyczał, wrzeszczał, rzucał, czym popadnie i groził. Potem ją zgwałcił. Zaraził ją paroma strasznymi chorobskami, które przywłókł z jakiejś mety. Wszystko to trwało i regularnie się powtarzało, lecz ona dzielnie walczyła i wspierała go, gdy był na odwyku, i to aż dwa razy. Ale kiedy pewnej nocy zabrał się do dzieci, w końcu tupnęła nogą.

Oczywiście twarz już się jej zagoiła. A połamane ręce i żebra to dla naszych lekarzy codzienność. Tak, Rita jest dziewczyną bardzo atrakcyjną, tak jak potwór sobie tego życzył.

Wzięli rozwód, bestia trafiła za kratki, a ona? Niezbadane są tajemnice ludzkiego umysłu. Bo nie wiedzieć czemu, moja

kochana Rita znowu zaczęła umawiać się na randki. Była absolutnie pewna, że tak trzeba, ale ponieważ uwielbiany mąż często ją katował, kompletnie straciła zainteresowanie seksem. Chodziło jej tylko o męskie towarzystwo, takie od czasu do czasu.

Szukała odpowiedniego kandydata, czułego, łagodnego i cierpliwego. Szukała bardzo długo, oczywiście. Chciała znaleźć wyimaginowanego mężczyznę, któremu bardziej zależałoby na rozmowie i chodzeniu do kina niż na seksie, ponieważ na seks nie była jeszcze gotowa.

Czyżbym powiedział: „wyimaginowanego”? Tak, jak najbardziej. Bo prawdziwi mężczyźni tacy nie są. Większość kobiet przekonuje się o tym, urodziwszy dwoje dzieci i wzięwszy pierwszy rozwód. Biedna Rita wyszła za mąż za wcześniej - nie wspominając już o tym, że trafiła na wrednego typu - żeby wyciągnąć wnioski z tej jakże cennej nauki. Produktem ubocznym dochodzenia do siebie po koszmarnym małżeństwie było to, że zamiast zdać sobie sprawę, iż wszyscy mężczyźni to bestie, nosiła w sercu obraz idealnego, romantycznego dżentelmena, który będzie czekał w nieskończoność, aż ona, Rita, otworzy się przed nim jak mały kwiatek.

No, cóż. Tacy mężczyźni żyli być może w epoce wiktoriańskiej w Anglii, gdzie na każdym rogu był burdel i gdzie mogli sobie ulżyć między kwiecistymi zapewnieniami o miłości czystej i aseksualnej. W wiktoriańskiej Anglii, ale nie w Miami i na pewno nie w XXI wieku.

Ale ja umiałem takiego mężczyznę udawać, i to doskonale. Mało tego, chciałem udawać. Związek oparty na seksie zupełnie mnie nie interesował. Potrzebowałem przykrywkę, a Rita doskonale się do tego nadawała.

Jak już wspominałem, była bardzo atrakcyjna. Drobna, zgrabna, szczupła i wysportowana, miała krótkie jasne włosy

i niebieskie oczy. Jako fanatyczna zwolenniczka ćwiczeń fizycznych każdą wolną chwilę spędzała na bieganiu, pedałowaniu i tak dalej. Prawdę powiedziawszy, intensywne ćwiczenia fizyczne należały do naszych ulubionych zajęć. Objechaliśmy całe Everglades, zjeździliśmy 5K, a nawet dźwigaliśmy razem ciężary na siłowni.

Ale najlepsze w tym wszystkim były jej dzieci. Astor miała osiem lat, a Cody pięć i obydwójce byli o wiele za cisi. To skądinąd zrozumiałe. Dzieci rodziców, którzy nieustannie próbują zabić się wzajemnie kawałkami mebli, są trochę wyobcowane i zamknięte w sobie. Taki maluch jest wychowany w atmosferze przerażenia. Ale można je z tego wyciągnąć – spójrzcie tylko na mnie. Jako małe dziecko musiałem znosić potworności nad potwornościami, no i proszę: jestem bardzo przydatnym obywatelem i podporą miejscowej społeczności.

Być może właśnie dlatego tak bardzo lubiłem Astor i Cody'ego. Bo chociaż to dziwne i bez sensu, naprawdę ich lubiłem. Wiem, kim jestem i chyba nieźle siebie rozumiem. Ale jedną z najbardziej zagadkowych cech mojego charakteru jest stosunek do dzieci.

Po prostu je lubię.

Są dla mnie czymś ważnym. Mają dla mnie znaczenie.

Zupełnie tego nie pojmuję, naprawdę. Nie przejąłbym się – ani trochę – gdyby wszyscy ludzie we wszechświecie nagle wyparowali; no, może z wyjątkiem mnie i Debory. Pozostali są dla mnie mniej ważni niż meble ogrodowe. Eloquentny psychiatra powiedziałby pewnie, że nie potrafię identyfikować się uczuciowo z innymi. Mnie ta świadomość bynajmniej nie ciąży.

Ale dzieci – dzieci to co innego.

Tak więc „chodzę” z Ritą już od półtora roku i przez ten czas powoli i celowo przeciągnąłem na swoją stronę Astor i Cody'ego. Byłem w porządku. Wiedzieli, że nie zrobię

im krzywdy. Pamiętałem o ich urodzinach, wywiadówkach i o wszystkich świętach. Mogłem przyjść do nich do domu i czuli się przy mnie bezpiecznie. Ufali mi.

Ironiczne to, lecz prawdziwe.

Oto ja, jedyny człowiek, którego darzyli pełnym zaufaniem. Rita myślała, że jest to rezultat moich długich, powolnych zalotów. Udowodnię jej, że dzieciaki mnie lubią, i kto wie? Tymczasem tak naprawdę Astor i Cody znaczyli dla mnie więcej niż ona. Może było już za późno, ale nie chciałem, żeby wyrosli na kogoś takiego jak ja.

Tego wieczoru otworzyła mi Astor. Była w długim za kolana podkoszulku z napisem „Futrzak” na piersiach. Rude włosy miała upięte w dwa kucyki, a jej mała twarzyczka nie wyrażała absolutnie niczego.

- Cześć, Dexter - powiedziała cichutko i spokojnie; dwa słowa to dla niej długa rozmowa.

- Witaj, młoda, piękna damo - odparłem głosem lorda Mountbattena. - Czy wolno mi zauważyć, że uroczo dzisiaj wyglądasz?

- Wolno. - Przytrzymała drzwi. - Już przyszedł - rzuciła przez ramię w stronę tonącej w ciemności sofy.

Wszedłem do środka. Za progiem, tuż za nią, stał Cody. Pewnie po to, żeby w razie czego jej bronić.

- Jak się masz, Cody? - Dałem mu paczkę wafelków. Nie odrywając ode mnie oczu i nie patrząc na podarunek, wziął je i opuścił rękę. Wiedziałem, że ich nie otworzy, dopóki nie wyjdę, i że podzieli się z siostrą.

- Dexter? - zawołała Rita z sąsiedniego pokoju.

- Tak, to ja - odparłem. - Nie możesz nauczyć ich dobrego wychowania?

- Nie - szepnął cicho Cody.

To był taki żart. Co z niego wyrośnie? Będzie śpiewał? Stepował na ulicy? Przemawiał na kongresie Partii Demokratycznej?

Zaszeleściło. Weszła Rita, zapinając klipsy. Jak na nią, wyglądała dość prowokująco. Była w błękitnej, lekkiej jak piórko sukience z jedwabiu, która sięgała jej ledwie do połowy uda, no i naturalnie w swoich najlepszych adidasach. Nigdy nie spotkałem ani nawet nie słyszałem o kobiecie, która chodziłaby na randki w wygodnych butach. Czarujące stworzonko.

- Cześć, przystojniaku - powiedziała. - Pogadam tylko z Alice i już nas nie ma. - Poszła do kuchni i udzieliła niezbędnych wskazówek nastoletniej córce sąsiadów, która opiekowała się dziećmi podczas jej nieobecności. O której do łóżka. Praca domowa. Co mogą, a czego nie mogą oglądać w telewizji. Numer komórki. Numer pogotowia, policji i straży pożarnej. Co robić w razie przypadkowego zatrucia lub dekapitacji.

Cody i Astor ciągle się na mnie gapili.

- Idziecie do kina? - spytała Astor.

Kiwnąłem głową.

- Pod warunkiem że będą grali film, na którym się nie porzygamy.

- Bee. - Astor leciutko się skrzywiła i poczułem, że zapłonęła we mnie iskierka satysfakcji.

- Czy w kinie się rzyga? - spytał Cody.

- Przestań - powiedziała Astor.

- Tak? - drażył Cody.

- Nie - odparłem. - Ale zwykle mam ochotę.

- Chodźmy. - Rita wpłynęła do pokoju i pochyliła się, żeby cmoknąć dzieci w policzek. - Słuchajcie Alice. O dziewiątej do łóżka.

- Wrócisz? - spytał Cody.
- Cody! - wykrzyknęła Rita. - Oczywiście, że wrócę.
- Ale ja pytałem Dextera.
- Będziesz już spał - powiedziałem. - Ale pomacham ci na dobranoc, zgoda?
- Nie będę spał - mruknął ponuro Cody.
- W takim razie zajrzę do ciebie i zagramy w karty.
- Naprawdę?
- Absolutnie. W pokera, o najwyższą stawkę. Ten, kto wygra, bierze wszystkie konie.
- Dexter! - rzuciła z uśmiechem Rita. - Będziesz już spał, synku. A teraz dobranoc. Bądźcie grzeczni. - Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do drzwi. - Chryste - wymamrotała. - Oni jedzą ci z ręki.

Film był niespecjalny. Nie chciało mi się rzygać, ale zanim wstąpiliśmy na strzebiennego do małej knajpki w South Beach, zdążyłem o nim zapomnieć. South Beach było pomysłem Rity. Mimo że mieszkała w Miami niemal przez całe życie, wciąż uważała, że dzielnica ta jest oazą luksusu. Może dla tych na łyżworolkach. A może myślała, że każde miejsce pełne nieokrzesanych typów musi być wspaniałe.

Tak czy inaczej, dwadzieścia minut czekaliśmy na stolik i kolejne dwadzieścia na kelnera. Ale mnie to nie przeszkadzało. Lubię obserwować odpicowanych idiotów, którzy ukradkiem na siebie zerkają. To świetna zabawa.

Potem poszliśmy na spacer Ocean Boulevard, prowadząc bezsensowną rozmowę; jest to sztuka, w której przoduję. To był naprawdę uroczy wieczór. Tylko ten nadgryziony księżyc. Kiedy zabawiałem księdza Donovana, był pełniejszy i jaśniejszy.

Potem, po naszej typowej randce, musiałem odwiedzić Ritę do domu - mieszkała w południowej części Miami - i gdy przejeżdżaliśmy przez skrzyżowanie w jednej z mniejszych

ciekawych okolic Coconut Grove, moją uwagę przykuło czerwone światło migające w bocznej uliczce. Żółta taśma ostrzegawcza, kilka pospiesznie zaparkowanych radiowozów – jak nic miejsce przestępstwa.

To znowu on, pomyślałem i zanim zrozumiałem, o co mi właściwie chodzi, zawróciłem i skręciłem w tamtą stronę.

– Gdzie my jedziemy? – spytała rozsądnie Rita.

– Chciałbym coś sprawdzić i spytać, czy mnie nie potrzebują.

– Nie masz pagera?

Posłałem jej mój najlepszy piątkowy uśmiech.

– Rzecz w tym, że oni nie zawsze wiedzą, że mnie potrzebują.

Niewykluczone, że przystanąłbym tam tak czy inaczej, choćby po to, żeby pochwalić się Ritą. Ostatecznie cały sens przebrania polega na tym, że się je nosi. Ale tak naprawdę ten cichy, nieustępliwy głos, który trajkotał mi w głowie, kazałby mi stanąć tam bez względu na wszystko. To znowu on. Musiałem zobaczyć, co knuł. Zostawiłem Ritę w samochodzie i szybko podszedłem bliżej.

Tak jest, znowu coś spsocił, łobuziak jeden. Na ziemi leżała identyczna sterta worków z częściami ciała. Angel-Bez-Skojarzeń pochylał się nad nią niemal w takiej samej pozycji, w jakiej zostawiłem go na parkingu za motelem Cacique.

– *Hijo de puta* – mruknął na mój widok.

– Chyba nie ja.

– Wszyscy narzekają, że muszą pracować w piątek wieczorem, a ty przyjeżdżasz tu z flamą. W dodatku nie masz tu nic do roboty.

– Ten sam facet, ten sam styl?

– Tak. – Angel rozchylił worek długopisem. – Suchutkie jak pieprz. Ani kropli krwi.

Zakręciło mi się w głowie. Nachyliłem się, żeby popatrzeć. Rzeczywiście, poćwiartowane członki były zdumiewająco czyste i dokładnie osuszone. Miały niebieskawy odcień i zdawało się, że zastygły w doskonale wychwyconym momencie. Cudowne.

- Tym razem jest mała różnica - ciągnął Angel. - Cztery cięcia. - Wskazał je długopisem. - To było bardzo gwałtowne, jakby go poniosło. To tutaj zrobił już spokojniej. Potem ciął tu i tu, pośrodku. Hę?

- Pięknie - powiedziałem.

- Spójrz na to. - Odsunął na bok pozbawioną krwi część leżącą na wierzchu. Spod spodu wyjrzała kolejna, biała i błyszcząca. Precyzyjnie zdjęta warstwa ciała, odsłonięta kość...

- Po co to zrobił? - spytał cicho Angel.

Wpuściłem powietrze.

- Eksperymentuje - odparłem. - Szuka właściwej drogi.

Gapiałem się na ten czyściutki, dokładnie osuszony fragment ciała, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że Angel-Bez-Skojarzeń patrzy na mnie i milczy.

- Jak dziecko, które bawi się jedzeniem. - Tak to opisałem Ricie, wróciwszy do samochodu.

- Boże - westchnęła. - To straszne.

- Odpowiedniejszym słowem byłoby chyba: „ohydne”.

- Jak możesz z tego żartować?

Pokrzepiłem ją uśmiechem.

- Jeśli pracuje się tam, gdzie ja, można do tego przywyknąć. Żartujemy, żeby ukryć ból.

- Mam nadzieję, że już wkrótce złapią tego maniaka.

Pomyślałem o tych starannie poukładanych członkach, o różnorodnych cięciach, o cudownym braku krwi.

- Oj, chyba nie.

- Dlaczego?

- Na pewno nie wkrótce. Jest niezwykle przebiegły, a policjantkę, która prowadzi śledztwo w tej sprawie, bardziej niż rozwiązanie zagadki interesuje politykowanie i wewnętrzne rozgrywki.

Spojrzała na mnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuję. A potem zamilkła i milczała tak, dopóki nie skręciliśmy na U.S. 1 i nie dojechaliśmy do południowego Miami.

- Nie mogłabym przywyknąć do... Sama nie wiem. Do ciemnej strony życia? Do życia prawdziwego? Nie potrafiłabym patrzeć na to tak jak ty.

Zaskoczyła mnie. Korzystając z tego, że milczy, myślałem o pięknie poukładanych częściach ciała, które zostały w bocznej uliczce. Niczym orzeł wypatrujący kawałka mięsa, które mógłby rozszarpać, moje wygłodniałe myśli krążyły łakomie wokół czyściutkich, starannie poćwiartowanych członków. Jej uwaga była tak nieoczekiwana, że przez chwilę nie byłem w stanie nawet się zająknąć.

- To znaczy? - powiedziałem wreszcie.

Zmarszczyła czoło.

- Nie wiem, nie jestem pewna. Po prostu... Myślimy, że wszystko jest w pewien sposób poukładane. Że jest tak, jak powinno być. I nagle okazuje się, że nie, że kryje się pod tym coś innego, coś... Nie wiem. Coś mroczniejszego? Może bardziej ludzkiego. Tak, bardziej ludzkiego. Policjant chce schwycić mordercę, bo czy nie po to są policjanci? Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby morderstwo mogło posłużyć do jakichś rozgrywek, że jest w tym coś politycznego.

- Właściwie wszystko - odparłem. Skręciłem i zwolniłem przed jej zadbanym, nierzucającym się w oczy domem.

- Ale ty... - Zdawało się, że nie zauważyła, gdzie jesteśmy, że mnie nie słuchała. - Tu chodzi i o ciebie. Większość z nas nie przemyślałaby tego tak dogłębnie.

- Nie jestem aż tak głęboki, Rito. - Zaparkowałem.

- Bo wszystko ma chyba dwa oblicza, to udawane i to prawdziwe. Ty już o tym wiesz i traktujesz to jak jakąś grę.

Nie miałem pojęcia, co próbowała mi powiedzieć. Szczerze mówiąc, już dawno przestałem jej słuchać i ponownie odpłynąłem myślą ku temu nowemu morderstwu, ku starannie sprawionym i oporzędzonym zwłokom, ku zaimprovizowanym naprędcie cięciom, ku temu nieskazitelnie czystemu, całkowicie pozbawionemu krwi ciału...

- Dexter. - Rita położyła mi rękę na ramieniu.

I wtedy ją pocałowałem.

Nie wiem, które z nas było bardziej zaskoczone. Na pewno tego nie zaplanowałem, na pewno o tym nie myślałem. I na pewno nie skłonił mnie do tego zapach jej perfum. Mimo to zmiądzylem jej usta w długim pocałunku.

Odepchnęła mnie.

- Nie - powiedziała. - Ja... nie, Dexter, nie.

- Dobrze, w porządku - odrzekłem wciąż zaszokowany.

- Chyba nie chcę... Nie jestem jeszcze gotowa. Niech cię szlag. - Rozpięła pas, otworzyła drzwiczki i wbiegła do domu.

Kurczę, pomyślałem. Co ja, do licha, zrobiłem?

Wiedziałem, że powinienem się nad tym zastanowić, że powinienem być nawet rozczarowany i zawiedziony, że po półtora roku intensywnej pracy zepsułem tak dobrą przykrywkę.

Ale mogłem myśleć tylko o tym starannie poćwiartowanym cielem.

„Ani kropli krwi”.

Ani jednej, nawet najmniejszej.

7

Ciało jest rozciągnięte, tak jak lubię. Ręce i nogi są przywiązane, usta zaklejone taśmą, żeby nie było żadnego hałasu ani wycieku na blat. Nóż trzymam tak pewnie, że wiem, iż to będzie naprawdę coś, że czeka mnie coś bardzo przyjemnego...

Tylko że nóż wcale nie jest nożem. Nóż jest...

Tylko że to nie moja ręka. Chociaż tamtą porusza moja, to nie moja trzyma nóż. A pokój jest bardzo mały i dziwnie wąski, co nie ma sensu, ponieważ... Ponieważ co?

Unoszę się nad tym doskonałym, szczelnym wnętrzem, nad ponętym ciałem i po raz pierwszy czuję powiew zimnego powietrza, które nie wiezieć czemu przenika mnie na wskroś. Gdybym tylko czuł, że mam zęby, na pewno by szczękały. Moja ręka, unisono z tą drugą, podnosi się i bierze zamach, żeby zrobić idealne cięcie...

No i oczywiście budzę się w moim mieszkaniu. Stojąc nago przed frontowymi drzwiami. Zrozumiałbym jeszcze, że chodziłem we śnie, ale żebym się we śnie rozebrał? Coś takiego. Wróciłem chwiejnie do mojego małego, wysuwanego łóżka. Zmięta pościel leży na podłodze. Pracuje klimatyzator, jest tylko piętnaście stopni. Poprzedniego wieczoru specjalnie obniżyłem temperaturę. Po przejściach z Ritą czułem się trochę oderwany od rzeczywistości i uznałem, że to dobry pomysł. Tak, to, co się stało - jeśli w ogóle się stało - było groteskowe i nedorzeczne. Miłosny bandyta Dexter kradnący pocałunki. Dlatego po powrocie do domu wziąłem długi, gorący prysznic i kładąc się spać, do oporu zakręciłem termostat. Nie wiem

dłaczego - bynajmniej nie udaję, że to rozumiem - ale w mroczniejszych chwilach czuję, że zimno mnie oczyszcza. I odświeża akurat na tyle, na ile trzeba.

No i teraz było mi zimno. O wiele za zimno na pierwszą tego dnia kawę wśród poszarpanych fragmentów snu.

Z reguły nie pamiętam, co mi się śni, a jeśli już pamiętam, nie przywiązuję do tego wagi. Dlatego było to takie idiotyczne, że ten wciąż dręczył mnie jak jakiś demon.

Unoszę się nad tym doskonałym, szczelnym wnętrzem... Moja ręka, unisono z tą drugą, podnosi się i bierze zamach, żeby zrobić idealne cięcie...

Przeczytałem sporo książek. Ludzie mnie interesują, może dlatego, że sam nigdy nie będę człowiekiem. Przeczytałem i znam tę symbolikę: unoszenie się to jakby latanie, a latanie to seks. Natomiast nóż...

Ja, Herr Doktor. Nóż ist eine Mutter, ja?

Przestań, otrząśnij się z tego, Dexter.

To tylko głupi, bezsensowny sen.

Zadzwonił telefon i omal nie wyskoczyłem z własnej skóry.

- Co powiesz na śniadanie u Wolfiego? - spytała Debora. - Ja stawiam.

- Jest sobota rano - zauważyłem. - Nie dostaniemy stolika.

- Przyjdę pierwsza i zajmę. Spotkamy się na miejscu.

Delikatesy Wolfiego na Miami Beach to tutejsza tradycja. A ponieważ Morganowie są tutejszą rodziną, jadałiśmy tam przez całe życie, ale tylko z okazji specjalnych okazji. Dlaczego Debora uznała, że dzisiaj też jest specjalna okazja, tego nie wiedziałem, ale byłem pewien, że z czasem mnie oświeci. Wziąłem więc prysznic, włożyłem mój sobotni sportowy garnitur i pojechałem do Wolfiego. Po ostatnich przebudowach ruch na autostradzie MacArthura był dużo mniejszy, dlatego już wkrótce przepychałem się układnie przez tłum w delikatesach.

Zgodnie z obietnicą Deb zdobyła stolik, w dodatku narożny. Właśnie uciniała pogawędkę ze stareńką kelnerką, kobietą, którą rozpoznawałem nawet ja.

- Rózo, kochanie - powiedziałem, nachylając się, żeby pocałować ją w pomarszczony policzek. Spojrzała na mnie wiecznie naburmuszona. - Moja dzika, irlandzka Rózo...

- Dexter - wychrypiła z silnym, środkowoeuropejskim akcentem. - Przestań mnie całować jak jakiś *faigelah*.

- *Faigelah*? To po irlandzku „narzeczony”? - spytałem, siadając.

- *Feh* - burknęła. Pokręciła głową i poszła do kuchni.

- Chyba mnie lubi - powiedziałem.

- Ktoś powinien - odparła Debora. - Jak było na randce?

- Cudownie. Powinnaś kiedyś spróbować.

- *Feh*.

- Nie możesz wystawać nocami na Tamiami Trail, i to w samej bieliźnie. Musisz trochę pożyć.

- Nie - warknęła. - Muszę załatwić sobie przeniesienie do wydziału zabójstw. Wtedy zobaczymy.

- Rozumiem. No tak, gdyby twoje dzieci mogły powiedzieć, że mamusia pracuje w wydziale zabójstw, brzmiałoby to dużo lepiej.

- Dexter, na miłość boską.

- To normalna, całkiem naturalna myśl. Kilku siostrzeńców i kilka siostrzenic. Morganowie rosną w siłę. Czemu nie?

Powoli wypuściła powietrze.

- Myślałam, że mama nie żyje - powiedziała.

- Przemawia za moim pośrednictwem. I za pośrednictwem duńskiego placka z wiśniami.

- To niech lepiej zmieni pośrednika. Co wiesz o krystalizacji komórkowej?

Aż zamrugałem.

- Chryste, w konkursie błyskawicznej zmiany tematu dałabyś popalić wszystkim rywalom.

- Mówię poważnie.

- No to mnie uziemiłaś. Krystalizacja komórkowa?

- Na skutek zimna. Krystalizacja komórek na skutek zimna.

Dopiero wtedy mnie olśniło.

- Oczywiście, wspaniale... - I w zakamarkach mojego umysłu natychmiast rozdzwoniły się ciche dzwoneczki. Zimno... Czyste, doskonale zimno i zimny nóż, który aż skwierczy, przecinając ciepłe ciało. Czyste, aseptyczne zimno, spowolniony upływ bezradnej krwi, tak niezbędny i wskazany. Zimno. - Dlaczego o tym... - Chciałem coś powiedzieć, lecz urwałem, widząc jej minę.

- Co? - spytała. - Dlaczego oczywiście?

Pokręciłem głową.

- Najpierw powiedz, co chcesz wiedzieć.

Posłała mi przeciągłe spojrzenie i znowu powoli wypuściła powietrze.

- Przecież wiesz. Mamy kolejne morderstwo.

- Wiem. Wczoraj tamtędy przejeżdżałem.

- Podobno nie tylko przejeżdżałeś.

Wzruszyłem ramionami. Metro Dade jest jak mała rodzina.

- No więc co z tym „oczywiście”?

- Nic. - W końcu mnie jednak zirytowała. - Ciało wyglądało trochę inaczej. Jeśli leżało na zimnie... - Rozłożyłem ręce. - To wszystko. Dobra, o jakiej temperaturze mówisz?

- O niskiej. Takiej jak w chłodni u rzeźnika. Dlaczego to zrobił?

Bo to jest piękne, pomyślałem.

- Bo niska temperatura spowalnia upływ krwi.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- To ważne?

Wzięłem głęboki, może trochę niepewny oddech. Nie mogłem jej tego wyjaśnić. Gdybym spróbował, od razu by mnie zamknęła.

- Najważniejsze - odparłem, z jakiegoś powodu zażenowany.

- Dlaczego?

- Bo... Nie wiem. Myślę, że ten facet ma kręćka na punkcie krwi. Ale to tylko przeczucie, bo... Nie wiem, nie mam na to żadnych dowodów.

Znowu obrzuciła mnie tym swoim spojrzeniem. Chciałem coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. No, proszę. Wygadanemu, złotoustemu Dexterowi odebrało mowę.

- Cholera - zakłęła. - I to wszystko? Zimno spowalnia upływ krwi? To takie ważne? Pieprzysz. Co w tym ważnego?

- Przed pierwszą kawą nie mówię ważnych rzeczy - odparłem, bohatersko próbując dojść do siebie. - Przed pierwszą kawą jestem tylko konkretny i dokładny.

- Cholera - powtórzyła. Róża przyniosła kawę. Debora wypła łyk. - Wczoraj wieczorem zaprosili mnie na trzydniówkę. Zaklaskałem w dłonie.

- Cudownie. Przybyłaś, zobaczyłaś, zwyciężyłaś. Po co ci jestem potrzebny? - W Metro Dade obowiązuje zasada, że trzy dni po morderstwie zbiera się specjalna grupa operacyjna. Oficer dowodzący i jego ludzie omawiają sprawę z patologiem, czasem z kimś z prokuratury. Dzięki temu wszyscy wiedzą, w jakim kierunku zmierza śledztwo. Jeśli szefostwo zaprosiło Deborahę, oznaczało to, że przydzielono ją do sprawy.

Siostra łypnęła na mnie spođe łba.

- Nie znam się na polityce i nie umiem grać w te wasze gierki - powiedziała. - Czuję, że LaGuerta chce mnie odsunąć, i nic nie mogę na to poradzić.

- Ciągłe szuka tego tajemniczego świadka?

Deb kiwnęła głową.

- Naprawdę? Nawet teraz, po tym wczorajszym okropnym zabójstwie?

- Mówi, że to kolejny dowód na słuszność jej teorii. Bo cięcia na ciele ostatniej ofiary są kompletne.

- Ale zupełnie inne! - zaprotestowałem.

Wzruszyła ramionami.

- A ty zasugerowałaś, że...

Deb uciekła wzrokiem w bok.

- Powiedziałam, że moim zdaniem poszukiwanie świadka nie ma sensu, bo jest oczywiste, że mordercy nikt nie spłoszył, że facet szuka po prostu czegoś nowego.

- Ups! Ty naprawdę nie znasz się na polityce.

- Cholera jasna! - Popatrzyły na nią dwie starsze panie siedzące przy sąsiednim stoliku. Ale ona nawet tego nie zauważyła. - To, co mówiłeś, trzymało się kupy. To oczywiście jak dwa razy dwa, a ona mnie olewa. I nie tylko. Robi coś gorszego.

- Czy może być coś gorszego niż poczucie, że ktoś cię ignoruje?

Deb spiekła raka.

- Zaraz potem zauważyłam, że podśmiewa się ze mnie dwóch mundurowych. Krąży o mnie dowcip. - Zagryzła wargę i spuściła oczy. - Zrobili ze mnie Einsteina.

- Boję się, że nie rozumiem.

- Gdybym miała mózg wielkości cycków, byłabym Einsteinem - wyjaśniła z rozgoryczeniem.

Zamiast się roześmiać, tylko odchrząknęłam.

- To jej robota - ciągnęła. - Takie coś przywiera do każdego jak gówno, a potem nie dostajesz awansu, bo ci z góry myślą, że z takim przewiskiem nikt nie będzie cię szanował. Cholera jasna, ona zniszczy mi karierę!

Poczułem, że zalewa mnie fala opiekuńczego ciepła.

- To idiotka.

- Mam jej to powiedzieć? To będzie polityczne?

Podano jedzenie. Róża postawiła talerze z takim trzaskiem, jakby skorumpowany sędzia skazał ją na obsługiwanie dzieciobójców. Obdarzyłem ją gigantycznym uśmiechem i odeszła, mrużąc pod nosem.

Nabrałem na widelec trochę jajeczniczy i skupiłem się na problemie Debory. Musiałem myśleć o tym właśnie tak, jak o problemie. A nie jak o „tych fascynujących morderstwach”. Czy o „zaskakująco ciekawym *modus operandi*” albo „o czymś podobnym do tego, co z rozkoszą bym kiedyś zrobił”. Musiałem zachować całkowitą bezstronność, sęć w tym, że sprawa ta nie dawała mi spokoju. Nawet we śnie, tym o zimnym powietrzu. Oczywiście był to tylko zwykły zbieg okoliczności, zwykły, lecz bardzo niepokojący.

Morderca dotknął sedna moich zabójstw. Sposobem pracy naturalnie, a nie doborem ofiar. I oczywiście trzeba go było powstrzymać, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Biedne prostytutki.

Mimo to... Zimno. Robił to na zimnie. Ciekawe. Warto by kiedyś poeksperymentować. Znaleźć miłe, ciemne, wąskie pomieszczenie i...

Wąskie? Skąd mi się to wzięło?

Ze snu. Oczywiście. Skoro ze snu, oznaczało to, że podświadomość chce, żebym o tym myślał. Prawda? Poza tym ta wąskość czy kizskowatość bardzo do mnie przemawiała. Zimne, kizskowate pomieszczenie...

- Samochód chłodnia - powiedziałem.

Otworzyłem oczy. Debora miała pełne usta jajeczniczy i z trudem ją przełknęła.

- Co?

- To tylko domysły bez konkretnych przesłanek. Ale czy nie trzymałoby się to kupy?

- Ale co?

Zmarszczyłem czoło i wbiłem wzrok w talerz, próbując wyobrazić sobie, jak by to zadziało.

- Szukał zimnego pomieszczenia. Chciał spowolnić wpływ krwi, żeby było... hm... czystiej.

- Skoro tak mówisz.

- Owszem, mówię. Pomieszczenie musi być wąskie...

- Dlaczego? Skąd to, u diabła, wytrzasnąłeś?

Puściłem to pytanie mimo uszu.

- Najbardziej pasowałby samochód chłodnia. Poza tym samochód jeździ, więc łatwiej by mu było przewozić zwłoki i wrzucać je do pojemników.

Debora odgryzła kawałek bajgielki i żując, przez chwilę milczała.

- Aha. - Wreszcie przełknęła. - Chcesz powiedzieć, że morderca ma dostęp do samochodu chłodni? Albo że ma taki na własność?

- Hm... Możliwe. Z tym że poprzednich ofiar nim nie przewoził. Ta wczorajsza jest pierwsza.

Deb zmarszczyła brwi.

- A więc poszedł i kupił sobie chłodnię?

- Raczej nie. Wciąż eksperymentuje. Pewnie zrobił to pod wpływem jakiegoś impulsu.

Kiwnęła głową.

- I pewnie nie jest zawodowym kierowcą, co? Taki fart to nie my.

Zademonstrowałem jej uśmiech uradowanego rekina.

- Siostrzyczko, jakaś ty dzisiaj szybka! Nie, boję się, że jest zbyt przebiegły, żeby tak łatwo wpaść.

Deb wypła łyk kawy, odstawiła filiżankę i odchyliła się do tyłu.

- A więc szukamy kradzionego wozu, tak? - powiedziała wreszcie.

- Chyba tak, niestety. Ale ile chłodni mogli skraćć w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin?

- W Miami? - prychnęła. - Ktoś kradnie, roznosi się wieść, że warto je kraść i nagle każdy, pozał się Boże gangster, każdy główniarz, podrzędny oprych, bandzior i ćpun też musi ukraść, żeby nie być gorszy.

- Miejmy nadzieję, że jeszcze nikt o tym nie wie.

Debora przełknęła ostatni kęs bajgielki.

- Sprawdzę - powiedziała. I ścisnęła mnie za rękę. - Dziękuję, Dexter. - Obdarzyła mnie dwusekundowym uśmiechem, nieśmiałym i pełnym wahania. - Niepokoi mnie tylko, jak na to wpadłeś. Po prostu... - Spuściła oczy i jeszcze raz ścisnęła mnie za rękę.

Ja też ją ścisnąłem.

- Zmartwienia zostaw mnie - powiedziałem. - Ty znajdź tę chłodnię.

8

Teoretycznie rzecz biorąc, trzydniówka ma dać wszystkim czas na pchnięcie sprawy do przodu, bo po trzech dniach trop jest jeszcze świeży. Dlatego też w poniedziałek rano w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze zebrała się na odprawie grupa najbystrzejszych policjantów pod dowództwem nieposkromionej detektyw LaGuerty. Zebrałem się z nimi i ja. Ten i ów na mnie spojrział, ten i ówzwłaszcza ci, którzy mnie znali – powitał mnie serdeczną uwagą, prostą i dowcipną, jedną z tych w rodzaju: „Hej, wampirku, pokaż zęby!” Ach, ci chłopcy. Sól ziemi. A już wkrótce dołączyć miała do nich moja siostra Debora. Czułem się dumny i pokornie zaszczycony, że mogę przebywać z nimi w tej samej sali.

Niestety, nie wszyscy podzielali moje uczucia.

- Co ty tu, kurwa, robisz? – warknął sierżant Doakes, wielki, wiecznie urażony i wrogo nastawiony Murzyn. Było w nim coś zimnego, okrutnego i zajadłego, co na pewno przydałoby się komuś, kto uprawia moje hobby. Szkoda, że nie mogliśmy się zaprzyjaźnić. A nie mogliśmy, ponieważ z jakiegoś powodu Doakes nie znosił techników laboratoryjnych; kolejnym powodem było to, że szczególnie nie znosił Dextera. No i był rekordzistą w wyciskaniu leżąc. Zasługiwał więc na polityczny uśmiech.

- Wpadłem, żeby posłuchać, sierżancie.

- Nie masz tu, kurwa, nic do roboty. Spieprzaj.

- Dexter może zostać – powiedziała LaGuerta.

Doakes łypnął na nią spode łba.

- Ale po kiego?

- Nie chciałbym nikogo unieszczęśliwić - wtrąciłem, bez przekonania zawracając do drzwi.

- Wszystko w porządku, Dexter. - LaGuerta naprawdę się do mnie uśmiechnęła. A potem popatrzyła na Doakesa i powtórzyła: - Dexter może zostać, sierżancie.

- Kurwa, ciarki mnie przechodzą, jak na niego patrzę - wymamrotał Doakes. Zacząłem doceniać jego ukryte zalety. To oczywiste, że na mój widok przechodziły go ciarki. Pytanie tylko, dlaczego w sali pełnej gliniarzy przechodziły akurat jego?

- Zaczynamy - rzuciła LaGuerta, łagodnie strzelając z bata, żeby wszyscy wiedzieli, kto tu rządzi. Doakes spiorunował mnie wzrokiem i rozwalił się na krześle.

Pierwsza część odprawy była rutynowa: raporty, gierki, podchody, wszystkie te drobiazgi, które sprawiają, że jesteśmy ludźmi. A przynajmniej ci, którzy naprawdę nimi są. LaGuerta wyłuszczyła podwładnym, co mogą, a czego nie mogą przekazywać prasie. Mogli na przykład przekazać do gazet jej nowe, błyszczące zdjęcie, które zrobiła specjalnie na tę okazję. Wyglądała na nim poważnie, mimo to olśniewająco, zasadniczo, acz wytwornie. Niemal widać było, jak awansuje na porucznika. Gdyby tylko Debora umiała robić sobie taką reklamę.

Minęła prawie godzina, zanim przeszliśmy do morderstw i zanim LaGuerta poprosiła w końcu o raport na temat postępów w poszukiwaniu tajemniczego świadka. Nikt nie miał nic do raportowania. Udałem zaskoczonego; bardzo się starałem.

LaGuerta zmarszczyła brwi i władczym głosem rzuciła:

- No? Musimy kogoś znaleźć, prawda? - Ale ponieważ nikt nikogo nie znalazł, zapadła cisza. Policjanci oglądali swoje paznokcie, gapili się na podłogę albo na dźwiękoszczelne płytki na suficie.

Debora odchrząknęła.

- Mam... - zaczęła i ponownie odchrząknęła. - Wpadłam na pewien pomysł. Zupełnie inny. To znaczy, żebyśmy spróbowali podejść do tego z innej strony. - Zabrzmiało to jak cytaty, bo w sumie było cytatem. Mimo moich nauczycielskich wysiłków nie umiała powiedzieć tego naturalnie, ale przynajmniej trzymała się wybranych przeze mnie słów i przestrzegała poprawności politycznej.

LaGuerta uniosła sztucznie doskonałą brew.

- Pomysł? Naprawdę? - Zrobiła minę, żeby pokazać, jak bardzo jest zaskoczona i ucieszona. - Ależ proszę, naturalnie, proszę się nim z nami podzielić, policjantko Eins... policjantko Morgan.

Doakes zgryźliwie zachichotał. Rozkoszniaček.

Debora zaczerwieniła się, ale dzielnie parła naprzód.

- Chodzi o... o krystalizację komórkową. W przypadku ostatniej ofiary. Chciałabym sprawdzić, czy w ostatnim tygodniu nie skradziono w Miami żadnego samochodu chłodni.

Cisza. Kompletna, głucha cisza. Milczenie głupich krów. Nic do tych tępaków nie dotarło, a moja siostrzyczka nie potrafiła otworzyć im oczu. Zamiast coś dodać, czekała, aż cisza stanie się jeszcze głębsza, co LaGuerta natychmiast wykorzystała, wodząc zaskoczonym wzrokiem po sali, żeby sprawdzić, czy ktoś coś z tego rozumie. Potem uprzejmie spojrzała na Deborę.

- Samochodu... chłodni? - powtórzyła.

Debora zupełnie straciła głowę. Biedactwo. Nie dla niej publiczne wystąpienia.

- Tak - odrzekła.

LaGuerta odczekała chwilę; widać było, że świetnie się bawi.

- Uhm - powiedziała.

Deborze pociemniała twarz; zły to znak. Odchrząknąłem, a kiedy nie zareagowała, głośno zakaszlałem, dając jej

do zrozumienia, że musi zachować spokój. Popatrzyła na mnie. LaGuerta też.

- Przepraszam - powiedziałem. - Chłodno tu, chyba się przeziębiłem.

Czy można mieć lepszego brata?

- Chłodnia - wypaliła Debora, chwytając się koła ratunkowego, które jej rzuciłem. - Tego rodzaju uszkodzenia tkanki mogły powstać w chłodni. Samochód chłodnia jeździ, przemieszcza się z miejsca na miejsce, dlatego tak trudno jest namierzyć mordercę. Jemu z kolei łatwiej jest pozbywać się zwłok. Dlatego jeśli skradziono jakąś chłodnię... To może być dobry trop.

No, jakoś to wykrztusiła. W sali zakwitło kilka krzaczków zmarszczonych brwi. Niemal słyszałem zgrzyt obracających się w głowach trybików.

Ale LaGuerta tylko kiwnęła głową.

- To bardzo ciekawa... myśl, policjantko Morgan. - Szczególny nacisk położyła na słowo: „policjantko”, przypominając nam, że mamy demokrację i że w demokracji każdy może zabrać głos, ale doprawdy.. - Mimo to wciąż stawiam na tego świadka. On gdzieś tam jest. - Uśmiechnęła się politycznie nieśmiałym uśmiechem. - On albo ona - dodała, popisując się przenikliwością i bystrością. - Ktoś musiał coś widzieć. Tak wynika z dowodów rzeczowych. Dlatego skupmy się raczej na tym, a chwytanie się brzytwy zostawmy tym z Broward. - Zrobiła pauzę, czekając, aż przebrzmi stłumiony chichot. - Bardzo doceniam pani dotychczasowe wysiłki i byłabym wdzięczna za dalszą pomoc w przepytywaniu prostytutek. Dobrze panią znają.

Boże, była naprawdę świetna. Za jednym zamachem odwróciła ich uwagę od pomysłu Debory, pokazała siostrzyczce, gdzie jej miejsce, i podbiła podwładnych żartobliwą uwagą na temat naszej rywalizacji z policją hrabstwa Broward.

A wszystko to załatwiła ledwie kilkoma prostymi zdaniami. Miałem ochotę zaklaskać.

Z tym, oczywiście, że trzymałem stronę Debory, a Deborę właśnie znokautowano. Otworzyła usta, po chwili je zamknęła i przybierając minę obojętnej policjantki, zacisnęła zęby tak mocno, że zadrżały jej mięśnie szczęki. Piękne przedstawienie, ale szczerze mówiąc, nie umywało się do spektaklu, jakim uraczyła nas LaGuerta.

Pozostała część odprawy przebiegła bez żadnych niespodzianek. Nikt nie miał nic do powiedzenia ponad to, co zostało już powiedziane. Dlatego niedługo po mistrzowskim sztychu pani detektyw wszystko się skończyło i wyszliśmy na korytarz.

- Niech ją diabli - wymamrotała pod nosem Debora. - Niech ją diabli! Niech ją diabli!

- Absolutnie. - Musiałem się z nią zgodzić.

Łypnęła na mnie spođe łba.

- Wielkie dzięki, braciszku. Pomogłeś mi jak cholera.

Uniosłem brew.

- Przecież uzgodniliśmy, że nie będę się wtrącał. Żeby cała zasługa przypadła tobie.

- Ładna mi zasługa - prychnęła. - Wyszłam na idiotkę.

- Z całym szacunkiem, kochana siostrzyczko, ale spotkałyście się w połowie drogi.

Debora spojrzała na mnie, odwróciła wzrok i z odrazą podniosła rękę.

- A co miałam powiedzieć? Nie należę nawet do zespołu. Jestem tu tylko dlatego, że kapitan kazał im mnie przyjąć.

- Nie każąc im ciebie słuchać - dodałem.

- No i mnie nie słuchają - odparła z rozgoryczeniem. - I nie będą słuchać. Zamiast trafić do wydziału zabójstw, skończę na ulicy, wypisując mandaty za złe parkowanie.

- Zawsze jest jakieś wyjście.

Spojrzała na mnie z dogorywającą iskierką nadziei w oczach.

- Jakie?

Posłałem jej mój najbardziej pocieszający i najbardziej wyzywający uśmiech z cyklu: tak naprawdę to nie jestem rekinem.

- Znajdź tę chłodnię, siostrzyczko.

Moja kochana Debora odezwała się dopiero trzy dni później, a trzy dni bez rozmowy ze mną to bardzo długo jak na nią. Wpadła do laboratorium w czwartek, zaraz po lunchu, z bardzo skwaszoną miną.

- Znalazłam - powiedziała.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

- Co znalazłaś, Deb? Fontannę wiecznej goryczy?

- Ten samochód. Tę chłodnię.

- To wspaniała nowina. W takim razie dlaczego wyglądasz tak, jakbyś miała ochotę przylać komuś w twarz?

- Bo mam. - Rzuciła na biurko cztery czy pięć spiętych zszywkami kartek. - Spójrz.

Zerknąłem na pierwszą stronę.

- Aha. Ile tego jest?

- Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia trzy skradzione chłodnie, i to tylko w ostatnim miesiącu. Ci z drogówki mówią, że większość kończy w kanałach. Że palą je, a potem spychają do kanału, żeby dostać odszkodowanie. Nikt ich za bardzo nie szuka. Tych też nie szukali i nie zamierzają.

- Witamy w Miami.

Debora westchnęła, zabrała listę i opadła na krzesło, jakby zgubiła wszystkie kości.

- Nie ma mowy, żebym wszystkie sprawdziła. Nie sama. Potrwałoby to kilka miesięcy. Cholera. I co my teraz zrobimy?

Pokręciłem głową.

- Przykro mi, Deb, ale teraz musimy poczekać.

- I tyle? Wystarczy poczekać?

- Wystarczy.

I wystarczyło. Czekaliśmy dwa tygodnie, tylko dwa. Czekaliśmy i wreszcie...

9

Obudziłem się zlany potem, nie wiedząc, gdzie jestem i absolutnie przekonany, że wkrótce dojdzie do kolejnego morderstwa. Ten facet czyhał gdzieś niedaleko. Szukał następnej ofiary, prześlizgiwał się przez miasto jak rekin przez rafę. Byłem tego tak pewien, że niemal słyszałem szelest rozwijającej się taśmy klejącej. Tak, czyhał tam, zataczał wielkie, leniwe kręgi, karmił swojego Mrocznego Pasażera i rozmawiał z moim. A ja towarzyszyłem mu we śnie jak widmowa ryba-pilot.

Usiadłem i zerwałem z łóżka zmięte pościelenie. Budzik wskazywał czternaście minut po trzeciej nad ranem. Chociaż odkąd się położyłem, upłynęły tylko cztery godziny, czułem się tak, jakbym przez cały ten czas przedzierał się przez dżunglę z fortepianem na grzbiecie. Spocony, zeszywniały i ogłupiały, nie potrafiłem spłodzić ani jednej myśli poza tą, że to tam dzieje się beze mnie.

Nie ulegało wątpliwości, że już sobie nie pośpię. Zapaliłem światło. Ręce miałem lepkie i rozedrgane. Wytarłem je w prześcieradło, ale to nie pomogło. Prześcieradło też było wilgotne. Chwiejnie wszedłem do łazienki i odkręciłem kran. Woda była ciepła, miała pokojową temperaturę i przez chwilę, może przez sekundę, myłem ręce we krwi, i na chwilę woda zmieniła się w krew. Chociaż w łazience panował półmrok, cała umywalka spłynęła krwistą czerwienią.

Zamknąłem oczy.

I przeniosłem się do innego świata.

Wiedziałem, że to tylko gra światła i sztuczki rozespianego mózgu, wiedziałem, co trzeba zrobić. Zamknij oczy, otwórz je i złudzenie pryśnie i znowu zobaczysz czystą wodę. Tymczasem było tak, jakbym zamykając oczy na tym świecie, otwierał je w innym.

Znowu śniłem. Niczym ostrze noża znowu unosiłem się nad światłami Biscayne Boulevard, zimny i ostry znowu zmierzałem do celu...

Otworzyłem oczy. Woda była tylko zwykłą wodą.

Ale kim byłem ja?

Gwałtownie potrząsnąłem głową. Bez paniki, staruszku. Tylko się nie złość. Proszę. Wziąłem głęboki oddech i spojrzałem w lustro. W lustrze wyglądałem tak jak zwykle. Spokojna, opanowana twarz. Spokojne, nieco szydercze, niebieskie oczy. Doskonała imitacja żywego człowieka. Nie licząc włosów, które sterczały jak włosy Stana Laurela, absolutnie nic nie wskazywało na to, że coś przemknęło przez mój rozespiany mózg i wyrwało mnie ze snu.

Ostrożnie zamknąłem oczy jeszcze raz.

Ciemność.

Zwykła, jednolita ciemność. Żadnego latania, żadnej krwi czy ulicznych świateł. Tylko stary, poczciwy Dexter z zamkniętymi oczami przed lustrem.

Rozwarłem powieki. Jak się masz, chłopcze? Dobrze, że wróciłeś. Tylko gdzieś ty się, u licha, podziewał?

Dobre pytanie. Przez większość życia nie dręczyły mnie żadne sny, tym bardziej halucynacje. Nigdy nie miałem apokaliptycznych wizji, w podświadomości nie buzowały mi symbole z teorii Junga, a we śnie nie nawiedzały mnie tajemnicze, uporczywie powtarzające się obrazy. Kiedy już zasypiam, zasypiam całym sobą.

Więc co się przed chwilą stało? Skąd te widziadła i demony?

Obmyłem twarz i przygładziłem włosy. Oczywiście to nie rozwiązało zagadki, ale poczułem się trochę lepiej. Jak może być źle, skoro mam ładną fryzurę?

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem. Mogło być bardzo źle. Mogłem stracić wszystkie albo większość z moich klepek. Bo co, jeśli już od lat krok po kroku popadałem w obłąd i jeśli ten nowy morderca tylko dokończył dzieła, spychając mnie w otchłań kompletnego szaleństwa? Jak mogłem mieć nadzieję, że uda mi się zmierzyć normalność czy nienormalność kogoś takiego jak ja?

Obrazy i doznania były tak prawdziwe, że niemal namacalne. A przecież nie mogły takie być, bo przez cały czas byłem tu, w domu. Mimo to czułem zapach słonej wody, zapach spalin i tanich perfum unoszący się nad Biscayne Boulevard. Wszystko to zdawało się najzupełniej prawdziwe, a czyż jednym z symptomów obłądu nie jest przypadkiem niemożność odróżniania złudzeń od rzeczywistości? Tego nie wiedziałem i nie mogłem się dowiedzieć. Rozmowa z psychiatrą nie wchodziła oczywiście w rachubę; biedak umarłby z przerażenia, ale przedtem postawiłby sobie za punkt honoru, żeby mnie gdzieś zamknąć. Naturalnie nie mogłem polemizować z mądrością takiego posunięcia. Ale skoro zaczynałem tracić poczucie stworzonej przez siebie rzeczywistości, był to tylko mój problem, jego kwintesencją zaś było to, że nie mogłem tego w żaden sposób zweryfikować.

Chociaż z drugiej strony, sposób taki istniał.

Dziesięć minut później wjechałem do Dinner Key. Jechałem powoli, ponieważ nie wiedziałem, czego właściwie szukam. Ta część miasta jak zwykle już spała. Przez krajobraz nocnego Miami przewijało się niewielu ludzi: turyści, którzy wypili za dużo kubańskiej kawy i nie mogli zasnąć. Mieszkańcy Iowy szukający stacji benzynowej. Obcokrajowcy w drodze do South Beach. No i oczywiście wszystkie drapieźniki, zbiry, rabusie,

ćpuny, wampiry, upiory i wszelkiej maści potwory takie jak ja. Ale w tej dzielnicy o tej porze nocy błędziło ich ledwie kilku. To było Miami pustynne, najbardziej opustoszałe z opustoszałych, miejsce, gdzie straszyl duch dziennego tłumu. To było miasto, które zredukowało się do terenu łowieckiego, które zapomniało o jaskrawym słońcu i zrzuciło z siebie jarmarczny podkoszulek.

Tak więc polowałem. Śledziły mnie nocne oczy, śledziły i skreślały, gdy mijałem je, nie zwalniając. Jechałem na północ, przez stary zwodzony most, przez centrum Miami, wciąż nie wiedząc, czego szukam, i wciąż tego nie dostrzegając. Mimo to z jakiegoś niepokojącego powodu byłem absolutnie przekonany, że to znajdę, że jadę w dobrym kierunku, że to coś na mnie czeka.

Za Omni rozkwitło nocne życie. Więcej się tam działo, więcej było do oglądania. Okrzyki radości na chodnikach, metaliczna muzyka sącząca się z okien samochodów i do nich wpadająca. Wyszły na łów nocne ćmy, całe ich stadka na rogach ulic: chichotały do siebie lub gapiły się głupio na przejeżdżające samochody. Samochody zaś zwalniały, żeby pogapić się na nie, żeby popatrzeć ciekawie na ich stroje i to, co odsłaniały. Dwie ulice dalej przystanął nowiutki corniche i z cienia na chodniku wypadła na jezdnię niewielka sfera, żeby błyskawicznie go otoczyć. Ruch zamarł, zatrąbiły klaksony. Większość kierowców siedziała spokojnie, zadowolając się widokiem, i tylko jedna niecierpliwa ciężarówka spróbowała ominąć korek, zjeżdżając na sąsiedni pas.

Samochód chłodnia.

To nic nie znaczy, pomyślałem. Nocna dostawa jogurtu albo wieprzowych kielbasek na śniadanie; świeżość gwarantowana. Ładunek krewetek w drodze na lotnisko. Samochody chłodnie jeżdżą po Miami przez dwadzieścia cztery

godziny na dobę, nawet najgłębszą nocą. To po prostu zwykła chłodnia, nic więcej.

Mimo to wcisnąłem pedał gazu. Ruszyłem, ostrożnie skręcając to w lewo, to w prawo. Od corniche'a i jego obłąkanego kierowcy dzieliły mnie tylko trzy samochody. Ruch utknął na dobre. Popatrzyłem przed siebie. Chłodnia jechała w górę Biscayne, gdzie roilo się od świateł drogowych. Wiedziałem, że jeśli zostanę za daleko w tyle, zaraz ją zgubię. I nagle bardzo zapragnąłem ją dogonić.

Zaczekałem, aż na sąsiednim pasie zrobi się luka, i szybko skręciłem. Ominiąłem corniche'a, przyspieszyłem jeszcze bardziej i zbliżyłem się do chłodni. Wtedy nieco zwolniłem, nie chcąc, żeby kierowca mnie zauważył, lecz zwolniłem tylko trochę, stopniowo zmniejszając dzielącą nas odległość. Trzy skrzyżowania. Minutę później już tylko dwa.

Na jego skrzyżowaniu zapaliło się czerwone światło i zanim zdążyłem triumfalnie wcisnąć pedał gazu i go dogonić, na moim zapłonęło takie samo. Stałem. Zaskoczony zdałem sobie sprawę, że zagryzam wargę. Byłem spięty. Ja, lodowaty Dexter. Odczuwałem zdenerwowanie jak prawdziwy człowiek, zdenerwowanie i silny stres. Pragnąłem dogonić chłodnię i przekonać się, czy mam rację. Och, jak bardzo pragnąłem chwycić za klamkę, otworzyć szoferkę, zajrzeć do środka i...

I co? Aresztować go w pojedynkę? Wziąć go za rączkę i zaprowadzić do detektyw LaGuerty? Widzi pani, kogo złapałem? Mogę go sobie wziąć? Równie prawdopodobne było to, że to on zechce wziąć mnie. On polował, on był nabuzowany, tymczasem ja wlokłem się za nim jak niechciany braciszek. I w sumie po co? Tylko po to, żeby udowodnić, że to on, ten on, że właśnie krąży w poszukiwaniu ofiary, że nie zwariowałem? A jeśli nie zwariowałem, to jakim cudem go namierzyłem? Co się działo w moim mózgu? Kto wie, może jednak obłąd byłby rozwiązaniem dużo szczęśliwszym.

Tuż przed maską samochodu przez ulicę przechodził starzec, powłócząc nogami boleśnie i z niewiarygodną wprost powolnością. Przez chwilę obserwowałem go, zastanawiając się, jak to jest żyć w takim tempie, a potem spojrzałem przed siebie, na chłodnię.

Miała już zielone światło. Ja nie.

Przyspieszyła, jadąc na północ na granicy dozwolonej prędkości i jej tylne światła robiły się coraz mniejsze i mniejsze, podczas gdy ja wciąż stałem i czekałem.

Sę w tym, że światło za nic nie chciało się zmienić. Dlatego zacisnąwszy zęby – spokojnie, Dex! – przejechałem skrzyżowanie na czerwonym, o włos mijając starca. Ten ani nie zwolnił, ani nawet nie podniósł wzroku.

Na tym odcinku Biscayne Boulevard obowiązywało ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W Miami oznacza to, że jeśli jedziesz poniżej osiemdziesiątki, zepchną cię z jezdni. Ruchu prawie nie było, więc przyspieszyłem do stu pięciu, rozpaczliwie pragnąc zmniejszyć dzielącą nas odległość. Nagle tylne światła chłodni zamrugały i zniknęły. Skręcił? A może zawrócił? Przekroczywszy sto dwadzieścia na godzinę, z rykiem silnika minąłem wjazd na autostradę przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy, łukowaty zakręt przed Publix Market, wreszcie wpadłem na prostą, gorączkowo wypatrując chłodni.

I zobaczyłem ją. Tam, niedaleko.

Jechała w moim kierunku.

Ten sukinsyn zawrócił. Wyczuł, że siedzę mu na ogonie? Poczul zapach spalin mojego wozu? Wszystko jedno: to był on, to była ta sama ciężarówka, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, i gdy tylko się minęliśmy, skręciła na autostradę.

Z piskiem opon wjechałem na mały parking, zwolniłem, zawróciłem i pełnym gazem popędziłem tym razem na południe. Ulicę dalej ja też skręciłem na autostradę. Daleko,

daleko przede mną, prawie na pierwszym moście, dostrzegłem czerwone światelka, które szyderczo do mnie mrugały. Wcisnąłem pedał gazu do deski i pogałęm przed siebie.

Wjeżdżał już na most i wciąż przyspieszał, trzymając mnie na dystans. Musiał zatem wiedzieć, musiał zdawać sobie sprawę, że ktoś go śledzi. Wycisnąwszy z silnika wszystko, co się dało, metr po metrze zbliżyłem się do niego o kilka długości wozu.

I raptem zniknął po drugiej stronie, za grzbietem mostu, wpadając pełnym gazem do North Bay Village. Zwykle roiło się tam od policyjnych patroli. Jeśli nie zwolni, namierzą go i zatrzymają. A wtedy...

Wjechałem na most, spojrzałem w dół i...

Nic.

Tylko opustoszała jezdnia.

Zwolniłem, rozglądając się z góry na wszystkie strony. W moją stronę sunął powoli jakiś samochód. Nie, to nie chłodnia, to tylko mercury marquis z roztrzaskanym zderzakiem. Zjechałem na dół.

Za mostem autostrada rozdzielała North Bay Village na dwie dzielnice mieszkaniowe. Za stacją benzynową po lewej stronie ciągnął się łagodnym łukiem rząd niskich apartamentowców. Po prawej stały domy, małe, lecz kosztowne. Ani po prawej, ani po lewej nic się nie poruszało. Nie było tam żadnych światel, ruchu ulicznego, najmniejszych oznak życia.

Powoli wjechałem między domy. Pusto. Uciekł. Zgubiłem go. Zgubiłem go na wyspie z ledwie jedną przelotówką. Jakim cudem?

Zatoczyłem krąg, zjechałem na pobocze, stanąłem i zamknąłem oczy. Nie wiem dlaczego. Może miałem nadzieję, że znowu coś zobaczę. Ale nie zobaczyłem. Widziałem tylko ciemność i jaskrawe punkciki światła tańczące pod powiekami. Byłem zmęczony. I czułem się głupio. Tak, ja,

roztrzepany Dexter, który udając cudowne dziecko, siłą swojego wspaniałego, parapsychoicznego umysłu próbował wytropić geniusza zła. Który ścigał go swoim szybkim jak błyskawica wehikułem do zwalczania przestępczości. Tymczasem według wszelkiego prawdopodobieństwa był to tylko nakręcony rozwoziciel, młody chłopak, który postanowił zabawić się w macho z jedynym kierowcą na opustoszałej ulicy. W naszym pięknym Miami zdarzało się to codziennie. Pościgajmy się, i tak mnie nie dogonisz. A potem uniesiony do góry środkowy palec albo machnięcie spluwą: cóż, trudno, i z powrotem do roboty.

Zwykła ciężarówka, nic więcej, zwykła chłodnia, która pędziła teraz przez Miami Beach, rycząc heavy metalem z głośników radiowych. To nie był on, to nie był mój morderca. I to nie tajemnicza siła wyciągnęła mnie z łóżka i kazała przejechać przez całe miasto w środku nocy. Nie, bo takie wytłumaczenie było zbyt głupie, by ujmować je w słowa, zbyt idiotyczne dla zrównoważonego, pozbawionego uczuć Dextera.

Głowa opadła mi na kierownicę. Jakie to cudowne przeżycie coś tak autentycznie ludzkiego. Teraz już wiedziałem, jak czuje się kompletny kretyn. Zadzwonił dzwonek, ostrzegając, że zaraz podniesie się most. Ding, ding, ding. Alarmowy dzwonek mojego do cna wyczerpanego intelektu. Ziewnąłem. Pora wracać do domu, do łóżka.

Gdzieś z tyłu zawarczał silnik. Spojrzałem przez ramię.

Wyjechała zza stacji benzynowej u stóp mostu, wyjechała i weszła w ciasny skręt. Mocno zarzuciła tyłem i minęła mnie, wciąż przyspieszając. Zamazana smuga, rozmyta sylwetka kierowcy w szoferce, jego dziki, gwałtowny ruch. Uchyliłem się. Coś grzmotnęło w karoserię i oczami wyobraźni ujrzałem rachunek za naprawę wgniecenia. Na wszelki wypadek odczekałem jeszcze chwilę. Potem podniosłem głowę. Staranowawszy drewnianą barierkę, chłodnia wpadła na most

w chwili, gdy zaczął się podnosić, i nie zważając na krzyk wychylającego się przez okno dróżnika, wciąż przyspieszając, bez trudu przeskoczyła na drugą stronę. A potem zniknęła za wędrującym do góry przesłem, za szybko powiększającą się wyrwą w jezdni. Zniknęła, przepadła, rozplynęła się w ciemności, jakby nigdy jej nie było. A ja już nigdy się nie dowiem, czy był to mój morderca, czy zwykły palant z Miami.

Wysiadłem, żeby obejrzyć wgniecenie. Było duże. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czym we mnie rzucił.

Potoczyła się trzy, cztery metry dalej i zatrzymała na środku jezdni. Nie można jej było z niczym pomylić nawet z tej odległości, ale żebym miał całkowitą pewność, oświetliły ją reflektory nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu. Ułamek sekundy później samochód gwałtownie skręcił, wpadł na żywopłot i ponad przeciągłym trąbieniem klaksonu usłyszałem wrzask przerażonego kierowcy. Wszedłem na jezdnię.

Tak. To było to, bez dwóch zdań.

Głowa kobiety.

Pochyliłem się. Była bardzo starannie odcięta, kawał dobrej roboty. Wokół rany nie dostrzegłem ani śladu krwi.

- Dzięki Bogu - wyszeptałem i zdałem sobie sprawę, że się uśmiecham.

Bo czy to nie miłe uczucie? A jednak nie zwariowałem.

Kilka minut po ósmej, gdy wciąż siedziałem na masce, podeszła do mnie LaGuerta. Oparła pięknie wykrojone pośladki o samochód, podciągnęła się i usiadła tak blisko mnie, że dotknęliśmy się udami. Czekałem, aż coś powie, ale wyglądało na to, że zabrakło jej słów. Mnie też. Dlatego siedziałem tak przez chwilę, patrząc na most, czując na nodze ciepło jej nogi i zastanawiając się, gdzie przepadł mój przyjaciel i jego chłodnia. Z rozmyślań wyrwał mnie silny nacisk na udo.

Zerknąłem w dół. LaGuerta ugniatała mi je jak ciasto. Spojrzałem na nią. Ona na mnie.

- Znaleźli ciało - powiedziała. - Komplet od tej głowy.

Wstałem.

- Gdzie?

Popatrzyła na mnie jak gliniarz na kogoś, kto codziennie znajduje na ulicy bezgłowe tułowia. Mimo to odpowiedziała.

- Na stadionie Office Depot Center.

- Tam, gdzie grają Pantery? - Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Na lodowisku?

Kiwnęła głową, uważnie mnie obserwując.

- Te Pantery to drużyna hokejowa?

- Chyba tak się nazywają - odparłem, nie mogąc się powstrzymać.

Ściągnęła usta.

- Leży w bramce.

- Gości czy gospodarzy?

Szybko zamrugła.

- To ważne?

Pokręciłem głową.

- Żartowałem.

- Nie znam się na tym. Muszę ściągnąć tu kogoś, kto zna się na hokeju. - Wreszcie przestała na mnie patrzeć i spojrzała na tłum gapiów, pewnie szukając kogoś z krążkiem w rękę. - Cieszę się, że potrafisz z tego żartować - dodała. - Co to jest... - Zmarszczyła czoło, próbując coś sobie przypomnieć. - Samboli.

- Samboli?

Wzruszyła ramionami.

- Taka maszyna. Jeździ po lodzie.

- Zamboni. To nazwa firmy.

- Wszystko jedno. Facet jeździ nią codziennie rano. Dwóch hokeistów chce potrenować; przychodzą bladym świtem, bo lubią świeży lód. Facet wsiada do tego... - Lekko się zawahała. - Do tego samboli i wjeżdża na taflę. Wjeżdża i widzi worki. W bramce. Podjeżdża bliżej, żeby się im przyjrzeć... - Ponownie wzruszyła ramionami. - Jest tam teraz Doakes. Mówi, że nie może go uspokoić, że wyciągnął z niego tylko tyle.

- Znam się trochę na hokeju.

Spojrzała na mnie spod ciężkich powiek.

- Tyłu rzeczy o tobie nie wiem. Grasz w hokeja?

- Nie, nigdy nie grałem - odparłem skromnie. - Ale byłem na kilku meczach. - LaGuerta milczała i musiałem zagryźć wargę, żeby przestać bredzić. Prawda była taka, że Rita miała karnet na mecze florydzkich Panter i stwierdziłem, że hokej mi się podoba. Nie chodziło tylko o to, że lubiłem patrzeć na ten wesoły, ludobójczy chaos. Siedzenie w wielkiej, chłodnej sali w jakiś sposób mnie odprężyło i z taką samą przyjemnością obejrzałbym tam mecz golfa. A tak naprawdę powiedziałbym

dosłownie wszystko, żeby tylko LaGuerta zabrała mnie na lodowisko. Chciałem tam po prostu być, i to bardzo. Chciałem zobaczyć ułożone w bramce zwłoki, pragnąłem je zobaczyć jak nic innego na świecie, jak nic innego na świecie pragnąłem rozwiązać worek i popatrzeć na to suchutkie, czyściutkie ciało. Pragnąłem tego tak bardzo, że czułem się jak komiksowy pies, który wystawia myśliwemu zwierzyne, tak bardzo, że ogarnęła mnie zaborcza, arogancka wprost chęć posiadania go na własność.

- No, dobrze. - powiedziała LaGuerta, gdy już miałem wypełznąć z własnej skóry. I uśmiechnęła się do mnie, ale tak jakoś dziwnie, uśmiechem po trosze oficjalnym, po trosze... jakim? W każdym razie innym, niestety bardziej ludzkim i dla mnie niezrozumiałym. - Będziemy mieli okazję porozmawiać.

- Bardzo chętnie - odparłem, ociekając czarem i urokiem osobistym. Ale LaGuerta nie zareagowała. Może mnie nie słyszała; nie, żeby miało to jakieś znaczenie. Jeśli chodziło o wizerunek własny, nie potrafiła wyczuć żadnego, najdelikatniejszego nawet sarkazmu. Można jej było powiedzieć najgłupszy komplement w świecie i przyjąłaby go jak coś oczywistego. Nie lubiłem prawić jej komplementów. Zabawa bez żadnego wyzwania nie jest zabawą. Ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Niby o czym mieliśmy rozmawiać? Przecież wymagowała mnie bezlitośnie zaraz po przyjeździe.

Staliśmy przy moim biednym, poobijanym samochodzie i oglądaliśmy wschód słońca. Patrząc na autostradę, siedem razy spytała mnie, czy widziałem kierowcę chłodni, za każdym razem z inną modulacją głosu, marszcząc brwi między kolejnymi pytaniami. Pięć razy spytała, czy na pewno była to chłodnia; jestem przekonany, że chciała być bardzo subtelna. Jestem również przekonany, że kusiło ją, by zadać mi znacznie więcej pytań na ten temat, ale ugryzła się w język, żebym

nie zaczął czegoś podejrzewać. Raz się zapomniała i spytała mnie o to po hiszpańsku. Odparłem, że jestem *seguro*, a ona spojrzała na mnie, dotknęła mego ramienia i nie spytała już o nic więcej.

Trzy razy patrzyła na most, kręcąc głową i mrużąc pod nosem: „Putą!” Najwyraźniej miała na myśli policjantkę Putę, moją kochaną siostrzyczkę Deboreę. W związku z tym, że przewidywania Debory się sprawdziły i chłodnia naprawdę istniała, pani detektyw musiała wykorzystać ten fakt do celów propagandowych i sądząc po tym, z jaką łapczywością żuła dolną wargę, na pewno intensywnie myślała, jak to zrobić. Nie miałem wątpliwości, że wpadnie na coś bardzo nieprzyjemnego dla Debory – w tym była najlepsza – jednak nie opuszczała mnie nadzieja, że akcje mojej siostry wzrosną, przynajmniej chwilowo. Nie u LaGuerty naturalnie, lecz istniała szansa, że inni też zauważą ów błyskotliwy pokaz dobrej, solidnej, detektywistycznej roboty.

To dziwne, ale LaGuerta nie spytała mnie, dlaczego jeździłem po mieście o tej zwariowanej porze. Nie jestem detektywem, ale wydawało mi się, że jest to pytanie dość oczywiste. Byłbym nieuprzejmy, twierdząc, że tego rodzaju błędy są dla niej typowe, no ale co prawda, to prawda. Po prostu mnie nie spytała.

Mimo to mieliśmy najwyraźniej wiele innych tematów do omówienia. Dlatego ruszyliśmy do jej samochodu, wielkiego, dwuletniego, jasnoniebieskiego chevroleta, którym jeździła na służbie. Po pracy siadała za kółkiem małego bmw, o którym nikt podobno nie wiedział.

- Wsiadaj - rzuciła i usiadłem na czystym, niebieskim siedzeniu pasażera.

Jechała szybko, zygzakując między samochodami, i już kilka minut później byliśmy na autostradzie od strony miasta, daleko za Biscayne i kilkaset metrów od I-95. Zjechała na szosę

i pozygzakowaliśmy na północ, pędząc z prędkością zbyt dużą nawet jak na Miami. Ale dotarliśmy jakoś do 595 i skręciliśmy na zachód. Zanim się odezwała, trzy razy spojrzała na mnie kątem oka.

- Ładna koszula - powiedziała.

Zerknąłem w dół. Włożyłem ją w pośpiechu, wybiegając z mieszkania, i dopiero teraz zobaczyłem, co mam na sobie. Poliestrowa koszula do gry w kręgle, ta w jaskrawoczerwone smoki. Nosilem ją przez cały dzień i była troszkę nieświeża, ale tak, wyglądała dość czysto. Czysto i ładnie, mimo to...

Czy LaGuerta zagadywała mnie, żebym odprężył się i do czegoś przyznał? Podejrzewała, że wiem więcej, niż mówię, i myślała, że opuszczę gardę?

- Zawsze się tak ładnie ubierasz... - dodała. I spojrzała na mnie z szerokim, głupkowatym uśmiechem, nie widząc, że grozi nam zderzenie z cysterną. W ostatniej chwili odwróciła wzrok i jednym palcem przekreśliła kierownicę: ominęliśmy cysternę i popędziliśmy dalej na zachód.

„Zawsze się tak ładnie ubierasz”. Pewnie. Szczyć się tym, że jestem najlepiej ubranym potworem w hrabstwie Dade. Tak, oczywiście, poćwiartował tego biednego pana Duarte, ale tak ładnie się ubierał! Odpowiednie ubranie na każdą okazję - à propos, co się wkłada na poranną dekapitację? Jednodniową koszulę do gry w kręgle i luźne spodnie naturalnie. Byłem à la mode. Ale nie licząc dnia dzisiejszego, tej włożonej pospiesznie koszuli i spodni, naprawdę byłem bardzo uważny. Nauczył mnie tego Harry: bądź czysty i zadbany, ubieraj się ładnie i nie rzucaj się w oczy.

Ale niby dlaczego politycznie wyrobiona pani detektyw z wydziału zabójstw miałyby zauważyć moją koszulę? Dlaczego miałyby ją obchodzić, w co się ubieram? Nie chce chyba...

A może? W głowie zaległa mi się mała, wredna myśl. Odpowiedź podsunął mi ten dziwny uśmieszek, który

przemknął przez jej twarz i szybko zniknął. Nie, to absurdalne, ale cóż innego mogło to znaczyć? LaGuerta nie szukała sposobu, żeby mnie podstępnie podejść i jeszcze bardziej szczegółowo wypytać o to, co tam widziałem. I miała głęboko gdzieś moją znajomość hokeja.

LaGuerta próbowała być miła i towarzyska.

Wpadłem jej w oko.

Nie otrząsnąłem się jeszcze z koszmarnego szoku po moim nagłym, dziwacznym i niezdarnym ataku na Ritę, a tu masz. Naprawdę się jej podobałem? Czyżby terroryści wrzucili coś do naszych wodociągów? Czyżbym wydzielał jakieś dziwne feromony? Czyżby wszystkie mieszkanki Miami zdały sobie nagle sprawę, że mężczyźni są beznadziejni i automatycznie stałem się dla nich atrakcyjny? Co się, u diabła, tu dzieje?

Oczywiście mogłem się mylić. Przeżuwałem tę myśl jak barakuda przeżuwa srebrzystą błyskotkę. Miałbym uznać, że ta wytworna, wyrafinowana karierowiczka okazuje zainteresowanie kimś takim jak ja? Przecież to egotyzm nad egotyzmami. Czy bardziej prawdopodobne nie jest to, że... że...

Że co? Niestety, chociaż wyglądało to fatalnie, zdawało się, że wszystko pasuje. Uprawialiśmy podobny zawód, a policyjna mądrość głosi, że tacy ludzie lepiej się rozumieją i łatwiej sobie wybaczą. Nasz związek mógł przetrwać i długie godziny, jakie spędzała na służbie, i stresujący tryb życia. Poza tym, chociaż to zupełnie nie moja zasługa, jestem podobno w miarę przystojny; dekoracyjny ze mnie gość, jak mawiamy my, mieszkańcy Miami. No i już od ładnych kilku lat jestem dla niej czarujący. Oczywiście tylko ze względów politycznych, ale nie musiała o tym wiedzieć. A byłem w tym dobry, to jedna z moich nielicznych słabostek. Długo i intensywnie się tego uczyłem i kiedy już czarowałem, nikt nie potrafił poznać, że udaję. Tak, w rozsiewaniu nasion uroku osobistego byłem

naprawdę dobry. Może to naturalne, że nasiona te w końcu zakiełkowały.

Ale zakiełkowały i zapaściły korzonki w co? Gdzie? Co teraz? Zaproponuj mi cichą, miłą kolacyjkę? Czy parę godzin ociekającej potem rozkoszy w motelu Caciqwe?

Na szczęście dotarliśmy na miejsce, zanim całkowicie uległem panice. LaGuerta okrążyła stadion, szukając właściwego wejścia. Nietrudno je było znaleźć. Przed rzędem podwójnych drzwi stało kilka pospiesznie zaparkowanych radiowozów. Powoli wjechała między nie i wyłączyła silnik. Wskoczyłem z samochodu, zanim zdążyła położyć mi rękę na kolanie. Ona też wysiadła i patrzyła na mnie przez chwilę. Drżały jej usta.

- Rozejrzę się - powiedziałem. Niewiele brakowało i bym tam wbiegł. Uciekałem od LaGuerty, tak, ale chciałem również jak najszybciej znaleźć się w środku, zobaczyć, co zrobił mój swawolny przyjaciel, pobyc tam, gdzie pracował, całym sobą chłonąć ten cud, może się czegoś nauczyć.

Na widowni rozbrzmiewało echo dobrze zorganizowanego chaosu, jaki panuje na każdym miejscu zbrodni, mimo to zdawało się, że powietrze jest przesycone elektrycznością, lekko przytłumionym podnieceniem, napięciem, którego brakuje na miejscu zwykłego morderstwa, poczuciem, że to jest inne, że zdarzyć tu się może coś nowego i cudownego, bo właśnie wyznaczamy nowy kierunek rozwoju naszej profesji. Ale może tylko ja tak to odczuwałem. Wokół bramki stała grupka ludzi. Kilku z nich było w mundurach policji hrabstwa Broward; z założonymi rękami patrzyli, jak kapitan Matthews wyklóca się o kompetencje z kimś w sztytm na miarę garniturze. Podeszedłszy bliżej, zobaczyłem Angela-Bez-Skojarzeń w niezwyklej jak dla niego pozie: stał nad jakimś łysielcem, który klęczał na jednym kolanie, grzebiąc w stercie starannie zawiniętych pakunków.

Przystanąłem za bandą, żeby popatrzeć przez szklaną osłonę. No i proszę. Było tam, ledwie trzy metry ode mnie. Na czyściutkim, idealnie wygładzonym lodzie wyglądało doskonale. Każdy jubiler powie, że najważniejsza jest odpowiednia oprawa, a ta była... ta była oszałamiająca. Absolutnie doskonała. Zakręciło mi się w głowie. Bałem się, że banda nie wytrzyma, że przeniknę przez twarde drewno niczym ulotna mgiełka.

Widziałem to nawet stamtąd. Nie spieszył się, zrobił to czysto i porządnie, chociaż tam, na autostradzie, omal go nie dopadłem. A może jakimś cudem wiedział, że nie życzę mu źle?

A skoro już poruszyłem ten temat, czy na pewno dobrze mu życzyłem? A może chciałem go wysledzić i znaleźć jego legowisko tylko po to, żeby ułatwić Deborze karierę? Oczywiście, że tak, ale czy zdołałem w tym wytrwać, skoro już teraz sprawy zaczęły przybierać tak ciekawy obrót? Oto byliśmy na lodowisku, gdzie spędziłem wiele przyjemnych godzin, medytując i oddając się kontemplacji. Czyż to nie kolejny dowód, że ten artysta – przepraszam, chciałem powiedzieć „morderca”, oczywiście – kroczy ścieżką równoległą do mojej? Wystarczyło popatrzeć na jego cudowne dzieło.

No i ta głowa. Głowa była kluczem. Nie ulegało wątpliwości, że jest częścią zbyt ważną, żeby ją tak zwyczajnie wyrzucił. Wyrzucił ją, żeby mnie przestraszyć, przerazić, zatrwożyć? Czy też wiedział, że odczuwam to samo co on? Czy to możliwe, by i on wyczuwał, że łączy nas coś wspólnego, i chciał po prostu trochę podokazywać? Podroczyć się ze mną? Musiał mieć ważny powód, by sprezentować mi tak piękne trofeum. Doświadczałem potężnego, oszałamiającego uczucia – czy to możliwe, żeby on nie doświadczał absolutnie żadnego?

Stanęła obok mnie.

- Tak bardzo się spieszyłeś - powiedziała z lekką skargą w głosie. - Boisz się, że ci ucieknie? - Ruchem głowy wskazała zwłoki.

Wiedziałem, że w zakamarkach umysłu mam na to zręczną odpowiedź, coś, co by ją rozbawiło, jeszcze bardziej oczarowało, złagodziło urazę, jaką odczuwała po tym, gdy wyrwałem się z jej szponów. Ale stojąc przy bandzie i patrząc na leżące w lodowej bramce ciało - można by rzec, że w obecności czegoś wielkiego i wspaniałego - nie mogłem zdobyć się na żaden żart. Miałem ochotę wrzasnąć, żeby się zamknęła, i omal nie wrzasnąłem; niewiele brakowało.

- Musiałem to zobaczyć - odparłem w zadumie i zdołałem otrząsnąć się na tyle, by dodać: - To bramka gospodarzy.

Żartobliwie klepnęła mnie w ramię.

- Jesteś potworny - rzuciła. Na szczęście podszedł sierżant Doakes i nie zdążyła zalotnie zachichotać, czego na pewno bym nie zniósł.

Doakes, który jak zwykle szukał sposobu, żeby rozchylić mi żebra i żywcem wypatroszyć, posłał mi na dzień dobry tak ciepłe i przeszywające spojrzenie, że czym prędzej się wycofałem i zostawiłem ich samych. Długo gapił się za mną z miną, która mówiła, że muszę mieć coś na sumieniu i że chętnie pogrzebałby w moich wnętrznościach, żeby sprawdzić co. Na pewno czułyby się dużo lepiej w kraju, gdzie policji wolno złamać komuś kość piszczelową albo udową, przynajmniej od czasu do czasu. Obszedłem go szerokim łukiem, idąc powoli wzdłuż bandy do najbliższego wyjścia na taflę. Właśnie je znalazłem, gdy wtę ktoś zaszedł mnie od tyłu i dość mocno przyłożył mi w bok.

Wyprostowałem się, żeby stawić czoło napastnikowi z nieuniknionym siniakiem na żebrach i wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Witaj, siostrzyczko - powiedziałem. - Jak to miło zobaczyć przyjazną twarz.

- Ty sukinsynu!

- Skoro tak twierdzisz. Ale dlaczego podnosisz ten temat akurat teraz?

- Bo wpadłeś na trop, ty nędzna gnido, i do mnie nie zadzwoniłeś!

- Na trop? - Niewiele brakowało i zacząłbym się jąkać. - Skąd ten pomysł?

- Przestań pieprzyć - prychnęła. - Nie jeździłeś po mieście o czwartej nad ranem, szukając dziwek. Wiedziałeś, gdzie on jest.

Dopiero wtedy mnie olśniło. Moje problemy - sen, to, że najwyraźniej nie był to tylko sen, koszmarnie spotkanie z LaGuertą - pochłonęły mnie do tego stopnia, że nie przyszło mi do głowy, iż źle ją potraktowałem. Fakt, nic jej nie powiedziałem. Musiała się wkurzyć, to oczywiste.

- To nie był żaden trop, siostrzyczko - odparłem, próbując ją trochę ułagodzić. - Niczego nie wiedziałem. Miałem tylko... przeczucie. Mglistą myśl, nic więcej. Naprawdę.

Znowu dźgnęła mnie w bok.

- Tylko że to nic okazało się czymś - warknęła. - Znalazłeś go.

- Szczerze mówiąc, nie jestem tego pewien. To raczej on znalazł mnie.

- Nie bądź taki sprytny - odparła, a ja rozłożyłem ręce, żeby pokazać jej, że to chyba niemożliwe. - Obiecałeś, do cholery!

Nie przypominałem sobie, żebym obiecywał dzwonić do niej w środku nocy i opowiadać jej moje sny, ale uznałem, że taka odpowiedź byłaby wybitnie niepolityczna.

- Przepraszam, Deb - odrzekłem. - Naprawdę nie sądziłem, że coś z tego wyjdzie. To było tylko... przeczucie. - Bynajmniej nie zamierzałem zagłębiać się w problem i wyjaśniać jego aspektów parapsychologicznych, nawet Deborze. A może zwłaszcza Deborze. Tym bardziej że w tym samym momencie uderzyło mnie zupełnie coś innego. - Ale może ty będziesz mogła pomóc mnie. Co mam powiedzieć, jeśli mnie pytają, dlaczego jeździłem po mieście o czwartej nad ranem?

- LaGuerta cię przesłuchała?

- Wyczerpująco - odparłem i omal się nie wzdrygnąłem.

Deb skrzywiła się z odrazą.

- I nie spytała. - To było stwierdzenie.

- Na pewno ma na głowie ważniejsze sprawy. - Nie dodałem, że jedną z nich jestem najwyraźniej ja. - Ale wcześniej czy później ktoś mnie o to spyta. - LaGuerta wciąż stała z Doakesem, dowodząc akcją. Spojrzałem w ich stronę. - Prawdopodobnie on - dodałem z prawdziwym przerażeniem.

Debora kiwnęła głową.

- To porządny gliniarz. Może trochę pozer.

- Może i pozer, ale z jakiegoś powodu mnie nie lubi. Spyta mnie o wszystko choćby tylko po to, żeby popatrzeć, jak się przed nim wiję.

- Więc powiedz mu prawdę - odparła z kamienną twarzą Deb. - Ale najpierw powiedz ją mnie. - I znowu dała mi kuksańca w to samo miejsce co przedtem.

- Proszę cię. Przecież wiesz, że od razu mam siniaki.

- Nie, nie wiem. Ale mam ochotę się przekonać.

- To się już nie powtórzy - obiecałem. - To było tylko zwykłe natchnienie, takie wiesz, o trzeciej nad ranem. Co byś powiedziała, gdybym zadzwonił, a potem okazałoby się, że to kompletne pudło?

- Ale się nie okazało. - Dźgnęła mnie w bok po raz czwarty. - Bo trafiłeś.

- Ale byłem przekonany, że chybię. Czułbym się głupio, wciągając w to ciebie.

- A wyobraź sobie, jak czułabym się ja, gdyby ten facet cię zabił.

Tym mnie zaskoczyła. Nie, za nic nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Żałowałaaby mnie? Byłaby zawiedziona? Zła? Boję się, że empatia jest dla mnie pojęciem zupełnie obcym. Dlatego po prostu powtórzyłem:

- Przepraszam. - I ponieważ jestem niepoprawnym optymistą, który w każdym problemie dostrzega dobre strony, szybko dodałem: - Ale przynajmniej ta chłodnia naprawdę tam była.

Debora zamrugła.

- Chłodnia?

- Och, Deb. Nic ci nie powiedzieli?

Grzmotnęła mnie w bok po raz piąty.

- Cholera jasna - syknęła. - Mów, co z tą chłodnią!

- Była tam - odparłem cokolwiek zażenowany emocjonalną nagością jej reakcji, no i oczywiście tym, że ładna, atrakcyjna kobieta daje mi tego w kość. - Jechał chłodnią. Kiedy wyrzucił tę głowę.

Chwyliła mnie za rękę i wytrzeszczyła oczy.

- Pieprzysz.

- Nie, nie pieprzę.

- Chryste! - Zapatrzyła się w dal i w górę, bez wątpienia widząc unoszący się nad moją głową awans. Pewnie by coś dodała, ale w tym samym momencie przez rozbrzmiewający echem rozgwar przebił się głos Angela-Bez-Skojarzeń.

- Szefowo? - zawołał, patrząc na LaGuertę. Był to okrzyk bardzo dziwny, podświadomy, jak na wpół zduszony krzyk

człowieka, który nigdy nie mówi głośno w obecności innych, jednak było w nim coś takiego, że wszyscy natychmiast zamilkli. Znalazłem coś ważnego, ale o Boże! – szok i triumf, dwa w jednym, tak to mniej więcej zabrzmiało. Wszyscy spojrzeli w jego stronę, a on ruchem głowy wskazał klęczącego łysielca, który powoli i ostrożnie wyjmował coś z leżącego na wierzchu worka.

Wreszcie to wyjął, niezdarnie przełożył z ręki do ręki, niechcący upuścił i przedmiot smyrgnął po lodzie. Łysielec nachylił się, żeby go podnieść, poślizgnął się, upadł, smyrgnął za tym czymś z worka i posmyrgali tak razem aż do bandy. Trzęsącymi się rękami Angel chwycił wreszcie błyszczący przedmiot i podniósł go do góry. Zapadła całkowita cisza, cisza pełna nabożnego lęku, zapierająca dech w piersi, piękna jak gromkie brawa publiczności nagradzającej nowe dzieło geniusza.

Było to lustерko samochodowe. Boczne. Od ciężarówki.

Puchaty pled pełnej oszołomienia ciszy otulał lodowisko tylko przez chwilę. A potem w wypełniającym go rozgwarze zabrzmiała zupełnie nowa nuta, ponieważ wszyscy chcieli obejrzeć lusterko, wszyscy próbowali wyjaśnić, skąd się wzięło, wszyscy snuli domysły.

Lusterko samochodowe. Co to, u diabła, znaczy?

Dobre pytanie. Chociaż byłem poruszony, chwilowo nie miałem żadnej teorii na temat. Czasami jest tak, gdy obcuje się z wielką sztuką, taką prawdziwą. Robi wrażenie, ale nie wiadomo dlaczego. Czy miał to być głęboki symbolizm? Tajemnicze przesłanie? Rozpacзлиwa prośba o pomoc i zrozumienie? Zagadka nie do rozwiązania, lecz dla mnie nie to było najważniejsze, przynajmniej nie w tej chwili. Bo w tej chwili pragnąłem po prostu to chłonąć, chłonąć całym sobą. Niechaj inni martwią się tym, skąd się tam wzięło. Ostatecznie mogło zwyczajnie odpaść, a on postanowił wrzucić je do pierwszego lepszego worka na śmieci.

Nie, to niemożliwe. Oczywiście, że nie. Zacząłem o tym myśleć i już nie mogłem przestać. Lusterko trafiło do worka z jakiegoś powodu, z bardzo ważnego powodu. Te worki nie były dla niego zwykłymi workami. Jak udowodnił to elegancko tą wspaniałą lodową scenerią, odpowiednia oprawa stanowiła istotną część tego, co robił. Liczył się tu każdy szczegół. I właśnie dlatego zacząłem zastanawiać się nad znaczeniem lusterka. Chociaż wyglądało to na gest zupełnie spontaniczny, musiałem założyć, że umieścił je między częściami ciała jak najbardziej celowo. I czułem - wrażenie

to kielkowało w głębi ciała, gdzieś za płucami - że jest to bardzo starannie ułożona i bardzo prywatna wiadomość.

Dla mnie?

Jeśli nie dla mnie, to dla kogo? Reszta tej lodowej prezentacji była adresowana do całego świata: Zobaczcie, kim jestem. Zobaczcie, kim jesteśmy my wszyscy. Zobaczcie, co w związku z tym robię. Ale lusterko nie. Ćwiartowanie zwłok, spuszczenie krwi - to było eleganckie i konieczne. Lecz lusterko - zwłaszcza jeśli pochodziło z samochodu chłodni, który niedawno ścigałem - zupełnie do tego nie pasowało. Owszem, było elementem bardzo szykownym, ale co mówiło o tym, jak naprawdę jest? Nic. Dodano je z innej przyczyny, a przyczyna ta musiała być innym, zupełnie nowym rodzajem deklaracji. Poczułem się tak, jakby przeszedł mnie prąd. Jeżeli lusterko pochodziło z samochodu chłodni, mogło być przeznaczone wyłącznie dla mnie.

Tylko co oznaczało?

- Co to, u diabła, jest? - mruknęła Deb. - Lusterko. Dlaczego?

- Nie wiem - odparłem, wciąż czując, jak pulsuje we mnie bijąca z niego moc. - Ale założę się z tobą o porcję krabów u Joego Stone'a, że pochodzi z tej chłodni.

- Zakład odpada. Ale dowiedzieliśmy się przynajmniej czegoś ważnego.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Czy to możliwe, żeby intuicja odpowiedziała jej coś, co przeoczyłem?

- Czego, siostrzyczko?

Ruchem głowy wskazała grupkę tych z szefostwa, którzy wciąż handryczyli się przy bandzie.

- Kompetencje - wyjaśniła. - To zabójstwo jest nasze. Chodźmy.

Na pierwszy rzut oka nowe dowody rzeczowe nie wywarły na LaGuercie żadnego wrażenia. Cóż, niewykluczone, że odczuwając głęboki i nieprzemijający niepokój o symboliczne znaczenie lusterka, ukrywała go pod maską starannie wystudiowanej obojętności. Albo to, albo była głupia jak stos polnych kamieni. Wciąż stała z Doakesem. Musiałem przyznać, że sierżant robił wrażenie szczerze zatroskanego, ale z drugiej strony, może to tylko twarz zmęczyła mu się od tego ciągłego łpania spode łba i właśnie wypróbowywał nową minę.

- Policjantka Morgan - rzuciła LaGuerta. - Nie poznałam pani w ubraniu.

- Niektórzy nie zauważają wielu oczywistych rzeczy - wypaliła Debora, zanim zdążyłem ją powstrzymać.

- To prawda - odparowała LaGuerta. - Dlatego niektórzy nigdy nie zostaną detektywami. - Było to zwycięstwo całkowite i odniesione bez najmniejszego wysiłku, dlatego LaGuerta nawet nie zaczęła, żeby sprawdzić, czy piłka trafiła do bramki. Odwróciła się plecami do Debory i zagadała do Doakesa: - Dowiedz się, kto ma klucze do budynku. Kto mógł tu wejść, kiedy chciał.

- Uhm - odparł Doakes. - Sprawdzić zamki? Może się włamał.

- Nie - odrzekła LaGuerta z lekko i jakże ślicznie zmarszczonym czołem. - Oto nasz lód. - Zerknęła na Debore. - Ta chłodnia miała nas tylko zmylić. - Ponownie przeniosła wzrok na Doakesa. - Do uszkodzenia tkanek doszło pod wpływem lodu. Tego tu. Dlatego morderca musi mieć coś wspólnego z tym lodowiskiem. - Jeszcze raz zerknęła na Debore. - A nie z samochodem chłodnią.

- Uhm - powtórzył Doakes. Nie był chyba do końca przekonany, ale to nie on tu dowodził.

LaGuerta spojrzała na mnie.

- Możesz już chyba wracać do domu, Dexter - powiedziała. - Jeśli będziesz potrzebny, wiem, gdzie cię szukać. - Przynajmniej nie puściła do mnie oka.

Deb odprowadziła mnie do wielkich, podwójnych drzwi.

- Jeśli nic się nie zmieni, za rok będę przeprowadzała dzieci przez ulicę - mruknęła.

- Przesadzasz. Najdalej za dwa miesiące.

- Dzięki.

- Posłuchaj. Nie możesz sprzeciwiać się jej tak otwarcie. Widziałas, jak robi to Doakes? Trochę subtelności, na miłość boską.

- Subtelność. - Nagle stanęła jak wryta i chwyciła mnie za ramię. - To ty posłuchaj. To nie jest żadna gra.

- Ależ oczywiście, że jest. Polityczna. A ty nie umiesz w nią grać.

- Ja w nic nie gram - warknęła. - Tu chodzi o ludzkie życie. Na wolności grasuje rzeźnik z nożem i będzie tak grasował, dopóki rządzi tu ta durna baba.

Zduśnięciem przypląw nadziei.

- Może i tak...

- Nie może, tylko na pewno.

- Ale nie zmienisz tego, jeśli skażą cię na wygnanie i przeniosą do drogówki w Coconut Grove.

- Nie, ale mogę to zmienić, znajdując rzeźnika.

No, tak. Niektórzy nie mają zielonego pojęcia, jak kręci się ten świat. Bo pod innymi względami Deb była bardzo bystrą dziewczyną, naprawdę. Po prostu odziedziczyła po Harrym zabójczą bezpośredniość i otwarte, prostolinijne podejście do życia, zapominając odziedziczyć mądrość. Bezceremonialność była dla jej ojca sposobem na przedarcie się przez zwały ludzkiego kału. Ona zaś udawała, że zwałów tych nie ma.

Do samochodu podrzucili mnie radiowozem, jednym z tych przed stadionem. Jechałem do domu, wyobrażając sobie, że mam tę głowę, że owinąłem ją w bibułkę i włożyłem do bagażnika, że głowa jedzie ze mną. To straszne i głupie, wiem. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem tych smutnych mężczyzn, zwykle członków Arabskiego Bractwa Mistycznej Świątyni czy innych masonów, którzy pieszczą damskie buciki i noszą brudną bieliznę. Koszmarne uczucie. Miałem ochotę natychmiast wziąć prysznic, chociaż z taką samą ochotą pogłaskałbym teraz tę głowę.

Sękałem w tym, że jej nie miałem. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak wracać do domu. Jechałem powoli, kilka kilometrów poniżej dozwolonej prędkości. W Miami to tak, jakbym przypiął sobie do pleców kartkę z napisem: „daj mi kopa”. Nikt mnie oczywiście nie kopnął. Musieliby przedtem zwolnić. Ale siedem razy zatrąbiono na mnie klaksonem, osiem razy pokazano mi uniesiony palec, a pięć samochodów wyminęło mnie z rykiem silnika, zjeżdżając czy to na pobocze, czy na przeciwległy pas ruchu.

Ale tego dnia nie potrafił mnie rozweselić nawet dobry humor innych kierowców. Byłem potwornie zmęczony, zdeprymowany i musiałem spokojnie pomyśleć z dala od panującego na stadionie rozgwaru i głupiej paplaniny tej kretynki LaGuerty. Powolna jazda dała mi czas na zastanowienie, na rozszyfrowanie znaczenia tego, co się stało. Stwierdziłem, że w głowie pobrzmiwa mi jedno i wciąż to samo wyrażenie, że nieustannie odbija się od zagłębień i wypukłości mojego wyczerpanego mózgu. Że wyrażenie to żyje własnym życiem, że im dłużej słyszę je w myślach, tym większy ma sens. Było jak kusząca mantra. Stało się kluczem do rozmyślań o mordercy, o toczącej się po jezdni głowie i o samochodowym lusterku między suchutkami, cudownie czystymi częściami ludzkiego ciała.

Na jego miejscu...

Lusterko - co bym chciał przez to powiedzieć na jego miejscu? Chłodnia - co bym z nią zrobił?

Oczywiście nie byłem na jego miejscu, poza tym zazdrość szkodzi duszy, ale ponieważ ja duszy nie mam, a przynajmniej nic o tym nie wiem, rzecz była bez znaczenia. Tak więc na jego miejscu porzuciłbym chłodnię w jakimś rowie czy kanale w pobliżu stadionu. A potem jak najszybciej bym uciekł. Przygotowanym zawczasu samochodem? Skradzionym? To by zależało. Czy na jego miejscu od początku bym wszystko zaplanował - i z góry wiedział, że podrzucę zwłoki na lodowisko - czy też improwizowałbym w odpowiedzi na pościg na autostradzie?

Tylko że to nie miało sensu. Przecież nie mógł liczyć na to, że ktoś będzie go ścigał aż do North Bay Village, prawda? Ale w takim razie dlaczego woził w szoferce głowę? A musiał ją tam wozić, bo inaczej nie zdążyłby nią we mnie rzucić. No i dlaczego zawiózł ciało na lodowisko? Dziwny wybór. Owszem, było tam dużo lodu, było sprzyjające pracy zimno. Ale wielki, rozbrzmiewający echem stadion nie nadaje się do przeżywania intymnych chwil - na jego miejscu tak bym pomyślał. Stadion to straszne, bezkresne pustkowie, które zupełnie nie sprzyja prawdziwie twórczej pracy. Owszem, miło jest je odwiedzić, ale żeby od razu urządzać tam studio czy atelier? Przecież to wysypisko śmieci, a nie warsztat pracy. Po prostu nie było tam odpowiedniej atmosfery.

Tak bym pomyślał - na jego miejscu.

Wynikałoby z tego, że wystawa na stadionie jest śmiałym krokiem w głąb niezbadanego terytorium. Krok ten miał doprowadzić policję do szafu, a już na pewno ich zmylić, skierować na niewłaściwy trop. Zakładając oczywiście, że jakikolwiek by znaleźli, co zdawało się coraz mniej prawdopodobne.

I zwięźnić to wszystko lusterkiem: skoro miałem rację co do powodów, dla których wybrał lodowisko, w takim razie to, że wzbogacił scenografię o lustro, byłoby dowodem na słuszność mojej teorii, swoistym komentarzem na temat tego, co się stało, podobnie jak to, że rzucił we mnie ludzką głową. Byłoby deklaracją, która skupia wszystkie pozostałe wątki, która podsumowuje je, porządkuje i układa z taką samą starannością, z jaką on ułożył pościartowane zwłoki. Deklaracją i eleganckim podpisem pod nowym, ważnym dziełem. No więc cóż by ta deklaracja głosiła, gdybym to ja był jej autorem?

Widzę cię.

Tak. Oczywiście, że tak, chociaż to trochę zbyt oczywiste. Widzę cię. Obserwuję, wiem, że za mną podążasz. Ale wyprzedzam cię, jestem daleko przed tobą, mam wpływ na twój kurs i prędkość, śledzę każdy twój krok. Widzę cię. Wiem, kim jesteś i gdzie jesteś, podczas gdy ty wiesz jedynie to, że patrzę. Że widzę.

Tak, wszystko pasowało. W takim razie dlaczego ani trochę mi nie ulżyło?

No i co miałem powiedzieć mojej biednej Deborze? Rzecz była tak intymna, że prawie zapomniałem, iż ma również aspekt publiczny jakże ważny dla mojej siostry i jej kariery zawodowej. Przecież nie mogłem jej powiedzieć – ani jej, ani nikomu innemu – że morderca próbuje dać mi coś do zrozumienia, że sprawdza, czy jestem na tyle inteligentny, że usłyszę jego przesłanie i zareaguję. Skoro nie mogłem jej powiedzieć tego, to co mogłem? I czy naprawdę chciałem?

Miałem tego dość. Żeby się w tym wszystkim połapać, musiałem się najpierw przespać.

Nie łkałem, kładąc się do łóżka, ale niewiele brakowało. Sen przyszedł szybko, po prostu zapadłem się w mrok. I udało

mi się pospać prawie dwie i pół godziny, zanim zadzwonił telefon.

- To ja - powiedział głos w słuchawce.

- Wiem - odparłem. - Debora, tak? - No i oczywiście zgadłem.

- Znalazłam tę chłodnię.

- Moje gratulacje. To bardzo dobra wiadomość.

Siostra długo milczała.

- Deb? - spytałem w końcu. - To dobra wiadomość. Prawda?

- Nie - odparła.

- Aha. - Z niewyspania miałem w głowie trzepak, a na nim dywan, w który ktoś walił trzepaczką, mimo to spróbowałem się skupić. - Deb, co znowu... Co się stało?

- Wszystko pasowało. Dokładnie sprawdziłam. Zdjęcia, numery części, wszystko. Więc jak dobra harcerka powiedziałam LaGuercie.

- I nie uwierzyła? - Cóż to za absurd?

- Chyba uwierzyła.

Chciałem zamrużyć, ale powieki kleiły mi się tak bardzo, że zrezygnowałem.

- Posłuchaj, jedno z nas bredzi. Ja czy ty?

- Próbowałam jej to wyjaśnić - odrzekła Debora bardzo cichym, zmęczonym głosem i poczułem się strasznie, tak strasznie, jakbym szedł na dno w kamizelce ratunkowej. - Wszystko jej wytłumaczyłam. Byłam nawet grzeczna.

- I bardzo dobrze. Co ona na to?

- Nic.

- Zupełnie nic?

- Zupełnie. Podziękowała mi, ale tak, jak dziękuje się parkingowemu przed hotelem. Uśmiechnęła się dziwnie, odwróciła się i odeszła.

- Cóż, nie możesz oczekiwać, że...

- Już wiem, dlaczego tak się uśmiechnęła. Przez cały czas miała mnie za niemytego przygłupa i wreszcie wykombinowała sobie, gdzie mnie zamknąć.

- No, nie. To znaczy, że odsunęła cię od sprawy?

- Wszystkich odsunęła - odrzekła Deb głosem, w którym pobrzmiwało tyle zmęczenia, ile siedziało we mnie. - Aresztowała podejrzanego.

Znowu zapadło milczenie, milczenie tak intensywne, że w ogóle przestałem myśleć, ale przynajmniej na dobre się rozbudziłem.

- Co takiego?

- Aresztowała kogoś. Jakiegoś faceta, który pracuje na stadionie. Przymknęła go i jest przekonana, że to ten morderca.

- To niemożliwe - zaprotestowałem, dobrze wiedząc, że nie mam racji. Odmóżdżona dziwka. Oczywiście LaGuerta, a nie Debora.

- Wiem, ale nie próbuj nawet jej tego powiedzieć. Jest pewna, że to on.

- Pewna? Bardzo pewna? - Kręciło mi się w głowie i zbierało na wymioty. Nie wiem dlaczego.

Deb wymownie prychnęła.

- Za godzinę jest konferencja prasowa. Dla niej sprawa jest oczywista.

W głowie załomotało mi tak głośno, że gdyby coś dodała, chyba bym tego nie usłyszał. LaGuerta kogoś aresztowała? Kogo? Kogo w to wrobiła? Czy naprawdę zignorowała wszystkie ślady, zapach, dotyk i smak tych morderstw? Przecież ktoś, kto zrobił - i wciąż robi! - to, co ten zabójca, nie mógłby przegrać z taką kretynką. Nigdy. Dawałem na to głowę. Moją oczywiście.

- Nie - powiedziałem. - Nie. To niemożliwe. To nie ten facet.

Debora roześmiała się zmęczonym śmiechem z cyklu: mam tego potąd.

- Jasne. Ja to wiem i ty to wiesz. Ale ona nie wie. Chcesz usłyszeć coś zabawnego? On też nie wie.

To nie trzymało się kupy.

- On, to znaczy kto?

Znowu się roześmiała, tak samo jak przedtem.

- Facet, którego aresztowała. Jest tak samo zdezorientowany jak ona. Wiesz dlaczego? Bo się przyznał.

- Co takiego?

- Przyznał się. Ten sukinsyn się przyznał.

Nazywał się Daryll Earl McHale i był, jak mawiamy w Miami, nieudacznikiem do kwadratu. Przez dwanaście z ostatnich dwudziestu lat żył na koszt podatników stanu Floryda. Nasz drogi sierżant Doakes wygrzebał jego nazwisko z akt personalnych pracowników stadionu. Kiedy przepuszczał przez komputer listę ich nazwisk, szukając osób notowanych za ciężkie przestępstwa i stosowanie przemocy, jego nazwisko wyskoczyło aż dwa razy.

Daryll Earl był pijakiem i bił żonę. Od czasu do czasu lubił też najwyraźniej napadać na stacje benzynowe, ot tak, dla zabawy. W każdej pracy utrzymywał się najwyżej przez parę miesięcy. A potem, najczęściej w piątek wieczorem, wypijał kilka sześciopaków i zaczynał wierzyć, że jest ucieleśnieniem gniewu Bożego. Wsiadał więc do samochodu i jeździł po mieście dopóty, dopóki nie znalazł stacji benzynowej, która go wkurzyła. Wpadał do środka, wymachując spluwą, zgarniał kasę i odjeżdżał. Za zdobytą w ten sposób fortunę - osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt dolarów - kupował jeszcze więcej piwa, po którego wypiciu nachodziła go ochota, żeby komuś przylać. Nie należał do mężczyzn roślących - był chudy i miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu - więc żeby zabawić się bezpiecznie, zwykle wybierał żonę.

Ponieważ było, jak było, parę razy uszło mu to na sucho. Ale pewnego wieczoru posunął się za daleko i żona przez miesiąc leżała na wyciągu. Wniosła sprawę do sądu, a ponieważ Daryll Earl był już notowany, tym razem poszedł siedzieć na dłużej.

Wciąż pił, ale więzienie musiało go czegoś nauczyć, bo trochę się poprawił. Dostał pracę jako dozorca stadionu i jakimś cudem z niej nie wyleciał. Od dawna też nie pobił żony.

Co więcej, kiedy Pantery walczyły o Puchar Stanleya, nasz grzeczny chłopczyk przeżył chwilę sławy. Publiczność często rzuca na лёd różne przedmioty, a on, jako dozorca, musiał wybiegać na taflę, żeby je pozbiierać. Tamtego roku miał bardzo dużo roboty, ponieważ ilekroć Pantery zdobyły bramkę, kibice rzucali na лёd trzy, cztery tysiące plastikowych szczurków. Zadaniem Darylla Earla było je wszystkie wyzbierać i nie ulega wątpliwości, że piekielnie go to nudziło. Dlatego wypiwszy dla odwagi kilka kieliszków taniej siwuchy, pewnego wieczoru podniósł plastikowego szczurka i odtańczył z nim coś, co nazwano później „szczurzym tańcem”. Kibice pękali ze śmiechu i domagali się bisu. Było tak, ilekroć Daryll Earl wychodził na taflę. Skutek? Szczurzy taniec stał się hitem sezonu.

Plastikowe szczurki są dziś zakazane. Ale nawet gdyby w prawie stanowym istniał nakaz ich rzucania, nikt by go nie respektował. Pantery nie zdobyły ani jednego gola od czasów, gdy w Miami rządził ostatni ucziwy burmistrz, a więc od ponad stu lat. Mimo to McHale wciąż przychodził na mecze z nadzieją na jeszcze jeden taniec przed kamerami.

Na konferencji prasowej LaGuerta rozegrała tę sprawę przepięknie. Przedstawiła to tak, jakby wspomnienia z okresu tej krótkotrwałej sławy rozchwiały go psychicznie i pchnęły do morderstwa. Mając na koncie odsiadkę za pijaństwo i bicie żony, był wprost idealnym kandydatem, którego można było oskarżyć o serię brutalnych, bezsensownych zabójstw. Nasze prostytutki mogły spać spokojnie, nikt już nie będzie nikogo zabijał. Po intensywnym i bezlitosnym śledztwie Daryll Earl się przyznał. Sprawa zamknięta. Wracajcie do pracy, dziewczęta.

Ci z prasy kupili to na pniu. Ale nic dziwnego. LaGuerta po mistrzowsku przedstawiła tyle podkoloryzowanych, zaprawionych pobożnymi życzeniami faktów, że przekonałaby chyba każdego. No i oczywiście reporterzy nie muszą zdawać testów na inteligencję. Mimo to zawsze mam nadzieję, że znajdzie się wśród nich chociaż jeden z odrobiną oleju w głowie. I zawsze przeżywam rozczarowanie. Może dlatego, że w dzieciństwie obejrzałem za dużo czarno- białych filmów. Ale nadal uważam, że cyniczny, zmęczony życiem pijak z dużego, popularnego dziennika powinien zadać śledczym kłopotliwe pytanie i zmusić ich do ponownego przeanalizowania dowodów rzeczowych.

To smutne, ale życie nie zawsze naśladuje sztukę. A na konferencji prasowej LaGuerty rolę Spencera Tracy'ego grało kilka nienagannie uczesanych modelek i kilku modeli w leciutkich, tropikalnych koszulkach. Ich najbardziej dociekliwe pytania brzmiały następująco: „Jak się poczuliście, widząc tę głowę?” oraz: „Macie jakieś fotki?”

Jeden z nich, samotny reporter Nick Ktośtam z miejscowej filii NBC, spytał LaGuertę, czy jest pewna, że McHale jest poszukiwanym mordercą. Ale gdy pani detektyw odparła, że wskazuje na to przytłaczająca liczba dowodów rzeczowych, on też sobie odpuścił. Albo zadowolili go odpowiedź, albo LaGuerta używała za trudnych słów.

No i tak. Sprawa była zamknięta, sprawiedliwości stało się zadość. Machina potężnego, budzącego lęk i respekt aparatu do zwalczania przestępczości poszła w ruch i po raz kolejny zatriumfowała nad mrocznymi siłami zła oblegającymi nasze piękne, uczciwe miasto. To było uroczyste przedstawienie. LaGuerta rozdała reporterom kilka złowieszczych zdjęć Darylla Earla, takich z profilu i en face, wraz z przypiętymi do nich nowiutkimi zdjęciami, na których widać było, jak pani detektyw

przesłuchuje modnego fotografika z South Beach, za co musiała zapłacić co najmniej dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Cóż za ironiczny kontrast: pozorne niebezpieczeństwo i zabójcza rzeczywistość. Tak bardzo się od siebie różniły. Bo bez względu na to, jak okropnie i złowrogo wyglądał Daryll Earl, największym zagrożeniem dla społeczeństwa była LaGuerta. Odwołała psy, stłumiła wrzawę i odesłała ludzi do łóżek w płonących domach.

Czy to możliwe, żebym tylko ja rozumiał, że McHale nie może być mordercą? Że tępak taki jak on nigdy w życiu nie potrafiłby rozegrać tego tak inteligentnie i w takim stylu?

Nigdy dotąd nie byłem bardziej samotny w moim podziwieniu dla dzieła prawdziwego zabójcy. Części poćwiartowanego przez niego ciała zdawały się śpiewać pieśń, rapsodię bezkrwawego cudu, która rozjaśniała mi serce i wypełniała żyły odurzającą, nabożną wprost czcią... Co na pewno nie zmniejszy gorliwości, z jaką będę go ścigał, z jaką będę tropił tego zimnego, nieokiełzanego kata niewinnych, który musi, po prostu musi stanąć przed obliczem sprawiedliwości. Prawda, Dexter? Prawda? Halo, jesteś tam?

Siedziałem u siebie, trąc zaspane oczy i rozmyślając o spektaklu, który właśnie obejrzałem. Jeśli nie liczyć braku darmowej wyżerki i golizny, konferencja była prawie doskonała. LaGuerta pociągnęła najwyraźniej za wszystkie możliwe sznurki, żeby była to największa, najbardziej spektakularna impreza w jej luksusowo-lizusowskiej karierze i się jej udało. Chyba po raz pierwszy naprawdę wierzyła, że schwyciła właściwego przestępcę. Musiała w to wierzyć. To takie smutne. Myślała, że tym razem zrobiła wszystko, jak trzeba, że zamiast znowu grać w polityczne gierki, odwaliła kawał dobrej, dobrze rozreklamowanej roboty. Rozwiązała zagadkę, w dodatku po swojemu: aresztowała zabójcę, powstrzymała falę

morderstw. Poproszę o zasłużone brawa. No i jakże miłą będzie miała niespodziankę, kiedy pojawią się kolejne zwłoki.

Bo nie miałem ani cienia wątpliwości, że prawdziwy morderca wciąż gdzieś tam jest. Na pewno oglądał konferencję prasową na Kanale 7, kanale dla widzów z zamiłowaniem do krwawej jatki. W tej chwili za bardzo się śmiał, żeby utrzymać w ręku nóż, ale z czasem przestanie. A kiedy przestanie, na pewno skomentuje tę sytuację - skłoni go do tego poczucie humoru.

Z jakiegoś powodu myśl ta nie napełniła mnie ani strachem, ani nienawiścią, nie wzmogła też posępnej determinacji, która kazałaby mi powstrzymać tego szaleńca, zanim będzie za późno. Nie, byłem tylko przyjemnie zniecierpliwiony, jakbym czegoś wyczekiwał. Wiedziałem, że to bardzo źle, i może właśnie dlatego poczułem się jeszcze lepiej. Och tak, chciałem go powstrzymać i postawić przed sądem, jak najbardziej, oczywiście. Ale czy musiało do tego dojść tak szybko?

Sprawa wymagała pójścia na mały kompromis. Jeśli już miałem pomóc go schwytać, musiałem przynajmniej coś z tego mieć. Właśnie o tym myślałem, gdy zadzwonił telefon.

- Tak, widziałem - rzuciłem do słuchawki.

- Chryste - powiedziała Debora. - Myślałam, że się porzygam.

- Nie zamierzam przytrzymywać ci głowy, siostrzyczko. Mamy robotę.

- Chryste... - powtórzyła i dodała: - Jaką robotę?

- Powiedz mi, czy ciągnie się za tobą nieprzyjemny smrodek?

- Dexter, jestem zmęczona. I bardziej niż kiedykolwiek wkurzona. Możesz mówić po angielsku?

- Tato spytałby pewnie, czy komuś podpadłaś. Czy ktoś obrzucił cię błotem, zszargał twoje dobre imię. Czy zepsuł,

zniszczył lub też w jakikolwiek inny sposób zbeczczył twoją zawodową reputację.

- Od chwili, gdy to babsko zaczęło mi dogryzać, wbijać nóż w plecy i nazywać Einsteinem? Chyba żartujesz. Moja reputacja tapla się w kiblu. - Nie wiedziałem, że ktoś tak młody może mówić z tak wielką goryczą.

- Świetnie. A więc nie masz nic do stracenia, to ważne.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc - prychnęła. - Ale naprawdę tak jest. Jeśli spadnę jeszcze niżej, będę robiła kawę w wydziale komunalnym. Dokąd to wszystko zmierza, Dex?

Zamknąłem oczy i odchyliłem się do tyłu.

- Złożysz oficjalną wizytę kapitanowi i oświadczysz, że twoim zdaniem Daryll Earl McHale nie jest poszukiwanym przez nas mordercą i że wkrótce dojdzie do kolejnego zabójstwa. Przedstawisz parę niepodważalnych argumentów z własnego śledztwa i na jakiś czas staniesz się pośmiewiskiem naszej policji.

- Wielkie mi co, już teraz się ze mnie śmieją. Ale właściwie po co mam do niego iść?

Pokręciłem głową. Czasami trudno mi było uwierzyć, że Debora może być aż tak naiwna.

- Siostrzyczko najdroższa - odparłem - chyba nie wierzysz, że Daryll Earl jest mordercą?

Nie odpowiedziała. Słyszac jej oddech, pomyślałem, że ona też musi być zmęczona, dokładnie tak samo jak ja, z tym że mnie utrzymywała przy życiu energia płynąca z głębokiego przeświadczenia, że mam rację.

- Deb?

- Dex, on się przyznał - odrzekła w końcu z krańcowym wyczerpaniem w głosie. - Ja... często się myliłam, ale...

ale on się przyznał. Czy to nie... Niech to szlag. Może lepiej to sobie odpuśćmy.

- Och, niewiasto małej wiary. LaGuerta aresztowała nie tego człowieka. A ty całkowicie zmienisz taktykę działania.

- Jasne, nie ma sprawy.

- Daryll Earl McHale nie jest mordercą - powtórzyłem. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Nawet jeśli nie jest, to co z tego?

Teraz z kolei ja szybko zamrugąłem ze zdziwienia.

- Słucham?

- Dex, gdybym była tym prawdziwym mordercą, nic by już mi nie groziło, nie? Policja kogoś aresztowała, nagonka skończona. Dlaczego nie miałabym przestać zabijać? Albo przenieść się gdzie indziej i zacząć wszystko od nowa?

- Niemożliwe. Nie rozumiesz, jak on myśli.

- Tak, tak. A ty oczywiście rozumiesz. Jakim cudem?

Puściłem to pytanie mimo uszu.

- On zostanie tutaj i znowu zabije. Musi pokazać, co o nas myśli.

- A co o nas myśli?

- Źle myśli. Zrobiliśmy głupio, bo aresztowaliśmy oczywistego debila. Swoją drogą, to przezabawne.

- Ha, ha, ha - powiedziała ponuro Debora.

- Obraziliśmy go. Jego dzieło przypisaliśmy pospolitemu tępakowi, a to tak, jakby powiedzieć Jacksonowi Pollackowi, że jego obrazy mógłby namalować każdy sześciolatek.

- Pollackowi? Temu malarzowi? Dexter, ten facet to rzeźnik.

- I na swój sposób artysta. W każdym razie uważa się za artystę.

- Jezu Chryste. To najgłupsza...

- Zaufaj mi.

- Jasne, proszę bardzo. Niby dlaczego nie miałabym ci ufać? A więc mamy do czynienia z wkurzonym artystą, który nie zamierza nigdzie wyjeżdżać, tak?

- Tak. Musi to zrobić ponownie, tuż pod naszym nosem, i musi to być coś większego.

- To znaczy, że co? Że tym razem zabije wielką, grubą prostytutkę?

- Nie, siostrzyczko. Chodzi o skalę, o większą skalę. O bardziej spektakularny pomysł. O coś bardziej krzykliwego.

- Aha, o coś bardziej krzykliwego. Kupi sobie megafon?

- Stawka poszła w górę. Nastąpiliśmy mu na odcisk, trochę go uraziliśmy, dlatego następne morderstwo na pewno to odzwierciedli.

- Uhm. Niby jak?

- Nie wiem.

- Ale jesteś tego pewny.

- Tak.

- No to bomba. Teraz już wiem, czego wypatrywać.

Kiedy w poniedziałek wróciłem po pracy do domu, od razu wyczułem, że coś jest nie tak. Ktoś był w moim mieszkaniu.

Drzwi były całe, przy oknach też nikt nie gmerał, nie widziałam żadnych śladów wandalizmu, ale po prostu wiedziałem. Nazwijcie to szóstym zmysłem czy jak tam chcecie. Ktoś u mnie był. Może wyczułem zapach feromonów, które włamywacz zostawił w moich cząsteczkach powietrza. Może mój fotel z podnóżkiem stał milimetr dalej niż przedtem. Nieważne, skąd wiedziałem. Ważne, że w ogóle wiedziałem. Kiedy byłem w pracy, ktoś złożył wizytę w moim mieszkaniu.

Ot, niby nic wielkiego. Ostatecznie to Miami. Wróciwszy do domu, tutejsi mieszkańcy codziennie stwierdzają, że zginął im telewizor, biżuteria i cała elektronika, że ktoś naruszył ich przestrzeń życiową, grzebał w ich rzeczach i że ich pies zaszedł w ciążę. Ale to było coś innego. Pobieźnie sprawdziłem całe mieszkanie, chociaż z góry wiedziałem, że nic nie zginęło.

I miałem rację. Nie zginęło absolutnie nic.

Ale coś przybyło.

Minęło kilka minut, zanim to znalazłem. Przypuszczam, że to wyniesione z pracy nawyki kazały mi zacząć poszukiwania od miejsc najbardziej oczywistych. Naturalnym następstwem wizyty włamywacza jest to, że giną różne rzeczy: zabawki, precjoza, cenne pamiątki, kilka ostatnich czekoladowych ciasteczek. No więc sprawdziłem.

Ale nie, nikt niczego nie dotykał. Komputer, stereo, telewizor i magnetowid - wszystko stało tam gdzie przedtem. Nawet moja mała kolekcja bezcennych szkiełek mikroskopowych

z pojedynczą kroplą zaschniętej krwi, dyskretnie ukryta na półce z książkami. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak z rana.

Potem sprawdziłem miejsca bardziej prywatne i ustronne, tak na wszelki wypadek: sypialnię, łazienkę i apteczkę. Tam też wszystko było w porządku, mimo to czułem, że każdy przedmiot uważnie obejrzano, zbadano i odstawiono na miejsce tak precyzyjnie i z taką pieczołowitością, że nie poruszyły się nawet drobinki kurzu.

Wróciłem do saloniku, opadłem na fotel i rozejrzałem się wokół. Nagle zwątpiłem w zasadność moich podejrzeń. Dawałem głowę, że ktoś tu był, ale dlaczego? I kto mógł zainteresować się mną na tyle, żeby przyjść i wyjść z mojego skromnego domu, pozostawiając go dokładnie w takim samym stanie, w jakim zostawiłem go ja? Bo nic nie zginęło, nic nie zostało nawet przesunięte czy przestawione. Sberta gazet w koszu na rzeczy do recyklingu była może lekko przechylona w lewo, ale czy nie ponosiła mnie wyobraźnia? Czy nie mógł jej przechylić podmuch powietrza z klimatyzatora? Wszystko było dokładnie jak przedtem, niczego nie brakowało, dosłownie niczego.

Zresztą kto by chciał włamywać się do mojego mieszkania? Nie było tu niczego specjalnego czy wyjątkowego. Bardzo się o to starałem. Nijakie mieszkanie stanowiło element profilu Harry'ego. Wmieszaj się w tłum. Zgiń w tle. Zachowuj się normalnie. Nie rób niczego, co mogłoby wywołać komentarze. Zawsze tak robiłem. Nie miałem w domu żadnych wartościowych rzeczy, nie licząc komputera i sprzętu grającego. W najbliższym sąsiedztwie były o wiele bardziej atrakcyjne cele.

Tak czy inaczej, po co ktoś miałby się tu włamywać, niczego nie zabierać, niczego nie robić i wyjść, nie pozostawiając żadnych śladów? Odchyliłem się do tyłu i zamknąłem oczy. Nie,

to tylko wyobraźnia. Zszargane nerwy. Skutek braku snu i zamartwiania się o fatalnie nadwątloną karierę zawodową Debory. Kolejny mały znak, że biedny, stary Dexter dryfuje na głęboką wodę. Że z socjopaty przepoczwarza się bezboleśnie w psychopatę i że jest już w ostatniej fazie. Przekonanie, że otaczają nas anonimowi wrogowie, nie jest objawem obłądki, przynajmniej w Miami, ale zgodne z tym przekonaniem zachowanie jest społecznie niedopuszczalne. Musieliby mnie wreszcie zamknąć.

Mimo to przecucie było bardzo silne. Próbowałem się otrząsnąć: to tylko złudzenie, skurcz włókien nerwowych, chwilowa niestrawność. Wstałem, przeciągnąłem się, wziąłem głęboki oddech i spróbowałem pomyśleć o czymś przyjemnym. Ale nie mogłem. Potrząsnąłem głową, poszedłem do kuchni, żeby napić się wody, no i proszę.

No i proszę.

Stałem przed lodówką i patrzyłem, nie wiem, jak długo. Po prostu stałem i gapilem się na to jak głupi.

Na lodówce, z włosami przypiętymi do drzwiczek jednym z moich owocowych magnesików, wisiała głowa Barbie. Nie pamiętałem, żebym ją tam powiesił. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek miał jakąś Barbie. Gdybym miał, chyba bym pamiętał.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem plastikowej głowy. Zakołysała się łagodnie, uderzając w drzwiczki z cichym stuk-puk. Zatoczyła ćwierć króciutkiego łuku, odwróciła się i niczym długowłosa collie popatrzyła na mnie z czujnym zainteresowaniem. Ja popatrzyłem na nią.

Nie wiedząc, co robię - ani dlaczego - otworzyłem lodówkę. W środku, na tacce z lodem, leżała Barbie. Ręce i nogi miała oderwane, ciało rozerwane w talii. Kończyny były równiutko ułożone, starannie owinięte i przewiązane różową wstążką. W maleńkiej rączce Barbie ścisnęła lusterko.

Po długiej chwili zamknąłem drzwi. Miałem ochotę położyć się i przytulić policzek do zimnego linoleum. Ale zamiast tego małym palcem trąciłem główkę Barbie. Stuk-puk zastukała. Trąciłem ją jeszcze raz. Stuk-puk. Bomba! Miałem nowe hobby.

Zostawiłem lalkę w lodówce, wróciłem do saloniku, usiadłem w fotelu i zamknąłem oczy. Wiedziałem, że powinienem być nieźle zdenerwowany, zły i wystraszony, że powinienem czuć się zbrukany, że powinny miotać mną paranooidalna wrogość i słuszna wściekłość. Ale nic mną nie miało. Byłem jedynie... Może lekko zamroczony. Zaniepokojony. A może... ożywiony?

Oczywiście nie miałem już najmniejszych wątpliwości, kto mnie odwiedził. Chyba że zaakceptowałbym myśl, iż z niezbadanych powodów ktoś na chybił trafił wybrał moje mieszkanie, uznawszy, że będzie to idealne miejsce na pozostawienie w lodówce lalki Barbie z oderwaną głową.

Nie. Odwiedził mnie mój ulubiony artysta. Nieważne, jak mnie namierzył. Przecież mógł zapisać numer rejestracyjny mojego samochodu; obserwując mnie zza stacji benzynowej, miał na to mnóstwo czasu. Natomiast adres znalazłby każdy, kto choć trochę znał się na komputerze. A znalazłszy adres, mógł bez trudu wejść tu, rozejrzeć się po mieszkaniu i zostawić mi wiadomość.

Wiadomość zaś była następująca: oddzielnie zawieszona głowa, części ciała na tacce z lodem i znowu to przeklęte lustro. W połączeniu z tym, że intruz nie wykazał najmniejszego zainteresowania innymi rzeczami, wszystko to sprowadzało się do jednego.

Tylko do czego?

Co chciał mi powiedzieć?

Mógł mi zostawić coś albo nic. Mógł wziąć rzeźnicki nóż i przybić nim do podłogi krowie serce. Cieszyłem się, że tego nie zrobił - Chryste, co za bałagan - ale dlaczego akurat Barbie? Pomijając oczywisty fakt, że symbolizowała ciało

ostatniej ofiary, po co mi o tym mówił? I czy widok rozczłonkowanej lalki miał być bardziej złowieszczy niż widok czegoś oślizgłego i zakrwawionego, czy mniej? Mówił: „Obserwuję cię i cię dopadnę”?

Czy: „Cześć. Chcesz się pobawić?”

Chciałem. Oczywiście, że tak.

Ale co z tym lusterkiem? To, że włączył je do zabawy, nadawało grze znaczenie wykraczające daleko poza pościg na autostradzie. Musiało znaczyć coś więcej, dużo więcej. Przychodziło mi do głowy tylko jedno: „Spójrz na siebie”. Nie przepadam za oglądaniem się w lustrze; nie jestem na tyle próżny, żeby podziwiać mój wygląd. Zresztą, po co miałbym patrzeć w lustro, skoro chciałem zobaczyć nie siebie, tylko jego? Tak, lustro musiało coś znaczyć, a ja nie rozumiałem co.

Ale nawet tego nie byłem pewien. Całkiem możliwe, że nie znaczyło absolutnie nic. Nie wierzyłem, żeby tak elegancki artysta jak on zrobił coś zupełnie bezcelowo, jednak było to możliwe. A wiadomość mogła być prywatna, zupełnie obłąkana i złowroga. Nie było sposobu, żeby się o tym przekonać. Dlatego też nie wiedziałem, co powinienem z tym zrobić. Jeśli w ogóle powinienem.

Dokonałem wyboru, jakiego dokonałby człowiek. To zabawne: ja i człowieczeństwo; Harry byłby ze mnie dumny. Postanowiłem nie robić nic, tak po ludzku. To znaczy, zaczekać i zobaczyć, co się będzie działo. I nie meldować o włamaniu policji. Bo co bym im powiedział? Przecież nic nie zginęło. Miałbym pójść do Matthews'a i powiedzieć: „Panie kapitanie, chciałem pana zawiadomić, że ktoś włamał się do mojego mieszkania i zostawił w lodówce lalkę Barbie”?

Nieźle to brzmiało. Ci z wydziału zabójstw dobrze by to przyjęli. Niewykluczone, że sierżant Doakes zająłby się tym osobiście i podczas nieskrępowanego śledztwa wreszcie

ujawnił swoje ukryte talenty. A może po prostu umieściliby mnie na liście pracowników psychicznie niezdolnych do pełnienia służby, mnie i biedną Deborę, ponieważ śledztwo zostało oficjalnie zamknięte i nawet kiedy jeszcze trwało, nie miało nic wspólnego z lalkami Barbie.

Nie, nie miałem im nic do powiedzenia, a już na pewno nic, co mógłbym logicznie wyjaśnić. Ryzykując kolejne pobicie, postanowiłem nie mówić o tym Deborze. Z powodów, których nie rozumiałem nawet ja sam, uznałem, że jest to sprawa czysto osobista. I gdyby taką pozostała, istniałoby większe prawdopodobieństwo, że zbliżę się bardziej do mordercy. Żeby przywieść go przed oblicze sprawiedliwości, oczywiście. Naturalnie.

Podjąwszy decyzję, poczułem się znacznie lepiej. Szczerze mówiąc, przyprawiło mnie to o przyjemny zawrót głowy. Nie miałem pojęcia, co z tego wyjdzie, ale byłem gotowy na wszystko. Czułem się tak przez cały wieczór, a nawet następnego dnia w pracy, kiedy to sporządziłem kolejny raport laboratoryjny, po raz kolejny pocieszyłem Deborę i ukradłem Vince'owi kolejnego rogalika. Czułem się tak, wracając do domu w radośnie zabójczym ruchu. Byłem w stanie zen, przygotowany na każdą niespodziankę.

A przynajmniej tak myślałem.

Właśnie usiadłem wygodnie w fotelu, gdy zadzwonił telefon. Nie odebrałem. Chciałem przez chwilę odetchnąć i nie przychodziło mi do głowy nic takiego, co nie mogłoby poczekać. Poza tym zapłaciłem prawie pięćdziesiąt dolarów za automatyczną sekretarkę. Niech na siebie zarobi.

Drugi dzwonek. Zamknąłem oczy. Nabrałem powietrza. Odpręż się, staruszk. Trzeci dzwonek. Wypuściłem powietrze. Włączyła się sekretarka i popłynął mój cudowny, pełen ogłady głos.

- „Dzień dobry. Nie ma mnie w domu, ale jeśli zechcesz zostawić wiadomość, natychmiast oddzwonię. Dziękuję”.

Cóż za wspaniały tembr! Cóż za cięty dowcip! Kapitalne nagranie. Brzmiałem jak żywy człowiek. Byłem z siebie dumny. Ponownie nabrałem powietrza, wsłuchując się w melodyjne: Biiiiip!

- Cześć, to ja.

Głos kobiety. Nie Debory. Zirytowałem się tak bardzo, że zadrgała mi powieka. Dlaczego tylu ludzi zaczyna wiadomość od: „To ja”? Oczywiście, że to ty. Wszyscy to wiedzą. Ale kim, do diabła, jesteś? Tak czy inaczej, wybór miałem dość ograniczony. Wiedziałem, że to nie Debora. I chyba nie LaGuerta, chociaż z nią wszystko było możliwe. Pozostawała zatem...

Rita?

- Przepraszam... - Długie westchnienie. - Przepraszam, Dexter. Myślałam, że do mnie zadzwonisz i kiedy nie zadzwoniłeś, po prostu... - Kolejne westchnienie. - Nieważne. Musimy porozmawiać. Bo zdałam sobie sprawę, że... To znaczy.. Cholera. Mógłbyś do mnie zadzwonić? Jeśli... no wiesz.

Nie, nie wiedziałem. Zupełnie. Nie byłem nawet pewien, kto to jest. Naprawdę Rita?

Długie westchnienie numer trzy.

- Przepraszam, jeśli... - I długa pauza. Westchnienie numer cztery i pięć. Głęboki wdech i powolny wydech. Wdech i wydech, tym razem gwałtowny. - Proszę, zadzwoń. Po prostu... - Znowu pauza. I westchnienie numer sześć. Potem odłożyła słuchawkę.

Wiele razy miałem w życiu wrażenie, że czegoś nie dostrzegam, że nie widzę ważnego fragmentu układanki, który wszyscy inni dostrzegają zupełnie odruchowo. Zwykle to mi nie przeszkadza, ponieważ niemal zawsze okazuje się,

że fragment ten jest czymś zdumiewająco głupim i bardzo ludzkim, jak na przykład reguła pola wewnętrznego w baseballu czy niepójście na całość podczas pierwszej randki.

Jednakże bywają takie chwile, kiedy mam wrażenie, że pozbawiono mnie rezerw ciepłej mądrości, poczucia czegoś, czego ja nie mam, a co każdy człowiek odczuwa tak głęboko, że nie musi o tym mówić, że nie umie nawet ująć tego w słowa.

I właśnie teraz przeżywałem jedną z takich chwil.

Wiedziałem, że powinienem rozumieć, iż Rita chce mi powiedzieć coś bardzo konkretnego, że te wszystkie pauzy i zająknięcia tworzą wielką, cudowną rzecz, którą każdy samiec rodzaju ludzkiego momentalnie by wyczuł. Tymczasem ja nie miałem zielonego pojęcia, co to może być ani jak to rozgryźć. Policzyć westchnienia? Zmierzyć długość pauz, podstawić liczby do odpowiednich wersetów w Biblii i rozszyfrować tajny kod? Co próbowała mi powiedzieć? I dlaczego, na Boga, w ogóle próbowała?

Rozumiałem to tak: gdy pod wpływem dziwnego impulsu pocałowałem ją w samochodzie, przekroczyłem granicę, której obydwójce postanowiliśmy nie przekraczać. I nie mogłem już tego naprawić, nie było już odwrotu. Pocałunek był swoistym aktem zabójstwa. W każdym razie miło było tak o tym pomyśleć. Zabiłem nasz związek, przebijając językiem jego serce i spychając go ze skały w przepaść. Bum, i trup. Od tamtej pory nawet o niej nie pomyślałem, ani razu. Rita po prostu zniknęła. Niezrozumiały kaprys losu usunął ją z mojego życia.

A teraz zadzwoniła i żeby mnie rozerwać, nagrała na sekretarkę swoje dyszenie.

Dlaczego? Chciała mnie zganić? Wyzwać, utrzcć mi nosa, otworzyć mi oczy na ogrom mojego przestępstwa?

Niezmiernie mnie to zirytowało. Zacząłem nerwowo krążyć po mieszkaniu. Po co ja w ogóle o niej myślę? Miałem

ważniejsze troski na głowie. Rita była po prostu moją brodą, przebraniem głupiutkiego dzieciaka, które nosiłem w weekendy, by ukryć fakt, że jestem taki sam jak on, ten jakże interesujący ktoś, że robię dokładnie to samo co on, udając, że tego nie robię.

Czyżby przemawiała przeze mnie zazdrość? Tak, oczywiście, teraz nie robiłem nic. Chwilowo pauzowałem. I byłem pewny, że prędko tego nie zrobię. Zbyt ryzykowne. Nie przygotowałem sobie gruntu.

Mimo to...

Wróciłem do kuchni i dałem prztyczka główce Barbie. Stuk-puk. Stuk-puk. Chyba jednak coś odczuwałem. Wesołość? Głęboką troskę? Zawodową zazdrość? Nie wiedziałem, a Barbie milczała.

Miałem tego dość. Najpierw to absurdalne przyznanie się do winy, potem naruszenie mojego prywatnego ustronia, a teraz Rita? Ile można znieść? Człowiek ma swoje ograniczenia. Nawet człowiek udawany, taki jak ja. Byłem niespokojny, oszołomiony, skonsternowany, pobudzony i jednocześnie ospały. Wyrząłem przez okno. Zapadł już mrok i na niebie, hen, daleko nad wodą, pojawiła się światłość, na której widok w głębokich zakamarkach mojego „ja” odezwał się słaby, acz złowieszczy głosik.

Księżyc.

Cichy szept tuż przy uchu. Nawet nie szept, tylko wrażenie, że ktoś wypowiada moje imię, wrażenie niemal namacalne, jakby ten ktoś stał tuż obok, bardzo blisko i jakby podchodził jeszcze bliżej. Nie słyszałem żadnych słów, tylko suchy szelest tego niegłosu, ton pozbawiony tonu, delikatne tchnienie myśli. Miałem gorącą twarz, nagle usłyszałem mój własny oddech. A potem znowu ten głos, cichutki głos tuż przy zewnętrznej krawędzi ucha. Odwróciłem się, choć wiedziałem, że nikogo

tam nie ma, że to nie ucho, tylko mój serdeczny przyjaciel, którego obudził księżyc i Bóg wie co jeszcze.

Och, ten tłusty, ten wesoło rozgadany księżyc. Ileż miał do powiedzenia. I chociaż ja próbowałem mu powiedzieć, że wybrał nieodpowiednią porę, że jest za wcześnie, że mam na głowie wiele innych rzeczy, rzeczy naprawdę ważnych, on znajdował argumenty dosłownie na wszystko. Dlatego mimo że wyklócałem się z nim przez cały kwadrans, tak naprawdę nie miałem żadnych szans.

Wpadłem w rozpacz i desperacko walczyłem, stosując wszystkie znane mi sztuczki, a kiedy i to zawiodło, zrobiłem coś, co do głębi mną wstrząsnęło. Zadzwoiłem do Rity.

- Ach, to ty - powiedziała. - Po prostu... Po prostu się bałam. Dziękuję, że oddzwoniłeś. Chciałam...

- Wiem - odparłem, chociaż oczywiście nie wiedziałem.

- Moglibyśmy... Nie wiem, czy masz... Chciałabym się z tobą spotkać i... porozmawiać.

- Oczywiście - odrzekłem i kiedy już umówiliśmy się u niej w domu, zacząłem się zastanawiać, o co jej tak naprawdę chodzi. Chciała mnie zbić? Będziemy ronić łzy i wzajemnie się obwiniać? Albo głośno wyzywać? Wkraczałem na zupełnie obcy teren i mogło mnie spotkać dosłownie wszystko.

Odłożywszy słuchawkę, spędziłem cudowne pół godziny, rozmyślając o sprawie Rity, gdy wtem znowu usłyszałem cichy głosik, który z uporem utrzymywał, że dzisiejsza noc powinna być wyjątkowa.

Znowu coś przyciągnęło mnie do okna, no i była tam ta olbrzymia, roześmiana gęba na niebie, ten rozchichotany księżyc. Zaciągnąłem zasłony i obszedłem wszystkie pokoje, dotykając rzeczy, wmawiając sobie, że jeszcze raz sprawdzam, czy nic nie zginęło i doskonale wiedząc, dlaczego to robię. Obszedłem mieszkanie raz, obszedłem drugi i za każdym razem podchodziłem coraz bliżej i bliżej małego biurka w saloniku,

tego z komputerem. Chciałem to zrobić, jednocześnie nie chciałem i w końcu, po trzech kwadransach krążenia, uległem sile przyciągania. Kręciło mi się w głowie i pomyślałem, że skoro mam pod ręką krzesło, to na nim usiądę, a skoro już usiadłem, dlaczego nie miałbym włączyć komputera, a skoro już włączyłem komputer...

Jeszcze nie pora! Nie jestem gotowy!

Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Byłem gotowy czy nie, co to za różnica. Ważne, że gotowy był on, mój nieproszony doradca.

Byłem prawie pewny, że to on, ale tylko prawie, a nigdy dotąd nie robiłem tego na pół gwizdka. Byłem osłabiony, odurzony, na wpół chory z podniecenia, niepewności i świadomości, że to zupełnie nie tak, że robię bardzo źle. Ale teraz samochodem kierował on, stamtąd, z tylnego siedzenia, i to, jak się czułem, było nieważne, ponieważ on, zimny, chętny i gotowy, czuł się znakomicie. Rósł, rozpychał mnie od środka, wyglądał z zakamarków jaszczurczego mózgu Dextera, z każdą chwilą potężniał tak bardzo, że mogło to się skończyć tylko w jeden sposób, a skoro tak, musiałem zadowolić się tym, co miałem pod ręką.

Znalazłem go przed kilkoma miesiącami, ale po krótkotrwałej obserwacji uznałem, że pewniejszy jest ksiądz, że ten może zaczekać, aż nabiorę całkowitej pewności.

Jakże się myliłem. Bo nagle okazało się, że nie może czekać ani sekundy.

Mieszkał przy małej ulicy w Coconut Grove. Kilka przecznic od jego obskurnego domku ciągnęło się slumsowate blokowisko dla czarnych, osiedle z tanimi knajpami, grillami i paroma rozpadającymi się kościołami. Kilkaset metrów w przeciwnym kierunku mieszkali milionerzy w swoich przerośniętych, nowoczesnych, otoczonych koralowymi murami willach. Ale Jamie Jaworski mieszkał dokładnie pośrodku, w domu, który dzielił z milionem palmowych żuków i najbrzydszym psem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Mimo to nie mógł pozwolić sobie nawet na taki. Był woźnym w gimnazjum Ponce de Leon i, o ile wiedziałem, nie miał innych

źródeł dochodu. Pracował na pół etatu, tylko trzy dni w tygodniu, co być może wystarczyłoby mu na życie, ale na pewno na nic więcej. Oczywiście nie interesowały mnie jego finanse. Interesował mnie fakt, że odkąd zaczął pracować w Ponce de Leon, nastąpił mały, jednak zauważalny wzrost liczby zaginięć wśród uczących się tam dzieci. A konkretnie wśród dwunasto-, trzynastoletnich jasnowłosych dziewczynek.

Jasnowłosych. To bardzo ważne. Nie wiedzieć czemu, policja często przeoczała takie szczegóły, tymczasem ja od razu je zauważałem. Może było to niepoprawne politycznie. Bo nie sądzicie, że dziewczynki ciemnowłose i ciemnoskóre powinny mieć takie same szanse jak te jasnowłose, żeby ktoś mógł je uprowadzić, zgwałcić, a następnie poćwiartować przed kamerą?

Jaworski był ostatnią osobą, która widziała zaginione. Policja rozmawiała z nim, a jakże. Zatrzymali go, przez całą noc przesłuchiwali i nic z niego nie wyciągnęli. Oczywiście musieli przestrzegać drobnych wymogów prawnych. Na przykład na tortury patrzono ostatnio dość niechętnie – z reguły. A bez argumentów siłowych Jamie Jaworski nigdy nie pochwalił się swoim hobby. Ja bym się nie pochwalił.

Ale wiedziałem, co robi. Gwarantował dziewczętom bardzo szybką i ostateczną karierę filmową. Byłem tego prawie pewny. Nie znalazłem ich zwłok i nie widziałem, jak to robi, ale wszystko pasowało. A w Internecie udało mi się znaleźć kilka nader pomysłowych zdjęć trzech zaginionych aktorek. Nie robiły wrażenia uszczęśliwionych, chociaż to, co na nich wyczyniały, powinno sprawiać radość, tak przynajmniej słyszałem.

Nie miałem dowodu, że autorem zdjęć jest Jaworski. Ale pod zdjęciami widniał numer skrytki pocztowej z południowego Miami, ledwie kilka minut drogi od gimnazjum. Poza tym Jaworski żył ponad stan. Zresztą było to zupełnie

nieistotne, ponieważ z tylnego siedzenia dochodził coraz silniejszy głos, który przypominał, że czas ucieka, że w tej sprawie pewność nie jest aż tak strasznie ważna.

Martwił mnie tylko ten wstrętny pies. Psy zawsze były problemem. Nie lubią mnie i często nie pochwalają tego, co robię, zwłaszcza że nie dzielę się z nimi łakociami. Musiałem go jakoś obejść. Może Jaworski wyjdzie z domu. Jeśli nie, trudno, zakradnę się do środka.

Przejechałem przed jego domem trzy razy, ale nie wpadłem na żaden pomysł. Potrzebowałem łutu szczęścia, i to szybko, bo czułem, że Mroczny Pasażer każe mi zaraz zrobić coś na chybcika. I kiedy mój drogi przyjaciel zaczął podsuwać mi nierozważne sugestie, uśmiechnęło się do mnie szczęście: Jaworski wyszedł z domu i wszedł do swojej małej zdezelowanej półciężarówki. Zwolniłem na tyle, na ile mogłem, a on wyjechał na ulicę i skręcił w kierunku Douglas Road. Zawróciłem i pojechałem za nim.

Nie miałem pojęcia, jak to załatwię. Nie byłem przygotowany. Nie zorganizowałem sobie ani bezpiecznego pomieszczenia, ani czystego kombinezonu, ani niczego, nie licząc rolki taśmy klejącej i noża do filetów, który leżał pod fotelem. Musiałem być niezauważalny i niewidzialny, pod każdym względem doskonały i nie wiedziałem, jak to zrobić. Nie lubiłem improwizować, ale nie miałem wyboru.

I znowu mi się poszczęściło. Ruch był mały. Jaworski jechał na południe Old Cutler Road i mniej więcej po dwóch kilometrach skręcił w lewo, w stronę morza. Budowano tam kolejne olbrzymie osiedle, żeby umilić nam życie, wymieniając zwierzęta i drzewa na beton i bandę staruszków z New Jersey. Jaworski przejechał powoli przez plac budowy, przez niewykończone pole golfowe – już z flagami, lecz wciąż bez trawy – i dojechał prawie na sam brzeg. Wznosił się tam

szkielet bloku tak wielgachnego, że przesłaniał księżyc. Zostałem w tyle, zgasilem światła, a potem powolutku podjechałem bliżej, żeby zobaczyć, co mój chłoptaş knuje.

Zaparkował przed przyszłym blokiem. Wysiadł i stanął między półciężarówką a kopiastrą stertą piachu. Przez chwilę się rozglądał, zjechałem więc na pobocze i wyłączyłem silnik. Jaworski popatrzył na blok, potem na drogę i na morze. Najwyraźniej zadowolony wszedł do środka. Byłem przekonany, że szuka dozorczy albo ochroniarza. Ja też go wypatrywałem. Miałem nadzieję, że odrobił pracę domową. Na tych wielkich budowach jest zwykle tak, że ochroniarz objeżdża teren wózkiem golfowym. To spora oszczędność pieniędzy, poza tym byliśmy w Miami. Tu wszystkie oszczędności pakuje się w materiały, które po cichu znikają. Wyglądało na to, że Jaworski zamierza pomóc inwestorowi w dotrzymaniu umowy na wielkość kradzionego kontyngentu.

Wysiadłem, wyjąłem spod fotela taśmę i nóż i wrzuciłem do taniej, mocnej torby. Były w niej już gumowane rękawice ogrodowe i kilka zdjęć, ot, takich tam fotek z Internetu. Zarzuciłem torbę na ramię, po cichutku zanurzyłem się w noc i już po chwili stanąłem przed jego małą, brudną półciężarówką. W skrzyni było pusto, podobnie jak w szoferce, jeśli nie liczyć stert papierowych kubków z Burger Kinga, papierów i pustych pudełek po camelach na podłodze. Brud i smród, cały Jaworski.

Zadarłem głowę. Zza krawędzi dachu sączyła się księżycowa poświata. W twarz powiał mi nocny wiatr, niosąc z sobą wszystkie czarowne zapachy naszego tropikalnego raj: smród spalin, odór gnijącej roślinności i zapach cementu. Wziąłem głęboki oddech i pomyślałem o Jaworskim.

Był gdzieś w budynku. Nie wiedziałem, ile mam czasu, a pewien cichutki głosik wciąż mnie ponaglał. Wszedłem

do bloku. Usłyszałem go już w proggu. Jego, a raczej dziwny, terkocząco-turkoczący dźwięk. Tak, to musiał być on. Albo...

Znieruchomiałem. Odgłos dochodził z prawej strony, więc na paluszkach ruszyłem w prawo. Po ścianie biegła plastikowa rura. Przytknąłem do niej rękę i poczułem, że wibruje, jakby coś się w niej poruszało.

W głowie zapaliło mi się małe światełko. Jaworski kradł przewody. Miedź jest bardzo droga i w Miami kwitł czarny rynek miedzi we wszelkiej postaci. A więc pan Jaworski znalazł sobie kolejny sposób na dorobienie do skromnej pensji; pieniądze przydawały mu się zwłaszcza w długich przerwach między kolejnymi aktorkami uciekinierkami. Jeden skok na budowę i miał w kieszeni kilkaset dolarów.

Teraz kiedy wiedziałem już, co knuje, w głowie zaczął mi się klucć mglisty zarys planu działania. Sądząc po odgłosach, Jaworski musiał być gdzieś wyżej, nade mną. Łatwo mógłbym go namierzyć, pójść za nim, zaczekać na odpowiednią chwilę i zaatakować. Sęk w tym, że byłem zupełnie nagi, całkowicie wyeksponowany i nieprzygotowany. Przywykłem do robienia tych rzeczy w określony sposób. A teraz wykraczałem poza starannie wyznaczone granice i czułem się bardzo nieswojo.

Po plecach przeszedł mnie lekki dreszcz. Dlaczego to robiłem?

Odpowiedź przysła błyskawicznie: ja nie robiłem nic. Robił to mój drogi przyjaciel z tylnego siedzenia. Ja tylko mu towarzyszyłem, bo miałem prawo jazdy. Ale doszliśmy do porozumienia. Dzięki Harry'emu osiągnęliśmy stan równowagi i znaleźliśmy sposób na wspólne życie. Było tak do tej pory, ale teraz mój serdeczny druh szalał poza pięknymi, kredowymi liniami, które kiedyś wyrysował mój przybrany tato. Dlaczego? Ze złości? Czyżby najście na mój dom obudziło go i oburzyło do tego stopnia, że postanowił się zemścić?

Ale nie, nie czułem, żeby był zły. Był jak zwykle opanowany, w cichości ducha rozbawiony i niecierpliwie wypatrywał ofiary. Ja też nie byłem zły. Byłem na wpół pijany, na silnym haju. Tańczyłem chwiejnie na ostrzu euforycznej gilotyny i niczym na wodzie rozchodziły się we mnie kręgi czegoś dziwnego, czegoś, co - przynajmniej tak to sobie wyobrażałem - przypominało prawdziwe uczucie. Mocno nim odurzony przyjechałem do tego brudnego, niebezpiecznego, na chybił trafił wybranego miejsca, żeby pod wpływem chwili zrobić coś, co zawsze starannie planowałem. I chociaż zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, chciałem doprowadzić to do końca. Po prostu musiałem.

No, dobrze. Ale nie musiałem tego robić nago. Rozejrzałem się. Na końcu korytarza leżała sterta płyt gipsowych, owinięta kurczliwą folią. Parę minut pracy i wykroiłem z niej zgrabny fartuch i dziwaczną, przezroczystą maskę z otworami na nos, usta i oczy, żebym mógł oddychać, mówić i widzieć. Naciągnąłem ją mocno i gdy całkowicie zniekształciła mi twarz, zawiązałem z tyłu głowy niezgrabny węzeł. Anonimowość doskonała. Może to głupie, ale przywykłem polować w masce. I nie licząc neurotycznego przymusu robienia wszystkiego idealnie, miałem przynajmniej jedną rzecz z głowy, bo nie musiałem już o tym myśleć. W masce czułem się odprężony, było to zatem dobre rozwiązanie. Wyjąłem z torby rękawice i włożyłem je. Byłem gotowy.

Znalazłem go na drugim piętrze. U jego stóp leżała sterta przewodów elektrycznych. Stałem w cieniu, w klatce schodowej, i przez chwilę patrzyłem, jak wyciąga drut z rury. Potem cofnąłem się, ponownie otworzyłem torbę, wyjąłem taśmę i porozwieszałem zdjęcia z Internetu, słodziutkie fotki jasnowłosych uciekinierek w różnorodnych, bardzo śmiałych pozach. Przykleiłem je do ściany, tak żeby Jaworski zobaczył je, wychodząc na schody.

Nasz złodziej wyciągnął tymczasem kolejnych dwadzieścia metrów drutu. Drut nagle utknął i za nic nie chciał wyjść. Jaworski szarpnął dwa razy, wyjął z kieszeni ciężkie szczypce, uciął go tuż przy rurze, podniósł z podłogi resztę drutu i zwinął go w ciasny zwój. Potem ruszył w stronę schodów, prosto na mnie.

Przywarłem do ściany. Czekałem.

Nawet nie próbował zachowywać się cicho. Wiedział, że nikt mu nie przeszkodzi, a już na pewno nie oczekiwał mnie. Wsłuchiwałem się w odgłos jego kroków i w ciche brzęczenie wlokącego się za nim drutu. Był coraz bliżej.

Przeszedł przez drzwi, minął mnie i zrobił jeszcze jeden krok. Wtedy zobaczył zdjęcia.

- Uf - sapnął, jakby oberwał pięścią w brzuch. Gapił się na fotki z rozdziawionymi ustami, nie mogąc wykonać żadnego ruchu, a wówczas stanąłem za nim i przyłożyłem mu nóż do gardła.

- Ani mru-mru - szepnąłem.

- Hej, spokojnie...

Lekko przekreśliłem nadgarstek i delikatnie wbiłem mu nóż w szyję. Głośno syknął, gdy z płytkiej rany wytrysnęła mała fontanna krwi. Przygnębiające to i zupełnie niepotrzebne. Dlaczego ludzie nigdy nie chcą mnie słuchać?

- Ani mru-mru - powtórzyliśmy i od razu się uspokoił.

Potem słychać było tylko mdlący syk rozwijającej się taśmy klejącej, jego oddech i chichot Mrocznego Pasażera. Zakleiliśmy mu usta, związałem ręce jego bezcennym miedzianym drutem i zawlokłem go do innej sterty płyt gipsowych. Kilka minut później leżał już na prowizorycznym stole.

- Porozmawiajmy - zaczęliśmy zimnym, acz łagodnym głosem.

Nie wiedział, czy wolno mu się odezwać, poza tym miał zaklejone usta, więc na wszelki wypadek milczał.

- Porozmawiajmy o tych uciekinierkach - dodaliśmy, zrywając mu taśmę z ust.

- Jezuuu.... - zawył. - Czego... O co ci chodzi? - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Myślę, że wiesz.

- Nie.

- Tak.

O jedno słowo za dużo. Źle to rozegrałem w czasie, źle rozegrałem cały ten wieczór. A on nabrał nagle odwagi. Podniósł głowę, spojrział na moją lśniąca twarz i warknął:

- Ty kto? Gliniarz?

- Nie - odparliśmy w duecie i odcięliśmy mu lewe ucho; było najbliżej. Nóż był ostry, więc przez chwilę Jaworski nie mógł uwierzyć, że dzieje się to naprawdę, że naprawdę je stracił. Żeby uwierzył, rzuciliśmy mu je na pierś. Wybałuszył oczy i nabrał powietrza, żeby przeraźliwie wrzasnąć, ale zanim zdążył, zakneblowałem go kawałkiem plastikowej folii.

- Ani się waż. Bo spotka cię coś gorszego. - I miało go coś spotkać, och tak, bez dwóch zdań, ale na razie nie musiał o tym wiedzieć. - Porozmawiamy? - spyaliśmy chłodno i łagodnie i odczekaliśmy chwilę, uważnie obserwując jego oczy, żeby sprawdzić, czy tym razem nie wrzaśnie. Potem wyjęliśmy knebel.

- Chryste - wycharczał. - Moje ucho...

- Masz jeszcze prawe, zupełnie dobre. Opowiedz nam o tych dziewczętach ze zdjęć.

- Nam? Co znaczy: „nam”? Chryste, jak boli... - zaskomlał.

Niektórzy nigdy nic nie rozumieją. Zakneblowałem go i przystąpiłem do pracy.

Omam mnie nie poniosło; w tych okolicznościach nie było w tym nic dziwnego. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe, z trudem panowałem nad drżeniem rąk. Mimo to pracowałem, badałem, szukając czegoś, co zawsze było tuż-tuż, na koniuszkach palców. To podniecające i straszliwie frustrujące. Coś we mnie narastało, coś podchodziło aż po same uszy, błagając o uwolnienie, o spełnienie, lecz spełnienia ciągle nie było. Było jedynie coraz silniejsze napięcie, poczucie, że tuż poza zasięgiem zmysłów istnieje coś cudownego, że czeka, aż to znajdę i się w nim zanurzę. Ale tego nie znalazłem, a standardowe procedury nie dawały mi żadnej radości. Co robić? Zdezorientowany otworzyłem żyłę i na plastikowej folii pod Jaworskim utworzyła się potworna kałuża krwi. Zrobiłem krótką przerwę, szukając odpowiedzi i jej nie znajdując. Spojrzałem w szkieletowate okno. I zapomniałem o oddychaniu.

Nad morzem wisiał księżyc. Z powodu, którego nie potrafię wyjaśnić, uznałem, że tak jest dobrze, że tak musi być. Byłem tego pewien do tego stopnia, że przez chwilę po prostu patrzyłem, jak skrzy się w wodzie, srebrzysty i doskonały. Zachwiałem się, wpadłem na stół i wróciłem do rzeczywistości. Tylko ten księżyc... A może woda?

Byłem tak blisko. Tak blisko, że niemal czułem zapach... Czego? Przeszedł mnie dreszcz i to też było dobre, tak dobre, że uwolniło serię kolejnych dreszczy, które wstrząsały mną, aż zaszczekałem zębami. Ale dlaczego? Co to miało znaczyć? Coś tam było, było tam coś niezmiernie ważnego. Tam, w wodzie, a może w księżycu, jakaś oszalamiająco czysta jasność na samym czubku noża, a ja nie mogłem jej dosięgnąć.

Popatrzyłem na Jaworskiego. Leżał na stole upstrzony spontanicznie zadanyimi cięciami i bezsensownie uwalany krwią. Wpadłem w złość. Ale trudno się było gniewać, skoro wzywał mnie piękny florydzki księżyc, skoro wiał nasz

tropikalny wiatr, skoro słyszałem te cudowne, nocne odgłosy, szelest napinającej się i kurczącej taśmy i paniczne dyszenie. Niewiele brakowało i wybuchnąłbym śmiechem. Niektórzy giną za wielkie, niezwykle rzeczy, a ta mała, obrzydliwa pluskwa postanowiła umrzeć za zwój miedzianego drutu. I ta jego gęba, jaka urażona, zrozpaczona i skonsternowana. Gdybym nie był taki sfrustrowany, pomyślałbym, że to zabawne.

Nie, naprawdę zasługiwał na coś lepszego, na większy wysiłek z mojej strony. Ostatecznie to nie jego wina, że nie byłem w szczytowej formie. Nie figurował nawet w pierwszej dziesiątce moich rzeczy do zrobienia. Był po prostu małą, odrażającą larwą, która zabijała dziewczynki dla pieniędzy i podniety i która do tej pory zabiła ledwie cztery czy pięć. Prawie mu współczułem. Ta glista mogła tylko pomarzyć o pierwszej lidze.

No, cóż. Pora wracać do pracy. Stałem z boku. Już się nie rzucał, lecz wciąż był za bardzo ożywiony jak na moje metody. Oczywiście nie miałem przy sobie moich wysoce wyspecjalizowanych zabaweczek, dlatego znosił to nieszczególnie. Ale jak na prawdziwego weterana przystało, nie narzekał. Zalała mnie fala czułości. Zwolniwszy tempo i zarzuciwszy bylejąkość, z całym znanstwem i maestrią poświęciłem trochę czasu jego rękom. Zareagował entuzjastycznie, więc znowu odpłynąłem, zatracając się w radosnym eksperymentowaniu.

Z twórczej zadumy wyrwały mnie jego stłumione krzyki i gwałtowne ruchy ciała. Przypomniałem sobie, że nie zdążył nawet przyznać się do winy. Zaczekałem, aż się uspokoi, i wyjąłem knebel.

- No więc? - spytaliśmy unisono. - Jak to było z tymi uciekinierkami?

- O Boże - zajęczał. - O Chryste. O Jezu.

- Nie sądzę. Tych, o których mówisz, już dawno porzuciliśmy.

- Proszę. Błagam...

- Opowiedz mi o tych dziewczynkach.

- Dobrze - sapnął.

- Uprowadziłeś je.

- Tak.

- Ile?

Przez chwilę tylko dyszał. Miał zamknięte oczy i myślałem, że za wcześnie go straciłem. Ale w końcu rozwarł powieki i spojrzał na mnie.

- Pięć - odparł. - Pięć ślicznotek. I wcale tego nie żałuję.

- Ależ wiem. - Położyłem mu rękę na ramieniu. To była piękna chwila. - Bo widzisz, ja nie żałuję tego.

Zakneblowałem go i zabrałem się do pracy. Ale ledwo zdążyłem odzyskać właściwy rytm, kiedy usłyszałem na dole ochroniarza.

Zdradziły go trzaski z radionadajnika. Usłyszałem je, gdy byłem głęboko pochłonięty czymś, czego nigdy dotąd nie robiłem. Pracowałem nad tułowiem, samym czubkiem noża, i właśnie poczułem cudowne mrowienie na plecach, rozkoszne mrowienie, które schodziło aż do nóg. Pragnąłem, żeby trwało i trwało, ale... Radionadajnik. Radionadajnik to coś znacznie gorszego niż sam ochroniarz. Przez radionadajnik można wezwać wsparcie i zablokować drogi, i gdybym wpadł, mógłbym mieć małe trudności z wyjaśnieniem tego, co tu robiłem.

Spojrzałem na Jaworskiego. Prawie skończyłem, ale nie byłem z siebie zadowolony. Za bardzo nabrudziłem, no i nie znalazłem tego, czego szukałem. Owszem, były takie chwile, kiedy wydawało mi się, że jestem tuż-tuż, na granicy czegoś cudownego, u progu jakiegoś zdumiewającego objawienia, które miało coś wspólnego z... Z czym? Z falującą za oknem wodą? Możliwe, ale bez względu, co to było, ani razu tego nie dotknąłem. A teraz został mi jedynie brudny, niechlujny, nie do końca sprawiony, niedający satysfakcji pedofil i ochroniarz, który właśnie do nas szedł.

Nie znoszę przyspieszonych końcówek. Końcówka to niezwykle ważna chwila, to spełnienie i dla mnie, i dla Mrocznego Pasażera. Ale jaki miałem wybór? Przez długą chwilę - ze wstydem przyznaję, że o wiele za długą - zastanawiałem się, czyby go nie zabić - ochroniarza oczywiście - i nie kontynuować pracy. Mógłbym zrobić

to bez najmniejszego trudu, a potem zacząć od nowa ze świeżym zapalem, ale...

Nie. Naturalnie, że nie. Postąpiłbym źle. Ochroniarz był niewinny, czysty i niewinny tak jak każdy inny mieszkaniec Miami, o ile ktoś, kto mieszka w Miami, może taki być. Ot, kilka razy strzelał do samochodów na autostradzie Palmetto, na pewno nie zrobił nic gorszego. Był czysty jak łąza. Nie, musiałem się szybko wycofać, nie miałem innego wyjścia. Niedokończone dzieło, nie do końca usatysfakcjonowany Dexter. Cóż, trudno. Więcej szczęścia następnym razem.

Popatrzyłem na tego małego, brudnego robaka i załała mnie fala odrazy. Ta obmierzła pluskwa śliniła się i krwawiła, całą gębę miała w purchlach oślizgłego, ohydneho śluzu. Z ust sączyła mu się strużka obrzydliwej, czerwonej cieczy. W przyływie urażonej dumy poderżnąłem mu gardło. I natychmiast pożałowałem pośpiechu. Z szyi trysnęła mu fontanna krwi - widok godny ubolewania, fatalny błąd. Zbrukany i niespełniony puściłem się pędem do schodów. Tuż za mną, kaprysząc i narzekając, biegł Mroczny Pasażer.

Wyhamowałem na pierwszym piętrze, przy oknie bez szyby. Na dole zobaczyłem wózek golfowy, parkujący przodem do Old Cutler Road, co oznaczało - taką miałem nadzieję - że ochroniarz nadjechał z przeciwnego kierunku i nie widział mojego samochodu. Obok wózka stał tęgi, smagły młodzian o czarnych włosach i czarnych, rzadkich wąsach. Patrzył na blok, na szczęście w drugą stronę.

Co słyszał? Robił rutynowy obchód? Miałem nadzieję, że tak. Jeśli coś słyszał, jeśli wezwał pomoc, najpewniej mnie złapią. Bo chociaż byłem inteligentny i wygadany, nie dałbym rady się z tego wyłgać.

Ochroniarz musnął kciukiem wąsy i pogładził je, jakby zachęcając do szybszego rośnięcia. Zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem po ścianie budynku. Cofnąłem się. Gdy chwilę

później ponownie wyjrzałem, zobaczyłem tylko czubek jego głowy. Wchodził do bloku.

Zaczekałem, aż wejdzie na schody. Wtedy wypełzłem za okno, z czubkami palców na chropowatym, betonowym parapecie zawisłem między pierwszym piętrem i parterem, puściłem się i wylądowałem na ziemi. Lądowanie było ciężkie, bo obtarłem sobie kłykcie i omal nie skręciłem kostki na kamieniu. A potem, moim najszybszym i najbardziej stylowym krokiem, pokuśtykałem przez mrok do samochodu.

Gdy w końcu usiadłem za kierownicą, serce waliło mi jak szalone. Zerknąłem za siebie. Ani śladu ochroniarza. Odpaliłem silnik, najciszej, jak tylko mogłem dojechałem do Old Cutler Road i skręciłem na południe, żeby dotrzeć do autostrady Dixie i wrócić do Miami trochę dłuższą drogą. W uszach wciąż pulsowała mi krew. Głupie, bezsensowne ryzyko. Nigdy dotąd nie zrobiłem niczego tak spontanicznego, nigdy dotąd nie zrobiłem niczego bez żadnego planu. Zawsze przestrzegałem kodeksu Harry'ego: bądź ostrożny, bądź rozważny, bądź przygotowany. Taktyka działania cichociemnych.

Tymczasem, proszę. Mogli mnie złapać. Mogli mnie zobaczyć - gdybym w porę nie usłyszał młodego ochroniarza, musiałbym go zabić. Zabić niewinnego człowieka, zastosować wobec niego przemoc - jestem przekonany, że Harry by tego nie pochwalił. Poza tym to takie brudne i nieprzyjemne.

Oczywiście nie byłem jeszcze bezpieczny, bo przecież jeśli ochroniarz przejeżdżał wózkami golfowymi obok mojego wozu, mógł zapisać sobie numer rejestracyjny. Podjąłem straszliwe, zupełnie idiotyczne ryzyko, postąpiłem wbrew wszystkim pedantycznie wypracowanym zasadom, rzuciłem na szalę całe moje starannie zbudowane życie - i po co? Po to, żeby poczuć miły dreszczyk towarzyszący zabijaniu? Wstyd. Niczym echo, głęboko w mrocznych zakamarkach mojego

umysłu rozbrzmiał cichutki głosik: Och, och, co za wstyd! I znajomy chichot.

Wzięłem głęboki oddech i popatrzyłem na spoczywającą na kierownicy rękę. Mimo wszystko wyprawa była ekscytująca. Prawda? Dziko podniecająca, głęboko frustrująca, pełna życia i nowych wrażeń. Była czymś zupełnie nowym i ciekawym. I jeszcze to dziwne wrażenie, że to wszystko gdzieś prowadzi, do jakiegoś ważnego miejsca, miejsca nowego i jednocześnie znajomego. Następnym razem będę musiał zbadać je lepiej i dokładniej.

Nie, żebym zamierzał to powtórzyć. Nigdy więcej nie zrobiłbym czegoś równie głupiego i spontanicznego. Nigdy. Ale trzeba przyznać, że zabawę miałem przednią.

Nieważne. Pojadę do domu, wezmę długie, wyjątkowo długie pryzmicy i zanim wyjdę z kabiny...

Czas. Myśl niechciana i nieproszona. Przecież umówiłem się z Ritą i sądząc po zegarze na desce rozdzielczej, umówiłem się z nią mniej więcej teraz. Tylko po co? Pewnie w jakimś ponurym celu, ale nie wiedziałem dosłownie nic na temat funkcjonowania umysłu kobiety. I dlaczego myślałem o tym akurat w tej chwili, skoro zakończenia moich wszystkich włókien nerwowych stały dęba i wyły z frustracji? Nie miałem zielonego pojęcia, co Rita chce mi powiedzieć, a raczej co do mnie wyrzeshceć. Jej celne uwagi na temat ułomności mojego charakteru zupełnie mi nie przeszkadzały, irytowała mnie jedynie świadomość, że będę musiał jej wysłuchiwać, mając na głowie dużo poważniejsze sprawy. Konkretnie mówiąc, chciałem się na spokojnie zastanowić, co powinienem był zrobić i czego nie zrobiłem świętej pamięci Jaworskiemu. Do chwili tego niedokończonego, brutalnie przerwane go punktu kulminacyjnego zdarzyło się mnóstwo nowych rzeczy, których przeanalizowanie wymagało wytężonego wysiłku umysłowego. Musiałem pomyśleć, musiałem to dokładnie

przemysleć i zrozumieć, dokąd to prowadzi. I jaki ma związek z artystą, który podążał za mną trop w trop i rzucał mi wyzwanie.

Czekało mnie naprawdę dużo pracy, więc po co mi była Rita?

Ale pójść do niej oczywiście zamierzałem. Ta zbożna i pokorna wizyta miała zapewnić mi alibi po milej przygodzie z panem woźnym. „Jak pan w ogóle mógł pomyśleć, że byłbym w stanie... Poza tym, w tym czasie kłóciłem się z moją dziewczyną. To znaczy, była dziewczyną”. Bo nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Rita chce tylko... Jak się to mówi? Tak, że chce się na mnie wyżyć. Miałem kilka poważnych wad charakterologicznych, a ona chciała mi je wytknąć w gwałtownym wybuchu emocji, dlatego moja obecność była nieodzowna.

Skoro tak, musiałem doprowadzić się do porządku. Zawróciłem do Coconut Grove i zaparkowałem po drugiej stronie mostu nad kanałem. Kanał był dobry, głęboki. Spod rosnących na brzegu drzew wytoczyłem kilka kamieni, włożyłem je do torby z gumowymi rękawicami, plastikową maską i nożem i wrzuciłem torbę do kanału.

Potem zatrzymałem się jeszcze raz, w ciemnym parczku niedaleko domu Rity, i dokładnie się umyłem. Musiałem być czysty i elegancki. Wysłuchiwanie wrzasków rozwścieczonej kobiety powinno być traktowane jako półoficjalne spotkanie.

Wyobraźcie tylko sobie, jak bardzo byłem zaskoczony, kiedy kilka minut później zadzwoniłem do jej drzwi. Nie otworzyła ich gwałtownym szarpnięciem, bynajmniej nie zaczęła ciskać we mnie meblami ani obrzucać mnie wyzwiskami. Otworzyła drzwi bardzo powoli i ostrożnie, na wpół za nimi ukryta, jakby bała się tego, co czekało za progiem. A zważywszy, że za progiem czekałem ja, okazała tym rzadki u niej zdrowy rozsądek.

- Dexter? - powiedziała cicho i nieśmiało, jakby nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź pozytywną, czy negatywną. - Nie byłam pewna czy... czy przyjdiesz.

- Ale przyszedłem - odparłem uprzejmie.

Milczała tak długo, że poczułem się nieswojo. Wreszcie uchyliła drzwi.

- Wejdiesz? Proszę...

Jeśli zaskoczył mnie jej niepewny głos, jakże inny od głosu, jakim przemawiała do mnie dotychczas, wyobraźcie sobie, jak bardzo zdumiał mnie jej strój. Nazywa się to chyba peniuar, w każdym razie zważywszy ilość materiału zużytego do jego uszycia, było to coś, czego, praktycznie rzecz biorąc, nie było. Bez względu na nazwę, miała to nic na sobie. I chociaż pomysł był co najmniej dziwaczny, wszystko wskazywało na to, że włożyła to specjalnie dla mnie.

- Proszę - powtórzyła.

Tego było już trochę za dużo. Bo niby co miałem tam robić? Wciąż gotowało się we mnie po nie do końca udanych eksperymentach na Jaworskim, wciąż słyszałem mamrotanie z tylnego siedzenia samochodu. Tymczasem po szybkiej ocenie sytuacji stwierdziłem, że nie dość, iż jestem jak rozdarta sosna - w jedną stronę ciągnęła mnie Debora, w drugą mój posepny artysta - to jeszcze oczekiwano ode mnie czegoś typowo ludzkiego, jak na przykład... No właśnie, jak na przykład co? Przecież nie mogła... Jak to? Nie była na mnie zła? Co się tu działo? I dlaczego akurat ze mną?

- Wysłałam dzieci do sąsiadów - powiedziała. I zamknęła biodrem drzwi.

Wszedłem do środka.

To, co zdarzyło się później, mógłbym opisać na bardzo wiele sposobów, ale żaden z nich nie byłby adekwatny. Rita podeszła do kozetki. Ja podszedłem za nią. Rita usiadła. Ja też. Czuła się chyba nieswojo, bo prawą ręką ścisnęła lewą. Jakby na coś

czekała, a ponieważ nie bardzo wiedziałem na co, zacząłem myśleć o serii przerwanych eksperymentów na Jaworskim. Gdybym tylko miał trochę więcej czasu! Jakich rzeczy mógłbym dokonać!

I kiedy tak o nich myślałem, uświadomiłem sobie, że Rita cicho płacze. Patrzyłem na nią przez chwilę, próbując odpędzić obraz czyściutkiego, obdartego ze skóry woźnego. Za nic nie mogłem zrozumieć, dlaczego płacze, ale ponieważ długo i intensywnie trenowałem naśladowanie ludzkich odruchów, wiedziałem, że powinienem ją pocieszyć. Dlatego nachyliłem się, objąłem ją i powiedziałem:

- No już dobrze.

Niezbyt to elokwentne, lecz dobrze przemyślane i zalecane przez wielu specjalistów. Poskutkowało. Rita rzuciła się gwałtownie do przodu i oparła głowę o moją pierś. Przytuliłem ją i zza jej ramienia wychynęła moja ręka. Przed niecałą godziną ta sama ręka wodziła nożem po ciele Jaworskiego. Ta myśl przyprawiła mnie o zawrót głowy.

Naprawdę nie wiem, jak to się stało, ale się stało. W jednej chwili poklepywałem ją po ramieniu, patrząc na ścięgna na mojej dłoni, widząc błysk noża do filetów w brzuchu Jaworskiego, czując, jak palce pulsują wspomnieniami niedawno przeżytych chwil, jak wzbiera we mnie moc..

A już w następnej...

Rita musiała chyba na mnie spojrzeć. Jestem też prawie pewien, że ja spojrzałem na nią. Spojrzałem, ale zamiast niej zobaczyłem zgrabny stosik czystych, zimnych ludzkich kończyn. I to nie jej ręce poczułem na klamrze paska, tylko narastający chór głosów niezadowolonego Mrocznego Pasażera. I jakiś czas później...

Cóż. Rzecz nie do pomyślenia nawet teraz. Bo żeby tam, na kozetce...

Jak to się, u licha, stało?

Kładąc się do mojego małego łóżeczka, byłem zupełnie wykończony. Zwykle nie potrzeba mi dużo snu, ale po takiej nocy mógłbym przespać trzydzieści sześć godzin. Te wzloty i upadki, ten stres, te nowe doświadczenia – byłem ledwo żywy. Oczywiście bardziej żywy niż Jaworski, ta wstrętna, zaśliniona pluskwa, ale w ciągu jednego burzliwego wieczoru zużyłem miesięczny zapas adrenaliny. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy, poczynając od dziwnego impulsu, który kazał mi wypaść z domu i jak szalenięc pognać w noc, na tych niewyobrażalnych rzeczach z Ritą kończąc. Gdy wychodziłem, już spała i była najwyraźniej bardziej szczęśliwa niż przedtem. Ale biedny, otępiały i obłąkany Dexter znowu nie wiedział dlaczego i kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki, momentalnie zasnął.

Szybuję nad miastem jak bezkostny ptak. Wartkie, zimne powietrze omywa mnie, przesywa, ściąga w dół, ku wodzie, gdzie rozchodzą się kręgi księżycowej poświaty, nurkuję więc do małej, ciasnej katowni i widzę, że mój mały Jaworski leży rozciągnięty pod nożem, że podnosi głowę, że patrzy na mnie i się śmieje, że wysiłek ten zniekształca i zmienia mu twarz, że Jaworski nie jest już Jaworskim, tylko kobietą, że ten z nożem zadziera głowę, widzi, jak krążę nad krwawymi wnętrznościami, lecz w chwili, gdy podnosi wzrok, słyszę za drzwiami Harry'ego, więc szybko skręcam i już nie widzę, kto leży na stole...

Obudziłem się z bólem głowy tak silnym i pulsującym, że rozłupałby orzech kokosowy. Czuję się tak, jakbym dopiero co zamknął oczy, tymczasem budzik przy łóżku wskazywał czternaście po piątej.

Kolejny sen. Kolejna zamiejscowa rozmowa przez widmowy telefon towarzyski. Nic dziwnego, że przez całe życie konsekwentnie nie chciałem nic śnić. Te wszystkie głupie,

bezsensowne i oczywiste symbole. Niestrawna zupa lęku, wrzaskliwa bzdura.

No i nie mogłem już ponownie zasnąć, bo zacząłem myśleć o tych infantylnych obrazach. Skoro już musiałem śnić, dlaczego nie śnił mi się na przykład ktoś taki jak ja, ktoś, a raczej coś naprawdę ciekawego i innego?

Usiadłem i rozmasowałem skronie. Straszna, nużąca nieświadomość wypłynęła mi z głowy jak ciecz z odetkanej zatoki, więc usiadłem na brzegu łóżka zmęczony i zdezorientowany. Co się ze mną działo? I dlaczego to musiało przytrafić się akurat mnie?

Odnosiłem wrażenie, że ten sen był inny, chociaż nie miałem pojęcia, na czym ta inność polega i co oznacza. Poprzednim razem byłem zupełnie pewny, że dojdzie do kolejnego morderstwa, wiedziałem nawet gdzie. Ale teraz...

Westchnąłem i poczłapałem do kuchni napić się wody. Otworzyłem lodówkę i stuk-puk, zastukała główka Barbie. Stałem tam i patrzyłem na nią z dużą szklanką zimnej wody w rękę. Ona patrzyła na mnie. Miała błękitne oczy i nawet do mnie nie mrugnęła.

Skąd ten sen? Czyżby moja pokiereszowana podświadomość reagowała w ten sposób na stres minionego wieczoru? Nigdy dotąd nie odczuwałem takiego napięcia, wprost przeciwnie, zawsze odczuwałem ulgę. Z drugiej strony, nigdy dotąd nie otarłem się o katastrofę. Ale dlaczego miałbym o tym śnić? Niektóre obrazy były boleśnie oczywiste: Jaworski, Harry i niewidoczna twarz mężczyzny z nożem. Doprawdy. Dlaczego miałbym zdręzczać się czymś, co studenci psychologii przerabiają na pierwszym roku?

I w ogóle dlaczego miałbym zdręzczać się snem jako takim? Po co mi to? Musiałem odpocząć, tymczasem stałem w kuchni, bawiąc się główką Barbie. Dałem jej prztyczka. Stuk-puk. Barbie. No właśnie. O co tu chodzi? Jak miałem to rozgryźć,

żeby w porę uratować karierę Debory? Jak miałem obejść LaGuertę, skoro ta biedaczka była mną zauroczona? I na wszystkie świętości, jeśli cokolwiek jest jeszcze święte, dlaczego Rita musiała mi to zrobić?

Przypominało to operę mydlaną i nagle miałem tego dość. Poszukałem aspiryny, oparłem się o kuchenny blat i zjadłem trzy. Smakowały tak sobie. Nie lubiłem lekarstw, nie licząc ich zastosowania praktycznego.

Zwłaszcza od śmierci Harry'ego.

Harry nie umarł ani szybko, ani bezboleśnie. Nie spieszył się, konał potwornie długo, co było pierwszą i ostatnią samolubną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił. Umierał przez półtora roku, stopniowo, krok po kroku, tracąc przytomność na kilka tygodni, odzyskując ją, powracając do sił, przyprawiając nas o zawrót głowy i trzymając w nieustannej niepewności. Czy tym razem umrze, czy znowu z tego wyjdzie? Nigdy tego nie wiedzieliśmy, ale ponieważ chodziło o Harry'ego, głupio byłoby się poddać. Bez względu na koszty, tato zawsze robił to, co uważał za słuszne, ale jak to się miało do umierania? Skoro musiał umrzeć tak czy inaczej, czy słuszne było to, że walczył, każąc nam cierpieć i bez końca umierać wraz z nim? Może powinien odejść bez tego zamieszania, po cichu i z wdziękiem?

Miałem wtedy dziewiętnaście lat i nie znałem odpowiedzi na te pytania, chociaż wiedziałem o śmierci dużo więcej niż banda krostowatych idiotów z drugiego roku uniwersytetu w Miami.

Pewnego pięknego jesiennego dnia po zajęciach z chemii szedłem przez kampus do klubu studenckiego, gdy dopędziła mnie Debora.

- Cześć - powiedziałem z nadzieją, że zabrzmiało to bardzo po studencku. - Chodź na colę.

To Harry kazał mi chodzić do klubu i na colę. Mówił, że pomoże mi to udawać człowieka i nauczy właściwego zachowania. Oczywiście miał rację. Mimo że cola niszczyła mi zęby, nauczyłem się bardzo dużo o tym jakże niemiłym rodzaju.

Debora, która miała wtedy siedemnaście lat i była zbyt poważna jak na ten wiek, pokręciła głową.

- Tato - odparła.

I już wkrótce pędziliśmy przez miasto do hospicjum, gdzie go zabrali. Hospicjum - zła wiadomość. Lekarze chcieli przez to powiedzieć, że tato może już umrzeć, i sugerowali, żeby zaczął wreszcie współpracować.

Wyglądał nie najlepiej. Zielony na twarzy, leżał tak nieruchomo, że pomyślałem, iż przyjechaliśmy za późno. Od długiej walki o życie bardzo wychudł i zmizerniał, jakby coś zżerało go od środka. Przy łóżku, niczym Darth Vader z grobu dla żywych, syczał respirator. A więc Harry jednak żył.

- Tatusiu - powiedziała Debora, biorąc go za rękę. - Przeprowadziłam Dextera.

Harry otworzył oczy i jego głowa przetoczyła się po poduszce tak bezwładnie, jakby z drugiej strony popchnęła ją niewidzialna ręka. Patrzył na nas, ale nie były to oczy Harry'ego. Były to dwie mętne, niebieskie jamy, szkliste, puste, niezamieszkałe dziury. Ciało wciąż żyło, lecz on już je opuścił.

- Nie jest dobrze - powiedziała pielęgniarka. - Próbujemy zaoszczędzić mu cierpienia. - Wzięła z tacy strzykawkę, napełniła ją, podniosła do góry i wcisnęła tłoczek, żeby wypchnąć z niej powietrze.

- Zaczekaj...

Zabrzmiało to tak cicho, że w pierwszej chwili pomyślałem, iż to respirator. Rozejrzałem się po pokoju i mój wzrok padł na to, co zostało z Harry'ego. W jego mętnych, szklistych oczach tliła się malutka isierka.

- Zaczekaj... - powtórzył i ruchem głowy wskazał pielęgniarkę.

Ta albo go nie słyszała, albo postanowiła go zignorować. Podeszła do łóżka, delikatnie podniosła jego chudą jak patyk

rękę i zaczęła przecierać ją wacikiem.

- Nie... - sapnął niemal niesłyszalnie Harry.

Spojrzałem na Deborahę. Stała na baczność w doskonałej postawie uroczystej niepewności. Spojrzałem na Harry'ego. Spotkaliśmy się wzrokiem.

- Nie... - W jego oczach dostrzegłem coś na kształt przerażenia. - Żadnych... zastrzyków.

Zrobiłem krok do przodu i chwyciłem pielęgniarkę za rękę, zanim zdążyła wbić igłę w żyłę.

- Chwileczkę - powiedziałem. Popatrzyła na mnie i przez ułamek sekundy widziałem coś w jej oczach. Zaskoczony omal nie zatoczyłem się do tyłu. To coś było zimną furią, nieludzką, jaszczurczą żądzą, wiarą, że świat jest jej prywatnym łowiskiem. To był tylko króciutki błysk, ale to wystarczyło. Ta kobieta miała ochotę wbić mi igłę w oko za to, że jej przeszkodziłem. Chciała wbić mi ją w pierś i przekręcić, rozewrzeć mi żebra, wyrwać serce, zmiażdżyć je rękami i wycisnąć zeń życie. Miałem przed sobą potwora, myśliwego i zabójcę. Wcielenie zła, bezdusznego drapieżnika.

Takiego samego jak ja.

Na jej twarz błyskawicznie powrócił cukierkowaty uśmiech.

- Co się stało, skarbie? - spytała słodziutko. Ostatnia pielęgniarka, pielęgniarka doskonała.

Spuchł mi język i długo trwało, zanim odpowiedziałem. Ale w końcu odpowiedziałem.

- Tato nie chce zastrzyku.

Ostatnia Pielęgniarka uśmiechnęła się ponownie cudownym uśmiechem, który przywarł do jej twarzy niczym błogosławieństwo wszechmądrego bożka.

- Wasz tato jest bardzo chory. Bardzo go boli. - Znowu podniosła strzykawkę i z okna padła na nią melodramatyczna

smuga światła. Igła zaskrzyła się w niej jak święty Graal. - Musi dostać zastrzyk.

- On nie chce - powtórzyłem.

- On cierpi - odparła.

Harry coś powiedział, ale nie dosłyszałem co. Patrzyłem na pielęgniarkę, ona patrzyła na mnie: dwa potwory nad jednym ścierwem. Nie spuszczać jej z oczu, nachyliłem się nad łóżkiem.

- Chcę, żeby... bolało - wyszeptał Harry.

Aż drgnąłem. Spojrzałem w dół. Z małej, kościstej głowy, porośniętej króciutkimi, mimo to za długimi teraz włosami, przemawiał do mnie dawny Harry. Wrócił i przebijał się właśnie przez mgłę ku pełnej świadomości. Powoli, powolutku wziął mnie za rękę i ścisnął mi palce.

Spojrzałem na Ostatnią Pielęgniarkę.

- Tato chce, żeby go bolało - powiedziałem i w jej lekko zmarszczonych brwiach, w nadąsanym ruchu głową usłyszałem ryk dzikiej bestii, która widzi, jak zdobycz umyka do nory.

- Będę musiała powiedzieć lekarzowi - odparła.

- Dobrze. Zaczekamy. Tutaj.

Wyszła na korytarz jak wielki, drapieżny ptak. Harry ścisnął mnie za rękę. Widział, jak na nią patrzyłem.

- Widzisz... to? - spytał.

- W niej? - Zamknąłem oczy i lekko kiwnąłem głową, tylko raz. - Tak. Widzę.

- To samo, co... u ciebie?

- O czym wy mówicie? - wtrąciła się Debora. - Tatusiu, dobrze się czujesz? Dexter, co w niej widzisz? Co to znaczy?

- Że się jej spodobałem - wyjaśniłem. - Tato tak uważa.

- Aha - mruknęła siostra, ale ja patrzyłem już na Harry'ego.

Co zrobiła? - spytałem.

Próbował pokręcić głową, ale zdołał tylko lekko nią zakołysać. Wykrzywił twarz. Zrozumiałem, że znowu go boli, tak jak chciał.

- Za dużo... - wyszeptał. - Daje za dużo... - Głośno sapnął i zamknął oczy.

Tamtego dnia musiałem być wyjątkowo tępy, bo nie załapałem.

- Za dużo czego?

Harry otworzył zamglone bólem oko.

- Morfiny.

Zalała mnie wielka fala nagłego olśnienia.

- Podaje za duże dawki. - Nareszcie go zrozumiałem. - Zabija morfiną. A w hospicjum, gdzie należy to niemal do jej obowiązków, nikt jej nic nie zarzuci... Rany, przecież to...

Harry ścisnął mnie za rękę i przestałem gadać.

- Nie pozwól jej - wychrypiał z zaskakującą siłą w głosie. - Nie pozwól jej mnie szprycować.

- Dexter - syknęła Debora, z trudem powstrzymując gniew. - O czym wy mówicie?

Spojrzałem na Harry'ego, ale on zamknął już oczy, bo nagle zaatakował go silny ból.

- Tato mówi, że... - Urwałem. Debora nie miała oczywiście pojęcia, czym jestem, a Harry stanowczo zabronił mi mówić. Więc jak miałem jej cokolwiek powiedzieć, niczego nie zdradzając? - Tato uważa, że pielęgniarka daje mu za dużo morfiny. Celowo.

- Zwariowałeś - odparła. - Przecież to pielęgniarka.

Cóż za niezwykła naiwność. Harry spojrzał na nią bez słowa. Szczerze mówiąc, mnie też nic nie przychodziło do głowy.

- Co mam zrobić? - spytałem.

Tato patrzył na mnie bardzo długo. Początkowo myślałem, że odpłynął z bólu, ale kiedy przyjrzałem mu się uważniej,

stwierdziłem, że wciąż jest z nami. Zaciskał zęby tak mocno, że bałem się, iż pęknie mu szczeka, że kość przebije bladą, delikatną skórę. A oczy miał czyste i przytomne jak wtedy, gdy po raz pierwszy przedstawił mi rozwiązanie mojego problemu.

- Powstrzymaj ją - powiedział wreszcie.

Przeszedł mnie silny dreszcz. Powstrzymać ją? Czy to możliwe? Czy naprawdę chciał, żebym... żebym ją powstrzymał? Do tej pory zawsze pomagał mi okiełznać Mrocznego Pasażera, karmiąc go zabłąkanymi pieskami i kotkami czy polując ze mną na jelenie; raz - ale jakże cudowny raz - pojechałem z nim zapolować na zdziczałą małpę, która terroryzowała osiedle w południowym Miami. Z małpą było prawie niemal jak z człowiekiem, ale oczywiście nie do końca. Przerobiliśmy też dokładnie całą teorię podchodzenia zdobywcy, pozbywania się dowodów i tak dalej. Harry wiedział, że wcześniej czy później do tego dojdzie i chciał, żebym był przygotowany, żebym zrobił to dobrze. Ale do tej pory zawsze mi zabraniał. Tymczasem teraz... Powstrzymać ją? Naprawdę tego chciał?

- Pójdę porozmawiać z lekarzem - powiedziała Debora. - Każe jej dobrać dawkę.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale Harry ścisnął mnie za rękę i boleśnie kiwnął głową.

- Idź - szepnął.

Debora spojrzała na niego i poszła poszukać lekarza. Gdy zamknęły się drzwi, w pokoju zapadła cisza. Myślałem tylko o jednym, o tym, co powiedział tato: „Powstrzymaj ją”. Mogłem zinterpretować to tylko w jeden sposób: Harry spuścił mnie w końcu ze smyczy, pozwolił mi wreszcie zrobić to naprawdę. Ale nie śmiałem o nic go wypytywać, bojąc się, że powie, iż chodziło mu o coś innego. Dlatego stałem długo bez słowa, spoglądając w okno, na ogród, gdzie wokół fontanny czerwieniły się kwiaty.

- Dexter...

Nie odpowiedziałem. Nie przychodziło mi do głowy nic stosownego.

- To jest tak - powiedział Harry powoli i z bólem w głosie. Spojrzałem mu w oczy i gdy zobaczył, że wróciłem do rzeczywistości, uśmiechnął się słabo i z wysiłkiem. - Już niedługo mnie nie będzie - dodał. - Nie mogę zabronić ci być tym, kim jesteś...

- Czym jestem, tato.

Machnął wątlą, kruchą ręką.

- Wcześniej czy później będziesz musiał zrobić to... człowiekowi. - Na tę myśl zaśpiewała mi krew w żyłach. - Komuś, kto na to zasługuje...

- Jak ta pielęgniarka - odparłem, z trudem poruszając spuchniętym językiem.

- Tak. - Harry zamknął oczy i długo ich nie otwierał. Głos miał przesycony bólem. - Ona na to zasługuje. Ona... - Chrapliwie wciągnął powietrze. Mlasnął językiem, jakby zaschło mu w ustach. - Ona celowo podaje pacjentom za dużą dawkę... Ona ich zabija... zabija. To morderczyni, Dexter. Morderczyni...

Odchrząknąłem. Szumiało mi w głowie i czułem się trochę nieswojo, ale cóż, była to bardzo ważna chwila w życiu młodego człowieka.

- Tato, chcesz, żebym... - Załamał mi się głos. - Będzie dobrze, jeśli ją powstrzymam?

- Tak - odrzekł. - Będzie dobrze.

Z jakiegoś powodu uznałem, że muszę być absolutnie pewny.

- To znaczy, wiesz. Tak jak to robiliśmy? Na przykład z małpą?

Harry miał zamknięte oczy i najwyraźniej odpływał na fali bólu. Oddychał cicho, powoli i nierówno.

- Powstrzymaj pielęgniarkę. Tak jak tamtą... małpę. -
Odchylił głowę do tyłu. Oddychał teraz szybciej, lecz wciąż chrapliwie.

Hm...

No, proszę.

„Powstrzymaj pielęgniarkę. Tak jak tamtą małpę”.
Pobrzmiwała w tym złowroga nutka. Ale w moim buzującym mózgu wszystko było muzyką. Harry spuszczał mnie ze smyczy. Dawał mi pozwolenie. Rozmawialiśmy o tym, mówiliśmy, że kiedyś to zrobię, ale zawsze mi zabraniał. Do teraz.

Do tej chwili.

- Rozmawialiśmy o tym - powiedział z zamkniętymi oczami.
- Wiesz, co robić.

- Byłam u lekarza - rzuciła Debora, wchodząc szybko do pokoju. - Przyjdzie i zapisze wszystko na karcie.

- To dobrze - odparłem, czując, jak coś we mnie rośnie, jak pełnie od podstawy kręgosłupa ku czubkowi głowy, silny prąd, który przeszył mnie nagle i okrył niczym czarnym kapturem. - Pójdę porozmawiać z pielęgniarką.

Siostra jakby się zmieszała.

- Dexter...

Przystanąłem, próbując zapanować nad dziką radością, która we mnie wzbierała.

- Żeby uniknąć nieporozumień - wyjaśniłem. Mój głos brzmiał dziwnie nawet dla mnie. Minąłem ją, zanim zdążyła zobaczyć moją minę.

I na korytarzu hospicjum, zygzakując między stertami czystych, białych, sztywnych od krochmalu prześcieradeł, po raz pierwszy poczułem, że moim nowym kierowcą jest Mroczny Pasażer, mój nieproszony doradca. Dexter stracił na znaczeniu, stał się prawie niewidzialny jak pastelowe pasy na groźnym, przezroczystym tygrysie. Całkowicie wtopiłem się

w tło, ale byłem tam, krążyłem, podchodząc ofiarę pod wiatr. W tym fantastycznym rozbłysku wolności, w drodze na pierwsze prawdziwe polowanie, osobiście zatwierdzone przez wszechpotężnego Harry'ego, wycofałem się w głąb samego siebie, zanurzyłem w scenerii mojego posępnego „ja”, podczas gdy on, ja numer dwa, prężył się do skoku i warczał. Nareszcie to zrobię, nareszcie zrobię to, do czego zostałem stworzony.

I zrobiłem.

I zrobiłem. Tak dawno temu, mimo to wspomnienia wciąż pulsowały we mnie jak żywe. No i oczywiście wciąż miałem tę pierwszą kropelkę zakrzepłej krwi na szkiełku mikroskopowym. Tak, to była moja pierwsza i w każdej chwili mogłem cofnąć się w czasie, wystarczyło, że spojrzałem na szkiełko. I często spoglądałem. Dla Dextera był to wyjątkowy, bardzo specjalny dzień. Ostatnia Pielęgniarka stała się Pierwszą Towarzyszką Zabaw i otworzyła dla mnie tyle cudownych drzwi. Tyle się dzięki niej nauczyłem, tyle dowiedziałem.

Ale dlaczego przypomniła mi się akurat teraz? Dlaczego ciąg tych wszystkich zdarzeń zdawał się przenosić mnie w przeszłość? Nie mogłem sobie pozwolić na czułe wspomnianie moich pierwszych długich spodni. Czekały mnie wielkie czyny, musiałem działać, musiałem podejmować ważne decyzje. A nie wędrować cklowymi zaułkami przeszłości i nurzać się w słodkich wspomnieniach o pierwszym szkiełku mikroskopowym.

Myśląc o szkiełku, nagle zdałem sobie sprawę, że nie pobrałem próbki krwi Jaworskiego. Był to jeden z tych małych, absurdalnie nieistotnych szczegółów, które silnych ludzi czynu zmieniają w rozedrganych, rozchlipanych neurotyków. Po prostu musiałem mieć to szkiełko. Śmierć Jaworskiego była bez niego kompletnie bezsensowna. Cały ten idiotyczny epizod zdawał się teraz jeszcze bardziej beznadziejny niż moja impulsywność i głupota. Był po prostu niepełny. Nie miałem szkiełka.

Jak kaleka potrząsnąłem głową, próbując połączyć dwie szare komórki w synapsę. Miałem ochotę popłynąć łodzią na poranną przejażdżkę. Może słońce powietrze oczyści mi czaszkę z głupoty. Mógłbym też wziąć kurs na południe, na Turkey Point, z nadzieją że promieniowanie zmutuje mnie i przywróci mi rozsądek. Zamiast tego, zrobiłem sobie kawy. Brak szkielka. Brak szkielka zubażał i dewaluował całe przeżycie. Bez szkielka mogłem równie dobrze zostać w domu. Dewaluował? No, prawie. Bo była i rekompensata. Uśmiechnąłem się czule, wspominając księżycową poświęć i stłumione krzyki. Och, Dexter, ty mały, zwariowany potworku. Przygoda zupełnie niepodobna do innych. Znakomite urozmaicenie nużącej rutyny, choć raz na jakiś czas. No i oczywiście Rita, ale nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, więc nie myślałem. Zamiast niej przypomnieli mi się chłodny wiatr omywający ciało tego wijącego się robaka, który lubił krzywdzić dzieci. Prawdziwe szczęście. Prawie. Naturalnie za dziesięć lat wspomnienia zbledną i bez szkielka nie będę mógł ich przywołać. Musiałem mieć szkielko, moją jedyną pamiątkę. Cóż, zobaczymy.

Czekając, aż zaparzy się kawa, sprawdziłem, czy jest gazeta. Nadzieja matką głupich – wcale na to nie liczyłem. Rzadko kiedy rozwożono je przed wpół do siódmej, a w niedzielę często trafiały do subskrybentów dopiero po ósmej. Był to kolejny przykład dezintegracji społeczeństwa, która tak bardzo martwiła Harry'ego. Bo doprawdy, skoro nie mogę mieć na czas gazety, jak można oczekiwać, że przestanę zabijać?

Gazety nie było; nieważne. To, jak prasa opisuje moje przygody, nigdy mnie zbyt nie ciekawiło. A Harry ostrzegał mnie przed idiotyzmem, jakim byłoby założenie i prowadzenie pamiętnika z wyciętymi z gazet zdjęciami i artykułami. Nie musiałem tego robić. I rzadko kiedy przeglądałem recenzje moich dokonań. Tym razem było oczywiście nieco inaczej,

ponieważ przez moją impulsywność nie zachowałem należytej ostrożności i martwiłem się trochę, czy dobrze zatarłem ślady. Poza tym byłem po prostu ciekaw, co napisali o moim przypadkowym wypadku. Dlatego przez czterdzieści pięć minut siedziałem w kuchni i z kubkiem kawy w ręku czekałem, aż gazeta wyląduje z trzaskiem pod drzwiami. Przyniosłem ją do kuchni i otworzyłem.

Bez względu na to, co można powiedzieć o dziennikarzach - a można by o nich napisać encyklopedię - jedno jest pewne: rzadko kiedy mają dobrą pamięć i jeszcze rzadziej się tym przejmują. Ta sama gazeta, która trąbiła ostatnio, że „policja aresztuje seryjnego mordercę”, krzyczała teraz: „Lodowy zabójca wkrótce na wolności?” Był to długi, uroczy, bardzo dramatyczny i szczegółowy artykuł o odkryciu zmasakrowanych zwłok na placu budowy przy Old Cutler Road. „Rzeczniczka prasowa policji Metro Dade” - byłem pewien, że chodzi o LaGuertę - oświadczyła, że jest co prawda za wcześniej na konkretne wnioski, ale że jej zdaniem mamy do czynienia z zabójcą naśladowcą. Jednakże gazeta wyciągnęła własne wnioski - to kolejna rzecz, od której zwykle stronią - i zastanawiała się teraz, czy dystyngowany dżentelmen z aresztanckiej celi, niejaki Daryll Earl McHale, jest na pewno poszukiwanym mordercą. I czy prawdziwy morderca wciąż przebywa na wolności, czego dowodziłaby potworna obraza moralności, jaką była jatka na budowie. Rzecz to godna zastanowienia, ponieważ - jak słusznie zauważył autor artykułu - dość wątpliwe jest, żeby w tym samym czasie na wolności przebywało dwóch rzeźników naraz. Rozumowanie było nader logiczne i pomyślałem, że gdyby tyle samo energii i wysiłku umysłowego poświęcano na chwytanie morderców, sprawę już dawno by zamknięto.

Jednakże trzeba przyznać, że lektura była bardzo interesująca. I skłaniająca do rozmyślań. Boże święty,

czy to naprawdę możliwe, żeby ta wściekła bestia wciąż grasowała na wolności? Czy byliśmy bezpieczni?

Zadzwoił telefon. Zerknąłem na ścienny zegar. Za kwadrans siódma. To mogła być tylko Debora.

- Właśnie to czytam - rzuciłem do słuchawki.

- Mówiłeś, że będzie coś większego i bardziej spektakularnego.

- A nie jest? - spytałem niewinnie.

- To nawet nie prostytutka. Tylko jakiś woźny z gimnazjum, którego pocięli przy Old Cutler Road. Gdzie twoje przecucia?

- Przecież wiedziałaś, że nie jestem doskonały, prawda?

- To w ogóle nie pasuje. Gdzie to twoje zimno, gdzie ten lód? I to małe, ciasne pomieszczenie?

- Mieszkamy w Miami, Deb. Tu kradną wszystko.

- Naśladowca? Jaki tam naśladowca? To zabójstwo jest zupełnie niepodobne do tamtych. Nawet LaGuerta to zauważyła. I już powiedziała to pismakom. Cholera jasna, tu chodzi o mój tyłek, a to jest zwykły przypadek, robota jakiegoś nożownika albo ćpuna.

- Obarczanie mnie winą za wszystko byłoby niesprawiedliwe.

- Niech cię szlag, Dexter. - I trzasnęła słuchawką.

Poranne wiadomości poświęciły aż dziewięćdziesiąt sekund temu wstrząsającemu odkryciu. Najlepszymi przymiotnikami operowali ci z Kanału 7. Ale nawet oni nie wiedzieli nic ponad to, co podała gazeta. Emanujące z nich oburzenie i poczucie klęski przeniosło się nawet na prognozę pogody, ale jestem przekonany, że głównie z braku zdjęć.

Kolejny piękny dzień w Miami. Okaleczone zwłoki i szansa na przejściowy deszczyk po południu. Ubrałem się i poszedłem do pracy.

Że tak wcześnie? Przyznaję, że miałem w tym ukryty cel i żeby go uwiarygodnić, wstąpiłem po drodze do cukierni. Kupiłem dwa słodkie rogaliki, jabłko w cieście i cynamonowy obwarzanek wielkości koła zapasowego do samochodu. Jabłko i jednego rogalika zjadłem, jadąc wesoło w sennym ruchu. Nie wiem, jakim cudem uchodzi mi na sucho jedzenie tylu pączków i ciastek. Nie przybieram na wadze, nie dostaję pryszczycy i chociaż może to niesprawiedliwe, nie mam serca, żeby na to narzekać. Wygrałem na loterii genetycznej: jestem duży i silny i mam wysoki metabolizm, co sprzyja mojemu hobby. Mówiono mi też, że nie mam strasznej gęby, co potraktowałem jako komplement.

Nie potrzebowałem również dużo snu, co bardzo mi odpowiadało, zwłaszcza tego ranka. Chciałem przyjechać do pracy przed Vince'em Masuoką i wyglądało na to, że przyjechałem, bo w jego pracowni było jeszcze ciemno. Żeby się lepiej zakamuflować, wszedłem tam z ciastkami, chociaż moja wizyta nie miała oczywiście nic wspólnego z konsumpcją łakoci. Szybko powiodłem wzrokiem po stole, szukając pudełka z napisem JAWORSKI i z wczorajszą datą.

Znalazłem je, otworzyłem i wyjąłem próbkę tkanki. Może wystarczy. Włożyłem gumowe rękawiczki i przytknąłem ją do czystego szkiełka mikroskopowego. Tak, zdawałem sobie sprawę, że znowu głupio ryzykuję, ale musiałem mieć to nieszczęsne szkiełko.

Vince. Właśnie schowałem szkiełko do zapinanej kieszonki w kieszeni spodni, gdy usłyszałem, jak wchodzi do laboratorium. Błyskawicznie odstawiłem pudełko na miejsce i odwróciłem się do drzwi w chwili, gdy stanął w progu i mnie zobaczył.

- Boże - powiedziałem. - Chodzisz cicho jak duch. A więc jednak trenowałeś ninjitsu.

- Mam dwóch braci - odparł. - To to samo.

Pokazałem mu torebkę z ciastkami i pochyliłem głowę w ukłonie.

- Mistrzu, przynoszę ci dar.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Niech cię Budda błogosławi. Co to jest?

Rzuciłem mu torebkę. Trafiła go w pierś i upadła na podłogę.

- Chyba jednak nie trenowałeś.

- Żeby dobrze funkcjonować, moje doskonale wyćwiczone ciało potrzebuje kawy - odparł, schylając się po torebkę. - Co tam jest? Bolało. - Włożył rękę do środka i zmarszczył brwi.

- Oby tylko nie ludzkie członki. - Wyjął cynamonowy obwarzanek. - Och, karamba! Moja wioska nie będzie w tym roku głodowała. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. - I ukłonił się po japońsku. - Spłacony dług jest prawdziwym błogosławieństwem, moje dziecko.

- W takim razie masz może akta tej sprawy z Cutler Road?

Vince odgryzł wielki kawał obwarzanka i zaczął go powoli przeżuwać. Wargi błyszczały mu od lukru.

- Mmm... - wymamrotał i wreszcie przełknął. - Czujemy się poza nawiasem?

- Jeśli masz na myśli mnie i Deborę, to tak. Obiecałem jej przejrzeć akta.

- Ymzem jeszrznajmniej użowi - powiedział z pełnymi ustami.

- Wybacz, mistrzu, ale twój język brzmi dziś trochę dziwnie. Vince głośno przełknął.

- Mówię, że tym razem jest przynajmniej dużo krwi. Ale tobie i tak nic do tego. Dali tę sprawę Bradleyowi.

- Mogę zerknąć na akta?

- Ażył, kiedu amten odcinamuogę.

- Słusznie, mistrzu. A po angielsku?

- Wciąż żył, kiedy tamten odcinał mu nogę.

- Ludzie są bardzo uparci, prawda?

Vince wpakował do ust resztkę obwarzanka, sięgnął po akta i podał mi je, wgrzając się w rogalik. Chwyciłem teczkę.

- Idę - powiedziałem. - Bo zaraz znowu zaczniesz mówić.

Wyjął rogalika z ust.

- Za późno - odparł.

Szedłem powoli do mojego małego boksu, przeglądając akta. Zwłoki odkrył Gervasio César Martez. Jego zeznanie leżało na wierzchu. Był ochroniarzem z Sago Security Systems. Pracował u nich od czternastu miesięcy i nie był notowany. Znalazł ciało siedemnaście minut po dziesiątej i zanim wezwał policję, szybko przeszukał teren. Chciał złapać *pendejo*, który to zrobił, bo takich rzeczy się nie robi, a on zrobił to na jego służbie. To tak, jakby jemu, nie? Postanowił więc schwytać potwora na własną rękę. Ale okazało się, że to niemożliwe. Potwór zniknął bez śladu, dlatego w końcu zadzwonił na policję.

Biedak odebrał to jako osobistą zniewagę. Podzielałem jego oburzenie. Taka brutalność jest niedopuszczalna. Naturalnie cieszyłem się również, że jego poczucie honoru dało mi czas na ucieczkę. W tym przypadku moralność była próżnym zbytkiem.

Skręciłem za róg, wszedłem do ciemnego boksu i wpadłem na LaGuertę.

- Ha! - powiedziała. - Masz kiepski wzrok. - Na szczęście ani drgnęła.

- Nie jestem porannym ptaszkiem - odparłem. - Moje biorytmy włączają się dopiero w południe.

Patrzyła na mnie z odległości dwóch i pół centymetra.

- Według mnie już działają - powiedziała.

Usiadłem przy biurku.

- Czyżbym mógł dzisiaj uświetnić majestat naszego prawa?
- Masz wiadomość. Na sekretarce.

Spojrzałem na telefon. Fakt, mrugało na nim światełko. Ona naprawdę była detektywem.

- Od dziewczyny - ciągnęła. - Rozespanej i zadowolonej. Masz przyjaciółkę, Dexter? - W jej głosie zabrzmiała zaczepna nutka.

- Wie pani, jak to jest - odrzekłem. - Współczesne kobiety są bardzo bezpośrednio. Komuś tak przystojnemu jak ja dosłownie wchodzą na głowę, rzucają się w ramiona. - Trochę niefortunnie dobrałem słowa, bo natychmiast pomyślałem o głowie, którą niedawno we mnie rzucono. No i o odciętych ramionach.

- Uważaj - ostrzegła mnie LaGuerta. - Wcześniej czy później jedna z nich zajdzie ci za skórę.

Nie miałem pojęcia, co to znaczy, ale obraz ten był bardzo niepokojący.

- Na pewno ma pani rację - odrzekłem. - Ale na razie *carpe diem*.

- Co?

- To po łacinie. „Narzekaj tylko za dnia”.

- Co myślisz o tej wczorajszej sprawie? - spytała nagle.

Pokazałem jej teczkę.

- Właśnie przeglądam akta.

Zmarszczyła brwi.

- To zabójstwo nie ma nic wspólnego z tamtymi. Bez względu na to, co te dupki piszą. McHale jest winny. Przyznał się. Old Cutler Road to zupełnie inna sprawa.

- Zbieg okoliczności? Dwa brutalne morderstwa w tym samym czasie? Trochę to naciągane.

Wzruszyła ramionami.

- To jest Miami. Ci faceci przyjeżdżają tu na wakacje. Pełno tu bandziorów. Nie dam rady ich wszystkich wylapać.

Prawda była taka, że dałaby radę złapać tylko tych, którzy rzuciwszy się z dachu, wylądowaliby na przednim siedzeniu jej samochodu, ale uznałem, że nie jest to odpowiednia chwila na podnoszenie tego tematu. Podeszła bliżej i trąciła teczkę paznokciem.

- Musisz coś tu znaleźć, Dexter. Musisz udowodnić, że to inna sprawa.

Wtedy mnie olśniło. Przycisnęła ją kapitan Matthews, człowiek, który wierzył we wszystko, co piszą w gazetach, pod warunkiem że nie przekreślili jego nazwiska. Przycisnęła ją i potrzebowała amunicji, żeby się odgryźć.

- Oczywiście, że inna - oparłem. - Ale dlaczego przychodzi pani z tym do mnie?

Patrzyła na mnie przez chwilę spod przymkniętych powiek. Dziwnie to wyglądało. Musiała widzieć takie spojrzenie na jednym z tych filmów, na jakie ciągała mnie Rita, ale nie miałem pojęcia, dlaczego patrzyła tak akurat na mnie.

- Pozwoliłam ci zostać na trzydniówce. Chociaż Doakes miał ochotę cię zabić.

- Jestem wielce zobowiązany.

- Czasami masz przecucia. Co do tych seryjnych. Tak powiadają. Że Dexter ma przecucia.

- Przesada. Parę razy uśmiechnęło się do mnie szczęście i tyle.

- Muszę mieć kogoś tutaj, w laboratorium. Kogoś, kto znajdzie jakiś ślad.

- Dlaczego nie poprosi pani Vince'a?

- Bo nie jest taki milutki. Znajdź coś, Dexter.

Czułem się coraz bardziej nieswojo. Stała stanowczo za blisko, tak blisko, że kręciło mi się w nosie od zapachu jej

szamponu do włosów.

- Znajdę - obiecałem.

Ruchem głowy wskazała automatyczną sekretarkę.

- Zadzwonisz? Nie masz czasu na uganianie się za cipkami.

Nie drgnęła z miejsca i chwilę trwało, zanim zrozumiałem, że chodzi jej o tę wiadomość. Obdarowałem ją moim najlepszym, najbardziej politycznie poprawnym uśmiechem.

- To raczej one uganiają się za mną.

- Ha. Masz rację. - Posłała mi przeciągłe spojrzenie, odwróciła się i wyszła.

Nie wiem, dlaczego za nią patrzyłem. Pewnie dlatego, że nie miałem nic lepszego do roboty. Tuż przed zakrętem pogładziła spódnicę na biodrach i zerknęła przez ramię. A potem zniknęła w labiryncie mglistych tajemnic politycznych wydziału zabójstw.

A ja? A biedny, bojaźliwy biedaczek Dexter? Co mogłem zrobić? Usiadłem i wcisnąłem przycisk na sekretarce.

- Cześć, Dexter. To ja. - Oczywiście, że „ja”, bo niby kto? Może to dziwne, ale ten leniwy, lekko matowy głos brzmiał jak głos Rity. - Mmm... Myślałam o wczorajszej nocy. Zadzwoń do mnie, luby. - Rita. Tak jak zauważyła LaGuerta, była chyba trochę zmęczona, ale i zadowolona. Najwyraźniej miałem wreszcie prawdziwą dziewczynę.

Jak się ten obłąd skończy?

Przez kilka minut po prostu siedziałem i rozmyślałem o okrutnej ironii życia. Po tylu latach samotności i polegania na samym sobie nagle zewsząd rzucały się na mnie wygłodniałe kobiety. Deb, Rita, LaGuerta - wyglądało na to, że żadna z nich nie może beze mnie żyć. Tymczasem jedyna osoba, z którą pragnąłem spędzić chociaż kilka upojnych chwil, kokietowała mnie lalkami Barbie w lodówce. I to ma być sprawiedliwość?

Pomacałem szkiełko mikroskopowe, bezpiecznie ukryte w wewnętrznej kieszonce spodni i poczułem się lepiej. Przynajmniej coś robiłem. Życie musiało być tylko interesujące - nie miało żadnych innych obowiązków - a w tej chwili na pewno takie było. „Interesujące” to za mało powiedziane. Oddałbym rok życia, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym ulotnym błędnym ogniku, o eleganckim artyście, który tak bezlitośnie się ze mną droczył; niewiele brakowało i mały przerywnik z Jaworskim kosztowałby mnie znacznie więcej.

Tak, było ciekawie. Ale czy po wydziale zabójstw naprawdę krążyły plotki o moich przeczuciach? Bardzo mnie to zaniepokoiło. Bo jeśli tak, groziła mi dekonspiracja. Moja przykrywka za często skutkowałą. I teraz mogła stanowić problem. Ale co mogłem zrobić? Przez jakiś czas udawać głupiego? Nie wiedziałem, czy potrafię, nawet po tylu latach uważnych obserwacji.

No cóż. Otworzyłem teczkę biednego Jaworskiego i po godzinnych studiach doszedłem do dwóch wniosków. Po pierwsze i najważniejsze, wyjdę z tego suchą stopą, mimo mojej niewybaczalnej spontaniczności i niechlujstwa.

Po drugie, na sprawie Jaworskiego może skorzystać Debora. Bo jeśli tylko udowodni, że jest to dzieło naszego artysty – i jeśli LaGuerta nadal będzie obstawała przy teorii zabójcy naśladowcy – z kogoś, komu nikt nie chciał powierzyć zadania tak odpowiedzialnego jak przyniesienie kawy, przedzierzgnie się w faworytę miesiąca. Naturalnie autorem dzieła był ktoś inny, ale w tym momencie można by uznać, że to czepliwość. A ponieważ nie miałem najmniejszych wątpliwości, że już wkrótce przybędzie nam zwłok, nie warto było się tym przejmować.

Jednocześnie musiałem dać tej irytującej LaGuercie długi sznur, żeby się na nim własnoręcznie powiesiła. Pomyślałem, że przydać mi się to może również ze względów osobistych. Bo gdyby przyprzeć ją do muru i zrobić z niej idiotkę, spróbowałyby oczywiście zrzucić winę na głupiego laboranta, który podsunął jej błędne wnioski, czyli na durnego, debilowatego Dextera. Skutek? Ucierpi moja reputacja i popadnę w upragnioną przeciętność; oczywiście nie wpłynie to w żaden sposób na moją pracę, ponieważ mam analizować ślady krwi, a nie sporządzać portrety psychologiczne przestępców. A skoro ja wyjdę na kretyna, nareszcie okaże się, że kretynką jest i ona, dzięki czemu akcje Debory pójdą w górę.

To doprawdy urocze, kiedy wszystko się tak dobrze układa. Zadzwoniłem do siostry.

Nazajutrz o wpół do drugiej spotkaliśmy się w małej restauracji kilka ulic na północ od lotniska. Mieściła się w pasażu handlowym między sklepem z częściami samochodowymi a sklepem z bronią. Dobrze ją znaliśmy, bo była niedaleko komendy i robili tam najlepsze w świecie kubańskie kanapki. Na pozór to drobnostka, ale zapewniam was, że są takie chwile, kiedy pomaga tylko *medianoche*, a jedynym miejscem, gdzie można dostać dobre *medianoche*, jest Café Relampago. Morganowie chodzili tam od 1974.

Poza tym uważałem, że powinniśmy to jakoś uczcić, jeśli już nie wielką fetą, to przynajmniej małym poczęstunkiem dla podkreślenia, że sprawy zaczynają iść ku lepszemu. A może po prostu cieszyłem się, że spuściłem trochę pary z moim drogim przyjacielem Jaworskim, w każdym razie byłem w niewytłumaczalnie dobrym humorze. Zamówiłem nawet *batido de mamá*, pyszny kubański koktajl mleczny, który smakuje jak arbuz z brzoskwinia i mango.

Oczywiście Deb nie była w stanie dzielić ze mną tego irracjonalnie dobrego nastroju. Wyglądała tak, jakby zapatrzyła się na jakąś rybę, dużą, ponurą i strasznie przygnębioną.

- Proszę cię, siostrzyczko - powiedziałem. - Jeśli nie zrobisz czegoś z twarzą, już ci tak zostanie. Ludzie będą brali cię za karpia.

- Może, ale na pewno nie za policjantkę - burknęła. - Bo już nią nie będę.

- Bzdura. Przecież ci obiecałem.

- Tak. Obiecałeś też, że to wypali. Nie wspomniałeś tylko, że kapitan Matthews będzie na mnie tak patrzył.

- Och, Deb - odparłem. - Kapitan Matthews na ciebie patrzył? Tak mi przykro...

- Wal się, dobra? Nie było cię tam i to nie twoje życie spływa do szamba.

- Uprzedzałem, że przez jakiś czas będzie ciężko.

- Fakt, co do tego się nie pomyliłeś. Matthews dał mi do zrozumienia, że jeszcze trochę i mnie zawieszą.

- Ale pozwolił ci zajmować się sprawą w wolnym czasie, prawda?

- Pozwolił - prychnęła. - Powiedział: „Nie mogę pani tego zabronić, ale jestem bardzo rozczarowany. Ciekawe, co powiedziałyby na to pani ojciec”.

- A ty powiedziałaś: „Mój ojciec nigdy nie zamknąłby sprawy, mając w areszcie nie tego człowieka, co trzeba”. Tak?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Nie. Ale miałam ochotę. Skąd wiedziałeś?

- Miałeś ochotę, ale na ochocie się skończyło?

- Tak.

Podsunałem jej szklanekę.

- Napij się *mamé*, siostrzyczko. Idzie ku lepszemu.

- Dexter, ty chcesz mnie dobić.

- Ja? Nigdy. Jak bym mógł?

- Bez trudu.

- Deb, musisz mi zaufać.

Spojrzała mi prosto w oczy i spuściła wzrok. Wciąż nie tknęła koktajlu, a szkoda. Był naprawdę pyszny.

- Ufam ci - odrzekła. - Ale przysięgam na Boga, nie wiem dlaczego. - Przez jej twarz przemknęła seria dziwnych min. - I czasami myślę, że nie powinnam.

Podtrzymałem ją na duchu moim najlepszym braterskim uśmiechem.

- Za dwa, trzy dni wyskoczy coś nowego. Obiecuję.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, ale wyskoczy. Zobacysz.

- Skoro nie wiesz, to z czego się tak cieszysz?

Chciałem jej powiedzieć, że cieszy mnie już sama perspektywa, sama myśl. Bo myśl o kolejnym bezkrwawym cudzie napawała mnie większą radością niż cokolwiek innego. Ale oczywiście nie mogłem podzielić się nią z Deborą, dlatego zachowałem to dla siebie.

- Z twoich przyszłych sukcesów naturalnie.

- No tak, zapomniałam - prychnęła. Ale przynajmniej wypija łyk koktajlu.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Albo LaGuerta ma rację...

- A wtedy dam dupy.

- Albo racji nie ma, a wtedy nic nikomu nie dasz i będziesz czysta jak dziewica. Nadążasz?

- Uhm. - Straszliwie zrzędziła, zważywszy jak bardzo byłem cierpliwy.

- Gdybyś lubiła obstawiać, postawiłabyś na nią?

- Na nią nie. Może tylko na jej gust. Ładnie się ubiera.

Podano kanapki. Skwaszona kelnerka postawiła je na środku stolika i bez słowa uciekła za ladę. Mimo to były bardzo dobre. Nie wiem, dlaczego smakowały lepiej niż wszystkie pozostałe *medianoches* w mieście, ale smakowały. Chlebek chrupki na zewnątrz i mięciutki w środku, idealnie dobrane proporcje między wieprzowiną i korniszonami, w sam raz roztopiony ser - czysta rozkosz. Odgryzłem wielki kęs. Debora bawiła się słomką.

Przełknąłem.

- Siostrzyczko, jeśli nie pociesza cię moje logiczne rozumowanie ani najpyszniejsza kanapka w mieście, jest już za późno. Ty nie żyjesz.

Znowu popatrzyła na mnie jak karp i ugryzła kanapkę.

- Bardzo smaczna - odparła z obojętną miną. - Widzisz, jak się cieszę?

Biedaczka. Nie przekonałem jej, co było strasznym ciosem dla mojego ja. Ale cóż, przynajmniej nakarmiłem ją tradycyjną potrawą Morganów. No i przyniosłem jej wspaniałą nowinę, nie szkodzi, że uważała inaczej. Jeśli wszystko to razem nie przywiodło uśmiechu na jej twarz, trudno, nie jestem wszechmocny.

Ale mogłem zrobić coś jeszcze, taką drobnostkę. Mogłem nakarmić LaGuertę, może nie czymś tak smacznym jak *medianoches* z Relampago, ale na swój sposób pysznym. Dlatego po południu odwiedziłem panią detektyw w jej uroczym

boksie, jednym z sześciu malutkich boksów w wielkiej sali. Jej był oczywiście najbardziej elegancki, bo ozdobiony gustownymi zdjęciami znakomitości na obitym materiałem przepierzeniu; rozpoznałem wśród nich Glorię Estefan, Madonnę i Jorgego Mas Canosę. Na biurku, przed oprawioną w skórę zieloną podkładką, stał elegancki komplet do pisania z kwarcowym zegarem pośrodku.

Gdy wszedłem, LaGuerta rozmawiała przez telefon, atakując słuchawkę seriami drapieżnych zdań po hiszpańsku. Zerknęła na mnie i odwróciła głowę, jakby mnie tam nie było. Ale po chwili zerknęła ponownie. Tym razem zmierzyła mnie wzrokiem i zmarszczyła brwi.

- OK, *ta luo* - powiedziała, co było kubańskim odpowiednikiem hiszpańskiego *hasta luego*. Odłożyła słuchawkę i dalej patrzyła na mnie. Patrzyła tak i patrzyła. Wreszcie spytała: - Co dla mnie masz?

- Dobre wieści - odparłem.

- Przydałyby się.

Zahaczyłem nogą o nogę składanego krzesła i wciągnąłem je do boksu.

- Nie ma żadnych wątpliwości - zacząłem, siadając - że aresztowała pani tego, kogo trzeba. Morderstwo przy Old Cutler Road popełnił ktoś inny.

Przez chwilę przyglądała mi się bez słowa. Zastanawiałem się, czy właśnie przetwarza dane i dlaczego tak długo to trwa.

- Możesz to udowodnić? - spytała w końcu. - Na pewno?

Oczywiście, że mogłem, ale bynajmniej nie zamierzałem, chociaż wyznanie grzechów byłoby bez wątpienia dobre dla duszy. Dlatego zamiast się spowiadać, rzuciłem na biurko teczkę.

- Fakty mówią same za siebie - powiedziałem. - Nie ma co do tego wątpliwości. - Naturalnie, że nie było,

o czym aż za dobrze wiedziałem. – Proszę spojrzeć. – Wyjąłem z teczki kartkę z zestawieniem porównawczym, w którym ująłem starannie dobrane fakty. – Po pierwsze, ofiara jest mężczyzną. Poprzednie były kobietami. Po drugie, znaleziono ją przy Old Cutler Road. Wszystkie ofiary McHale'a znaleziono przy Tamiami Trail. Po trzecie, zwłoki z Old Cutler Road są względnie nienaruszone i odkryto je na miejscu zbrodni. McHale ćwiartował ofiary i podrzucał je w różne miejsca.

Ja mówiłem, ona uważnie słuchała. Lista była dobra. Skompilowanie tych oczywistych, nedorzecznych, ewidentnie głupich porównań zajęło mi kilka godzin i muszę powiedzieć, że odwaliłem kawał solidnej roboty. LaGuerta też odegrała swoją rolę, i to cudownie. Wszyściutko kupiła. Naturalnie słyszała tylko to, co chciała usłyszeć.

– Podsumowując – zakończyłem – zabójstwo przy Old Cutler Road nosi wszelkie znamiona zabójstwa z zemsty i najpewniej maczali w nim palce handlarze narkotykami. Wszystkich poprzednich dokonał McHale i jestem stuprocentowo przekonany, że seria ta już się skończyła. Na zawsze. To zamknięta sprawa. – Położyłem teczkę na biurku i podałem jej listę.

Oglądała ją bardzo długo i uważnie. Marszczyła przy tym czoło. Wodziła oczami w górę i w dół kartki. Drżał jej koniuszek dolnej wargi. Wreszcie odłożyła ją i przygniotła zielonym zszywaczem.

– Dobrze – powiedziała, poprawiając zszywacz, tak żeby stał równoległe do podkładki. – Dobrze. Bardzo dobrze. To powinno pomóc. – Wciąż bardzo skoncentrowana spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami i nagle się uśmiechnęła. – Dziękuję, Dexter.

Uśmiechnęła się tak nieoczekiwanie i szczerze, że gdybym miał duszę, naszłyby mnie wyrzuty sumienia.

Wstała i zanim zdążyłem zrejterować, objęła mnie za szyję i przytuliła.

- Bardzo to doceniam - powiedziała. - Jestem ci niezwykle wdzięczna. - I otarła się o mnie całym ciałem w sposób co najmniej sugestywny. Chryste, chyba nie zamierzała... To znaczy, była obrończynią moralności publicznej, a boks był miejscem aż za publicznym, zresztą nie chciałym, żeby ocierała się o mnie nawet w podziemnym skarbcu bankowym. Nie wspominając już o tym, że właśnie dałem jej sznur, na którym miała się powiesić, nie była więc to okazja, którą należałoby uczcić tym, co tak wymownie sugerowała. Czy ten świat naprawdę zwariował? Co tym ludziom jest? Czy potrafią myśleć tylko o jednym?

Czując, że ogarnia mnie panika, spróbowałem się wyswobodzić.

- Pani detektyw...

- Mów mi Migdia - odrzekła, przywierając do mnie jeszcze mocniej i jeszcze mocniej się o mnie ocierając. Sięgnęła w dół, dotknęła przodu moich spodni i aż podskoczyłem. Plusem tej reakcji było to, że podskok uwolnił mnie z macek rozochoconej Migdii. Minusem natomiast, że Migdia zatoczyła się na bok, potknęła o krzesło i wylądowała na podłodze.

- Chyba już... pójdę - wyjąkałem. - Mam ważne... - Ale ponieważ do głowy nie przychodziło mi nic ważniejszego niż paniczna ucieczka, szybko wyszedłem z boksu. Przed wyjściem zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak LaGuerta na mnie patrzy.

Nie miała zbyt przyjaznej miny.

Obudziłem się przy umywalce, do której lała się woda. Przez chwilę byłem spanikowany i kompletnie zdezorientowany. Serce waliło mi jak oszalałe, trzepotały klejące się od snu powieki. To nie to pomieszczenie. Nie ta umywalka. Nie byłem nawet pewien, kim jestem, bo owszem, we śnie stałem przy umywalce z lejącą się wodą, ale tamta była inna. Szorowałem mydłem ręce, oczyszczałem skórę z mikroskopijnych cząsteczek potwornej, czerwonej krwi, zmywałem je wodą tak gorącą, że skórę miałem zaróżowioną, antyseptyczną i jak nową. Wyszedłem z zimna, dlatego woda zdawała się gorętsza niż zwykle. Z zimna. Z pokoju zabaw, z sali tortur, z pomieszczenia, gdzie zadawałem suche, czyste, dokładnie przemyślane cięcia...

Zakręciłem wodę i stałem przez chwilę, opierając się o zimną umywalkę. To było zbyt realne, zbyt namacalne jak na sen. Poza tym dokładnie pamiętałem tamten pokój. Wciąż go widziałem, wystarczyło, że zamknąłem oczy.

Stoję nad kobietą. Widzę, jak się szarpie, jak próbuje zerwać przytrzymującą ją taśmę, widzę, jak w jej zmatowiałych oczach narasta przerażenie, jak przerażenie to ustępuje bezsilności – wzbiera we mnie podziw, biorę więc nóż i unoszę go, żeby zacząć...

Ale to nie jest początek. Nie, bo pod stołem leży druga, już osuszona i starannie owinięta. A w kącie jeszcze jedna: czeka na swoją kolej z przerażeniem, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, chociaż z drugiej strony, jakbym je skądś znał, jakbym wiedział, że jest konieczne, że przynosi ulgę i całkowite

spełnienie, które omywa czystą energią, bardziej odurzającą niż...

Trzy.

Tym razem są trzy.

Otworzyłem oczy. W lustrze zobaczyłem siebie. Cześć, Dexter. Miałeś zły sen, staruszkule? Zły, ale ciekawy, co? A więc trzy, he? To tylko sen. Nic więcej. Uśmiechnąłem się do tego w lustrze, bez przekonania wypróbując mięśnie twarzy. Sen był zachwycający, ale już nie śniłem. Miałem tylko kaca i mokre ręce.

To, co powinno być miłym przerywnikiem dla podświadomości, wstrząsnęło mną i napełniło niepewnością. Niepewnością i przerażeniem na myśl, że mój umysł uciekł z miasta, zostawiając mnie z ręką w nocniku. Przed oczyma znowu stanął mi obraz trzech doskonale sprawionych towarzyszek zabaw i miałem ochotę tam wrócić, żeby kontynuować dzieło. Ale pomyślałem o Harrym i wiedziałem już, że nie mogę. Rozdarty między jawą i snem, nie umiałem powiedzieć, co jest bardziej fascynujące.

Zabawa przestała być zabawą. Chciałem odzyskać mózg.

Wytarłem ręce i wróciłem do łóżka, lecz tej nocy sen już nie przyszedł, nie do dobrego, dobitego Dextera. Po prostu leżałem na plecach i obserwowałem ciemne kręgi sunące po suficie – dopóki za kwadrans szósta nie zadzwonił telefon.

- Miałeś rację – powiedziała Debora, gdy podniosłem słuchawkę.

- Cóż to za cudowne uczucie – odparłem, siląc się na typową dla mnie wesołość. - Miałem rację co do czego?

- Co do wszystkiego. Jestem na Tamiami Trail. I wiesz co?

- Nie. Miałem rację?

- To on. To musi być on. Tym razem jest krzykliwie i spektakularnie.

- Spektakularnie? To znaczy jak? - Trzy ciała, pomyślałem z nadzieją, że tego nie powie, chociaż ekscytowała mnie jednocześnie pewność, że powie.

- Wygląda na to, że ofiar jest kilka.

Przeszył mnie elektryczny prąd, od brzucha w górę, jakbym połknął naładowany akumulator. Mimo to zrobiłem wszystko, żeby jak zwykle zareagować czymś inteligentnym i dowcipnym.

- To cudownie, siostrzyczko. Mówisz tak, jakbyś czytała policyjny raport.

- Wiesz, zaczynam się wczuwać, może kiedyś go napiszę. Ale cieszę się, że nie z tego zabójstwa. Jest za bardzo porąbane. LaGuerta nie wie, co o tym myśleć.

- Co, a nawet jak. Ale dlaczego jest porąbane?

- Lecę - rzuciła. - Przyjedź. Musisz to zobaczyć.

Zanim dotarłem na miejsce, przed żółtą taśmą stał głęboki na trzy osoby tłum, w większości reporterów. Niezwykle trudno jest przebić się przez tabun dziennikarzy, którzy zwietrzyli zapach krwi. Można by pomyśleć, że łatwo, bo w telewizji zawsze wyglądają jak odmóżdżone ofiermy z poważnymi zaburzeniami lękowymi. Ale wystarczy postawić ich za policyjną taśmą ostrzegawczą i dochodzi do cudownej przemiany. Momentalnie stają się silni, agresywni i gotowi odepchnąć na bok wszystko i każdego, kto tylko stanie im na drodze, odepchnąć, a potem stratować. To tak, jak w tych opowieściach o sędziwych matkach, które gołymi rękami potrafią dźwignąć ciężarówkę przygniatającą ich dziecko. Siła ta pochodzi z jakiegoś tajemniczego źródła, tak że ilekroć na ziemi walają się ociekające krwią wnętrzności, te anorektyczne stwory są w stanie przebić się przez absolutnie wszystko i wszystkich. W dodatku nie potargają przy tym włosów.

Na szczęście rozpoznał mnie jeden z mundurowych.

- Przepuście go, chłopcy - rozkazał reporterom. - Przepuścić go.

- Dzięki, Julio - rzuciłem. - Z roku na rok coraz ich więcej.

- Ktoś ich chyba klonuje - prychnął. - Wszyscy wyglądają tak samo.

Przeszedłem pod taśmą i kiedy się wyprostowałem, odniosłem dziwne wrażenie, że ktoś manipuluje zawartością tlenu w atmosferze Miami. Stałem na spękanej ziemi placu budowy. Budowali tu chyba dwupiętrowy blok, rodzaj biurowca dla uboższych deweloperów. I idąc powoli przed siebie, przyglądając się temu, co działo się wokół na wprost ukończonego bloku, stwierdziłem, że to nie przypadek, iż nas tu sprowadził. Z tym mordercą nie było przypadków. Ten morderca wszystko dokładnie planował i starannie odmierzał dla większego efektu estetycznego i z potrzeby artystycznej.

Znaleźliśmy się na placu budowy, ponieważ było to konieczne. Tak jak powiedziałem Deborze, mój mistrz składał tu oświadczenie. Macie nie tego człowieka, co trzeba, mówił. Przymknęliście kretyna, bo wszyscy jesteście kretynami. Jesteście tak głupi, że widzicie to dopiero wtedy, kiedy się wam to pokaże. No, więc proszę.

Co więcej, wiadomość ta była przeznaczona nie tyle dla policji i społeczeństwa, ile dla mnie. Drwiła ze mnie i szydziła, cytując fragmenty mojego pospiesznego dzieła. Morderca przywiózł zwłoki na plac budowy, ponieważ na podobnym placu zabiłem Jaworskiego. Bawił się ze mną w kotka i myszkę, pokazując wszystkim, jaki jest dobry i mówiąc im - a konkretnie mnie - że widzi, że obserwuje. Wiem, co zrobiłeś, szeptał, ale mogę to zrobić i ja. W dodatku lepiej.

Powinno mnie to trochę zaniepokoić.

Ale nie zaniepokoiło.

Zakręciło mi się w głowie jak dziewczynie z ogólniaka podczas rozmowy z kapitanem szkolnej drużyny futbolowej, który zebrał się w końcu na odwagę, żeby zaprosić

ją na randkę. Mnie? Biedną, szarą myszkę? O jejku, naprawdę? Wybacz, ale chyba zatrzepoczę rzesami.

Wziąłem głęboki oddech, żeby przypomnieć sobie, że nie jestem biedną, szarą myszką i nie robię takich rzeczy. Ale wiedziałem, że on je robi i bardzo chciałem umówić się z nim na spotkanie. Mogę, Harry? Tak bardzo cię proszę.

Ale żeby pójść na randkę z nowym przyjacielem, musiałem go najpierw znaleźć. Musiałem go zobaczyć, porozmawiać z nim, musiałem udowodnić sobie samemu, że naprawdę istnieje, że...

Że co?

Że nie jest mną?

Że to nie ja robię te straszne, te niezwykle interesujące rzeczy?

Dlaczego miałbym tak myśleć? Przecież to idiotyczne. Niegodne uwagi mojego dumnego niegdyś umysłu. Tyle tylko, że teraz, kiedy zaczęła tłuc się w nim ta myśl, w żaden sposób nie mogłem jej uspokoić czy zmusić do posłuszeństwa. Bo co, jeśli to naprawdę ja? Jeśli zrobiłem to, nic o tym nie wiedząc? Oczywiście to niemożliwe, absolutnie niemożliwe, ale...

Budzę się nad umywalką w chwili, gdy zmywam krew z rąk po „śnie”, w którym z radością je zakrwawiłem, robiąc rzeczy, o których zazwyczaj tylko marzę. Wiem wszystko o serii morderstw, znam szczegóły, których nie mógłbym znać, chyba że...

Chyba że nic. Łyknij coś na uspokojenie, Dexter. Zaczynj od początku. Weź oddech, głuptasie, wypuść z płuc złe powietrze i nabierz dobrego. To tylko kolejny objaw słabości umysłowej. Po prostu przedwcześnie zniedołężniałem, zdziecinniałem na skutek tego stresującego, zdrowego życia. Zgoda, w ciągu ostatnich tygodni przeżyłem kilka chwil ludzkiej głupoty. Ale co z tego? Nie dowodziło to wcale, że jestem człowiekiem. Albo że potrafię tworzyć we śnie.

Nie, oczywiście, że nie. Słusznie, musiało to znaczyć zupełnie coś innego. Tylko co? Hm.

Założyłem, że zacznę po prostu wariować, że wyjąłem z głowy kilka klepek i pociąłem je piłą. Bardzo wygodne, ale skoro tak, dlaczego nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogłem jednak zrobić te wszystkie rozkoszne psikusy i pamiętać o tym jedynie we śnie? Czy z obłądem łatwiej jest się pogodzić niż z chwilowym brakiem świadomości? Ostatecznie jest to tylko wyższa forma somnambulizmu, chodzenia przez sen. „Mordowanie przez sen”. Bardzo powszechna przypadłość. Czemu nie? Przecież kiedy Mroczny Pasażer wybierał się na szybką przejażdżkę, regularnie ustępowałem mu miejsca za kierownicą. To samo mogło dziać się tutaj i teraz, co prawda w nieco zmienionej formie, ale mogło. Mroczny Pasażer po prostu pożyczył ode mnie samochód, kiedy spałem.

Bo jak to inaczej wytłumaczyć? Tym, że we śnie dochodziło do projekcji astralnej i że moje wibracje dostrajały się do aury mordercy, ponieważ łączyło nas coś w przeszłości? Może i miałyby to jakiś sens, ale w południowej Kalifornii. W Miami raczej by nie przeszło. Dlatego gdybym wszedł do tego na wpół ukończonego bloku i zobaczył tam trzy ciała, ułożone w przemawiający do mnie sposób, musiałbym uznać, że autorem tej wiadomości mogę być ja. Czy nie miałyby to większego sensu niż założenie, że rozmawiam przez swego rodzaju telefon towarzyski?

Doszedłem do schodów. Przystanąłem, oparłem się o nagą, betonową ścianę i zamknąłem oczy. Ściana była nieco chłodniejsza niż powietrze i szorstka. Potarłem o nią policzkiem, mocno i przyjemnie, niemal boleśnie. Bardzo chciałem wejść na górę i obejrzeć to, co było tam do obejrzenia, chciałem i jednocześnie nie chciałem.

- Odezwij się - szepnąłem do Mrocznego Pasażera. - Powiedz, co zrobiłeś.

Ale on oczywiście nie odpowiedział i jak zwykle usłyszałem tylko jego zimny, odległy chichot. Wcale mi nie pomagał. Zbierało mi się na wymioty, lekko kręciło w głowie, ogarnęła mnie niepewność - miałem wrażenie, że coś odczuwam i zupełnie mi się to nie podobało. Zrobiłem trzy głębokie wdechy, wyprostowałem się i otworzyłem oczy.

Sierżant Doakes patrzył na mnie z odległości niecałego metra. Stał na schodach, z nogą na pierwszym stopniu. Na twarzy miał czarną maskę pełnej zaciekawienia wrogości, jak rottweiler, który chce rozszarpać kogoś na strzępy i który tuż przed atakiem zastanawia się, jak ten ktoś może smakować. W wyrazie jego twarzy było coś, co do tej pory widziałem tylko w lustrze: głęboka, niezmiernie pustka, która przejrzała na wylot komiczną maskaradę ludzkiego życia i dostrzegła jego sedno.

- Do kogo ty gadasz? - spytał, błyskając wygłodniałymi zębami. - Przyszedłeś tu z kumplem czy co?

Słowa te i znaczący sposób, w jaki je wypowiedział, chlasnęły mnie jak brzytwą i zmieniły w galaretę. Dlaczego użył akurat tych słów? Dlaczego akurat: „Przyszedłeś tu z kumplem?” Czyżby wiedział o Mrocznym Pasażerze? Niemożliwe! Chyba że...

Doakes mnie rozszyfrował.

Tak samo jak ja rozszyfrowałem Ostatnią Pielęgniarkę.

Widząc przedstawiciela swojego gatunku, to coś w środku woła przez pustkę - czyżby Doakes też nosił w sobie nieproszonego doradcę? Jak to możliwe? Policjant, sierżant z wydziału zabójstw drapieżnikiem podobnym do Dextera? Nie do pomyślenia. Ale jak inaczej to wytłumaczyć? Nic nie przychodziło mi do głowy, więc długo patrzyłem na niego w milczeniu. On długo patrzył na mnie.

Wreszcie pokręcił głową i nie odrywając ode mnie oczu, warknął:

- Jeszcze się spotkamy. Tylko ty i ja.

- Chętnie, ale może kiedy indziej - odparłem z całą wesołością, na jaką było mnie stać. - A teraz zechce pan wybaczyć...

Blokował wejście na schody. Stał i gapił się na mnie. W końcu lekko kiwnął głową i mnie przepuścił.

- Jeszcze się spotkamy - powtórzył.

Przeżyłem wstrząs i wstrząs ten wyrwał mnie z płacziwej depresji. To nie ja popełniałem te nieświadome morderstwa. Oczywiście, że nie ja. Abstrahując już od tego, że myśl ta była zupełnie idiotyczna, morderstwo, którego się nie pamięta, jest czystym marnotrawstwem. Musiało zatem istnieć inne wytłumaczenie, proste i logiczne. W zasięgu głosu grasował najwyraźniej ktoś jeszcze, ktoś zdolny do równie twórczych czynów. Ostatecznie mieszkałem w Miami i zewsząd otaczały mnie niebezpieczne stwory w rodzaju sierżanta Doakesa.

Doszedłszy do siebie, szybko ruszyłem na górę, czując gwałtowny przyływ adrenaliny. Niemal biegłem, dziarskim, sprężystym krokiem i tylko po części dlatego, że chciałem uciec od Doakesa. Chciałem również obejrzeć skutki ostatniego ataku na dobre samopoczucie naszej społeczności - kierowała mną zwykła ciekawość, nic więcej. Moich odcisków palców na pewno tam nie było.

Pierwsze piętro. Kilka ścian już stało, ale tylko kilka. Wszedłem do czegoś w rodzaju wielkiej, przestronnej sali i zobaczyłem Angela-Bez-Skojarzeń. Siedział w kucki z łokciami na kolanach i z ukrytą w dłoniach twarzą. Siedział i po prostu patrzył. Zaskoczony przystanąłem. Była to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem: technik z wydziału zabójstw naszej policji sparaliżowany widokiem czegoś, co znalazł na miejscu zbrodni.

Ale to, co tam znalazł, było jeszcze ciekawsze.

Była to scena żywcem wyjęta z ponurego melodramatu, z wodewilu dla wampirów. Podobnie jak tam, gdzie zabawiałem się z Jaworskim, tu też leżała sterta owiniętych folią płyt gipsowych. Płyty ułożono pod ścianą i oświetlały je teraz reflektory z placu za oknem i te rozstawione przez chłopców z ekipy.

Na stercie, niczym ołtarz, stał czarny, przenośny stół. Stał dokładnie pośrodku, więc dobrze oświetlały go reflektory, a raczej dobrze oświetlały to, co na nim leżało.

A leżała tam oczywiście głowa kobiety. Z ust sterczało jej lustro samochodowe, które rozciągało twarz, nadając jej niemal komiczny wyraz zdziwienia.

Nad głową, nieco wyżej po lewej stronie, była druga głowa. Tuż pod nią wisiał korpus Barbie, tak że wyglądało to jak malutka lalka z olbrzymią ludzką głową.

Po prawej stronie była głowa numer trzy. Starannie przymocowana do płyty gipsowej, uszy miała przykręcone śrubami. Z eksponatów nie wyciekała ani krew, ani krwawa maź. Wszystkie trzy były suche i czyściutkie.

Lustro, Barbie i płyty gipsowe.

Trzy ofiary.

Suche jak pieprz.

Witaj, Dexterku.

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Korpus Barbie był oczywiście aluzją do lalki w mojej lodówce. Lustro do lusterka z ust głowy na autostradzie, a płyty gipsowe do Jaworskiego. Albo ktoś kierował moimi poczynaniami tak dobrze i skutecznie, jakbym kierował nimi ja sam, albo to byłem ja.

Chrapliwie wciągnąłem powietrze. Nasze odczucia, moje i jego, na pewno nie były identyczne, ale miałem ochotę zrobić

tylko jedno: przykucnąć pośrodku sali obok Angela-Bez-Skojarzeń; musiałem przypomnieć sobie, jak się myśli i uznałem, że podłoga świetnie się do tego nadaje. Bardzo chciałem, ale poczułem, że coś ciągnie mnie do przodu jak po dobrze naoliwionych szynach. Nie mogłem ani przystanąć, ani zwolnić, mogłem jedynie iść w stronę stołu. Iść, patrzeć, podziwiać i skupiać się na tym, żeby wdychane i wydychane przez mnie powietrze wchodziło i wychodziło odpowiednimi miejscami. Jednocześnie powoli zdałem sobie sprawę, że nie tylko ja nie wierzę w to, co widzę.

W trakcie mojej kariery zawodowej - nie wspominając już o hobby - widziałem setki morderstw, w tym wiele tak bestialskich i makabrycznych, że zaszokowały nawet mnie. Na każdym miejscu zbrodni członkowie naszej ekipy dochodzeniowej byli odprężeni i robili swoje, jak na zawodowców przystało. Spokojnie siorbali kawę, wysyłali kogoś po *pasteles* albo po pączki, żartowali i plotkowali, zbierając gąbką zakrwawione flaki. Na każdym miejscu zbrodni widziałem grupę ludzi tak kompletnie obojętnych na widok skutków rzezi, jakby zamiast prowadzić śledztwo, grali w kręgle w lidze kościelnej.

Aż do teraz.

Bo teraz w wielkiej, nagiej, betonowej sali było nienaturalnie cicho. Policjanci i technicy stali bez słowa po dwóch, po trzech, jakby bali się zostać sami, i po prostu patrzyli na wystawę ludzkich głów. Jeśli ktoś przypadkiem zaszurał nogami, wszyscy podskakiwali i łypali na niego spode łba. Scena ta była tak komicznie dziwna, że gdybym wraz z innymi ciekawskimi nie gapił się na wystawę, na pewno roześmiałbym się w głos.

Czy to moje dzieło?

Było piękne - w najstraszniejszym tego słowa znaczeniu, oczywiście. Piękny był już sam układ, harmonijny, doskonały, fascynujący i cudownie bezkrwawy. Bardzo dowcipny,

jednocześnie wspaniale skomponowany. Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby stworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Ktoś obdarzony talentem, dobrym gustem i makabrycznym poczuciem humoru. Znałem tylko jednego takiego ktosia.

Czy to możliwe, żeby był nim dobry Dexter i jego demony?

Podszedłem najbliżej, jak tylko mogłem, żeby podziwiać ten żywy, a raczej martwy obraz. Nie mogłem go dotknąć, ponieważ technicy nie zdjęli jeszcze odcisków palców; jak dotąd nie zrobili chyba nic, chociaż na pewno wszystko obfotografowali. Och, jakże chciałem mieć chociaż jedno z tych zdjęć. Wielkie jak plakat, w pełnym kolorze bez czerwonego. Jeśli rzeczywiście zrobiłem to ja, byłem większym artystą, niż myślałem. Nawet stąd, z tej małej odległości, wydawało się, że odcięte od tułowia głowy szybują przez pustkę, zawieszane nad tym śmiertelnym padołem łez w ponadczasowej, bezkrwawej parodii raj... Odcięte od tułowia?

No właśnie. Rozejrzałem się. Ani śladu poćwiartowanych ciał czy złowieszczego widoku starannie poukładanych worków. Tylko piramida z głów.

Stałem tam i patrzyłem, patrzyłem i stałem. Po kilku minutach przyczłapał do mnie Vince Masuoka. Był błądy i miał otwarte usta.

- Cześć - powiedział i pokręcił głową.

- Jak się masz, Vince?

Masuoka znowu pokręcił głową.

- Gdzie są ciała?

Vince długo patrzył na wystawę i milczał. Potem spojrzał na mnie jak ktoś, kto właśnie stracił niewinność.

- Pewnie gdzie indziej - odparł.

Na schodach rozległ się głośny stukot i czar prysł. Zrobiłem kilka kroków do tyłu, bo weszła LaGuerta z kilkoma starannie wybranymi reporterami, z Nickiem Kimstam, Rickiem

Sangre'em z miejscowej telewizji i z Erykiem Wikingiem, dziwnym, lecz powszechnie szanowanym felietonistą. Przez chwilę trwało zamieszanie. Nick i Eryk spojrzeli na wystawę i zbiegli na dół, zasłaniając sobie usta. Rick Sangre zmarszczył brwi, rzucił okiem na reflektory, a potem zerknął na LaGuertę.

- Jest tu gniazdko? - spytał. - Muszę ściągnąć kamerzystę.

- Zaczekajmy na tamtych - odparła LaGuerta.

- Muszę to skrócić - nalegał Rick.

Wyrósł za nim sierżant Doakes.

- Żadnych zdjęć - warknął.

Rick otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale popatrzył na niego i odechciało mu się mówić. Niezawodny sierżant po raz kolejny uratował sytuację. Cofnął się i stanął przed stertą gipsowych płyt jak woźny pilnujący eksponatów na szkolnej wystawie naukowej.

Ktoś zakaszłał i powłócząc nogami jak starcy, wrócili do nas Nick Ktośtam i Eryk Wiking. Eryk w ogóle nie patrzył na ścianę. Nick też próbował, ale jego głowa co i raz odwracała się w tamtą stronę, a on natychmiast odwracał ją z powrotem.

LaGuerta zaczęła mówić. Podszedłem bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- Zaprosiłam was, żebyście zobaczyli to, zanim podamy do prasy oficjalny komunikat...

- To znaczy, że możemy napisać o tym nieoficjalnie? - przerwał jej Rick Sangre.

LaGuerta go zignorowała.

- Chcemy uniknąć idiotycznych spekulacji - ciągnęła. - Jak widzicie, jest to zbrodnia wynaturzona i bestialska. - Zrobiła pauzę i dodała: - Zupełnie Niepodobna Do Tamtych. - Było niemal widać, że każde słowo zaczyna wielką literą.

- He? - mruknął skonsternowany Nick Ktośtam.

Ale Wiking natychmiast załapał.

- Chwila, moment - powiedział. - Twierdzi pani, że mamy do czynienia z nowym mordercą? Z nową serią zabójstw?

LaGuerta spojrzała na niego znacząco.

- Jest za wcześnie, żeby powiedzieć coś na pewno - odrzekła z wielką pewnością siebie - ale pomyślmy logicznie. Po pierwsze... - Podniosła palec. - Mamy podejrzanego, który przyznał się do poprzednich zabójstw. Siedzi w areszcie i nie wypuściliśmy go, żeby dokonał tego. Po drugie, to zabójstwo jest zupełnie inne, prawda? Są aż trzy ofiary, a ich głowy wyeksponowano jak na wystawie.

Zauważyła to! Niech ją Bóg błogosławi.

- Dlaczego nie mogę ściągnąć tu kamerzysty? - spytał Rick.

- Czy przy jednej z poprzednich ofiar nie znaleziono przypadkiem lusterka? - wtrącił niepewnie Eryk Wiking, robiąc wszystko, żeby nie patrzeć w tamtą stronę.

- Zidentyfikowaliście te... - Nick Ktośtam zaczął odwracać głowę w stronę ściany, przyłapał się na tym, że znowu to robi i błyskawicznie przeniósł wzrok z powrotem na LaGuertę. - Czy to... prostytutki?

- Posłuchajcie - odparła pani detektyw. Była chyba lekko poirytowana, bo przez chwilę mówiła z kubańskim akcentem. - Wyjaśnijmy sobie coś. Nie obchodzi mnie, czy to są prostytutki. Nie obchodzi mnie to lusterko. Nie obchodzi mnie nic z tych rzeczy. - Wzięła głęboki oddech i trochę się uspokoiła. - Ten drugi morderca siedzi w areszcie. Przyznał się do winy. To zabójstwo nie ma nic wspólnego z tamtymi. Jasne? Tylko to się liczy. Zresztą spójrzcie sami. Jest różnica?

- W takim razie dlaczego je pani przydzielono? - spytał Wiking; bardzo rozsądnie, moim zdaniem.

Wtedy LaGuerta pokazała swój wilczy ząb.

- Bo rozwiązałam zagadkę tamtych.

- Ale jest pani pewna, że to dzieło innego zabójcy, tak? - spytał Rick Sangre.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie mogę wam podać szczegółów, ale dowodzą tego przekonujące analizy laboratoryjne.

Mówiła o mnie. Przeszedł mnie miły dreszczyk. Byłem z siebie dumny.

- Ale to tutaj jest bardzo podobne, prawda? - drążył Eryk Wiking. - Ta sama dzielnica, ta sama metoda...

- Jest zupełnie inne - przerwała mu LaGuerta. - Zupełnie.

- A więc jest pani przekonana - wtrącił Nick Ktośtam - że to McHale popełnił poprzednie morderstwa i że to jest dziełem innego zabójcy.

- Na sto procent - odparła LaGuerta. - Poza tym nigdy nie twierdziłam, że to McHale.

Reporterzy zapomnieli na chwilę o potworności, jaką był zakaz robienia zdjęć.

- Słucham? - wykrztusił wreszcie Nick.

LaGuerta zaczerwieniła się, ale dzielnie parła naprzód.

- Nie twierdziłam - powtórzyła. - To McHale tak twierdził. Więc co miałam zrobić? Powiedzieć: nie wierzę ci i kazać mu wracać do domu?

Eryk Wiking i Nick Ktośtam wymienili znaczące spojrzenia. Ja też bym wymieniał, gdybym miał z kim. Dlatego spojrzałem na środkową głowę. Nie puściła do mnie oka, ale jestem pewien, że była równie zdumiona jak ja.

- Ale jaja - wymamrotał Eryk, ale przebił go Rick Sangre.

- Pozwoli nam pani przesłuchać McHale'a - spytał. - Przed kamerą?

Od odpowiedzi uchroniło nas nadejście kapitana Matthews'a. Zastukotał butami na schodach i stanął jak wryty na widok naszej ekspozycji.

- Jezu Chryste... - sapnął. Potem spojrział na reporterów i na La-Guertę. - Co oni tu robią, do diabła? - warknął.

LaGuerta rozejrzała się, czekając, aż ktoś coś powie, ale ponieważ wszyscy milczeli, musiała w końcu odpowiedzieć sama.

- To ja ich wpuściłam. Nieoficjalnie. Nie mogą o tym pisać.

- Jak to nie mogą? - wypalił Rick Sangre. - Nie było żadnego zakazu.

LaGuerta spiorunowała go wzrokiem.

- Nieoficjalnie znaczy, że zakaz jest.

- Wyñoście się stąd - warknął Matthews. - Macie oficjalny zakaz wstępu. Wyjdźcie.

Wiking odchrząknął.

- Panie kapitanie, czy zgadza się pan z panią detektyw LaGuertą, że jest to seria zupełnie innych morderstw? Że mamy do czynienia z kolejnym zabójcą?

- Wyjdźcie - powtórzył Matthews. - Na wszystkie pytania odpowiem na dole.

- Muszę mieć chociaż kilka zdjęć - nie poddawał się Rick. - To potrwa dosłownie chwilę.

Kapitan zerknął w stronę schodów.

- Sierzancie Doakes?

Doakes zmaterializował się u boku Ricka.

- Tędy, panowie - powiedział swoim cichym, upiornym głosem.

Spojrzeli na niego. Nick Ktośtam głośno przełknął ślinę. Potem odwrócili się i bez słowa wyszli.

Matthews popatrzył za nimi i gdy zniknęli na schodach, przeniósł wzrok na LaGuertę.

- Pani detektyw - powiedział głosem tak złowieszczym, że chyba nauczył się go od Doakesa. - Jeszcze jeden taki numer

i będzie się pani cieszyła, jeśli dostanie pani pracę parkingowej przed Wal-Martem.

LaGuerta pozieleniała, a potem poczerwieniała.

- Chciałam właśnie... - Ale kapitan już odwrócił się do niej plecami. Poprawił krawat, przygładził włosy i popędził za reporterami.

Spojrzałem na ołtarz. Nie zmienił się, ale technicy zdejmowali już odciski palców. Potem rozbiorą go na kawałki, żeby wszystko dokładnie zbadać. Wkrótce miały pozostać po nim tylko piękne wspomnienia.

Zszedłem na dół, żeby poszukać Debory.

Rick Sangre włączył już kamerę. Kapitan Matthews stał w blasku reflektorów i z kilkoma mikrofonami pod brodą składał oficjalne oświadczenie.

- Zawsze przestrzegamy zasady, że prowadzący śledztwo ma pełną swobodę działania, dopóki nie stanie się jasne, że popełnił serię poważnych błędów podważających jego kompetencje. Chwila ta jeszcze nie nadeszła, ale uważnie śledzę rozwój wydarzeń. Kiedy w grę wchodzi dobro obywateli...

Wypatrzyłem Deborahę i ruszyłem w jej stronę. Stała za taśmą ostrzegawczą i była w mundurze.

- Do twarzy ci - rzuciłem.

- Podoba mi się. Widziałeś?

- Tak. I słyszałem, jak kapitan Matthews omawiał sprawę z LaGuertą.

Debora głośno wciągnęła powietrze.

- Co mówili?

Poklepałem ją po ramieniu.

- Tato użył kiedyś pewnego barwnego określenia, które znakomicie to ilustruje. Kapitan „wiercił jej drugą dziurę w tyłku”. Pamiętasz?

Deb była zaskoczona, ale i zadowolona.

- Świetnie. Dex, teraz naprawdę musisz mi pomóc.

- Bo jak dotąd nie pomagałem, tak?

- Nie wiem, co robiłeś, ale to za mało.

- Jesteś niesprawiedliwa. I bardzo nieuprzejma. Ostatecznie jesteś na miejscu zbrodni i masz na sobie policyjny mundur. Wolałabyś ten uliczny?

Debora aż się wzdrygnęła.

- Nie o to chodzi. Przez cały czas coś przede mną ukrywasz, ale teraz musisz wyłożyć karty na stół.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć; to bardzo niemiłe uczucie. Nie miałem pojęcia, że siostra jest aż tak spostrzegawcza.

- Ależ siostrzyczko...

- Może i nie znam się na tych wszystkich podchodach tak dobrze jak ty, ale wiem, że tamci dali dupy i że trochę potrwa, zanim się pozbiorą. To z kolei oznacza, że przez ten czas nikt nie będzie zajmował się sprawą, a przynajmniej nie na poważnie.

- A ty dostrzegłaś w tym szansę dla siebie. Brawo, siostrzyczko.

- Oznacza to również, że potrzebuję twojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. - Ścisnęła mi rękę. - Proszę cię, Dexy.

Nie wiem, co wstrząsnęło mną bardziej, jej przenikliwość, to, że wzięła mnie za rękę czy to, że nazwała mnie „Dexym”. Nie robiła tego, odkąd skończyłem dziesięć lat. Na pewno nie zdawała sobie z tego sprawy, ale ilekroć tak mnie nazywała, przenosiła nas obydwoje do krainy Harry'ego, do miejsca, gdzie liczyła się rodzina i gdzie zobowiązania były równie prawdziwe jak bezgłowe prostytutki. Cóż mogłem powiedzieć?

- Dobrze, siostrzyczko - odparłem. - Wiesz, że ci pomogę. - „Dexy”. Też coś. Jeszcze trochę i wzbudziłaby we mnie ludzkie

uczucia.

- To dobrze. - Znowu była stanowcza i konkretna; przeszła metamorfozę, czego nie mogłem nie podziwiać. - Brakuje w tym jednego. Czego? - spytała, ruchem głowy wskazując okna na pierwszym piętrze bloku.

- Ciało - zgadłem. - À propos. Ktoś ich szuka?

Posłała mi kwaśne spojrzenie obytego w świecie gliniarza.

- Z tego, co wiem, więcej policjantów zajmuje się pilnowaniem reporterów.

- Świetnie. Jeżeli uda nam się znaleźć ciała, zdobędziemy nad nimi przewagę.

- Dobra. Gdzie będziemy szukać?

Pytanie było bardzo logiczne, ale postawiło mnie w dość kłopotliwym położeniu. Gdzie? Nie miałem pojęcia. Tam, gdzie zabił te prostytutki? Raczej w to wątpiłem, ponieważ musiał tam panować nie lada bałagan i skoro zamierzał wykorzystać to miejsce do kolejnych zabójstw, na pewno nie zostawiłby tam zapaskudzonych zwłok.

Dobrze. W takim razie musiałem założyć, że ukrył je gdzie indziej.

I nagle dotarło do mnie, że pytanie powinno brzmieć inaczej. Nie: „Gdzie”, tylko: „Dlaczego”. Wystawę z głów urządził w konkretnym celu. W jakim celu miałyby przewozić ciała gdzie indziej? Żeby je ukryć? Nie, to za proste. Z nim nic nie było proste, a ukrywanie zwłok nie należało do cnót, które sobie cenił. Zwłaszcza teraz, kiedy zaczął się trochę chwalić. W takim razie, gdzie podrzuciłby resztę?

- No? - ponagliła mnie Debora. - Gdzie?

- Nie wiem - odrzekłem powoli. - Miejsce, gdzie je podrzucił, jest na pewno częścią tego, co chce nam powiedzieć. A my jeszcze nie wiemy, co mu chodzi po głowie. Prawda?

- Cholera jasna, Dexter...

- On nam coś wypomina. Mówi, że zrobiliśmy coś niewiarygodnie głupiego, a nawet jeśli nie, to i tak jest sprytniejszy od nas.

- I ma rację - mruknęła, przybierając minę karpia.

- Dlatego bez względu na to, dokąd zawiózł zwłoki, miejsce to jest dalszą częścią tego, co chce nam przekazać. Kolejnym fragmentem oświadczenia, które głosi, że jesteśmy głupi... Nie, że zrobiliśmy coś głupiego.

- Tak, to wielka różnica.

- Proszę cię, siostrzyczko, takie miny ci zaszkodzą. Tak, to naprawdę wielka różnica, ponieważ nasz reżyser skoncentruje się nie na aktorach, tylko na tym, co aktorzy robią.

- Aha. To świetnie. W takim razie powinniśmy chyba pójść do najbliższego kabaretu i poszukać aktora z zakrwawionymi do łokci rękami, tak?

- Nie. Krew nie wchodzi w rachubę. Absolutnie.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ ani tu, ani gdzie indziej nie było nawet śladu krwi. To jest celowe i niezmiernie ważne. Tym razem powtórzył najważniejsze kwestie i je skomentował, bo byliśmy ślepi. Rozumiesz?

- Jasne. To logiczne. W takim razie może pojedziemy na lodowisko? Pewnie znowu poukładał ciała w bramkach.

Otworzyłem usta, żeby rzucić jedną z moich cudownie inteligentnych uwag. Lodowisko nie wchodziło w grę, było miejscem zupełnie nieodpowiednim. Przedtem nasz reżyser eksperymentował, bawił się nowym rekwizytem, ale wiedziałem, że tego nie powtórzy. Zacząłem tłumaczyć siostrze, że powtórzyły to tylko wtedy, gdyby... - Nagle

urwałem i zamarłem z szeroko rozdziawionymi ustami. Oczywiście, pomyślałem. Naturalnie.

- No i kto tu robi karpia, hę? - rzuciła Debora. - Co się stało?

Milczałem. Byłem zbyt zajęty chwytniem rozbieganych myśli. Tak, numer z lodowiskiem powtórzyłby tylko wtedy, gdyby chciał nam pokazać, że przymknęliśmy nie tego mordercę.

- Och, Deb - powiedziałem. - Oczywiście. Lodowisko. Masz rację. Nie z tych powodów, co trzeba, ale...

- Lepiej ją mieć, niż nie mieć - dokończyła i poszliśmy do samochodu.

Ale wiesz, że mamy małe szanse? – spytałem. – Że pewnie nic tam nie znajdziemy. Wiesz?

- Wiem - odparła.

- Poza tym to nie nasz okręg. Jesteśmy w Broward. Ci z Broward nas nie lubią, więc...

- Chryste - warknęła. - Kłapiesz jak nastolatka.

Może i kłapałem, ale nie powinna tak mówić, to bardzo niegrzecznie. Tymczasem ona była jak ciasno zwinięty kłębek stalowych nerwów. Kiedy zjechaliśmy z autostrady i skręciliśmy na parking przed stadionem, jeszcze mocniej zacisnęła zęby. Niemal słyszałem, jak trzeszcza jej szczęki.

- Brudna Harrieta - mruknąłem, ale chyba podsłuchiwała.

- Wal się - syknęła.

Oderwałem wzrok od jej granitowego profilu i spojrzałem na stadion. Gdy promienie porannego słońca padały pod odpowiednim kątem, wyglądał tak, jakby otaczała go flotylla latających spodków. Oczywiście były to tylko baterie reflektorów, które rozrosły się wokół korony niczym wielkie, stalowe muchomory. Ktoś musiał wmówić architektowi, że są bardzo wyraziste, „młode i pełne wigoru”. W dobrym świetle pewnie takie były. Miałem wielką nadzieję, że już wkrótce zaświecą.

Objechaliśmy stadion, szukając śladów życia. Podczas drugiego okrążenia przed jednym z wejść zaparkowała dobita toyota; drzwiczki od strony pasażera miała przymocowane wychodzącym z okna sznurkiem. Debora wysiadła, zanim zdążyliśmy się zatrzymać.

- Przepraszam pana - powiedziała do kierowcy, pięćdziesięcioletniego mężczyzny w złachanych, zielonych spodniach i niebieskiej nylonowej kurtce. Spojrzał na jej mundur i od razu się zdenerwował.

- Co? - odparł. - Ja nic nie zrobiłem.

- Czy pan tu pracuje?

- Jasne. Inaczej co bym tu robił o ósmej rano?

- Pana nazwisko?

Poszperał w kieszeni w poszukiwaniu portfela.

- Steban Rodriguez. Mam dokumenty.

Debora machnęła ręką.

- To niekonieczne. Co pan tu robi o tej porze?

Rodriguez wzruszył ramionami i schował portfel.

- Normalnie przychodzę wcześniej, ale nasza drużyna jest na wyjeździe. Vancouver, Ottawa i Los Angeles. Dlatego dzisiaj jestem trochę później.

- A na stadionie? Ktoś tam teraz jest?

- A skąd, wszyscy jeszcze śpią.

- A w nocy? Macie tu ochronę?

Rodriguez zatoczył ręką łuk.

- Jednego ochroniarza. Objeżdża parking i jedzie dalej. Zwykle to ja jestem tu pierwszy.

- Jako pierwszy wchodzi pan na stadion?

- Tak. Ale czemu?

Wysiadłem z samochodu i oparłem się o dach.

- To pan jeździ tą maszyną do czyszczenia lodu? - spytałem.

Poirytowana Debora spiorunowała mnie wzrokiem. Rodriguez zmrużył oczy, przyglądając się mojej hawajskiej koszuli i gabardynowym spodniom.

- Pan też z policji? - spytał podejrzliwie. - Z jakiej?

- Takiej trochę zwariowanej. Pracuję w laboratorium.

- Aa, jasne - odrzekł i kiwnął głową, jakby wszystko zrozumiał.

- Steban, to pan jeździ tą maszyną do czyszczenia lodu?

- Tak, ja. Podczas meczu mi nie pozwalają, bo sadzają na niej jakąś fiszę w garniturze, takiego, co to chce się pokazać. Jeździ po lodowisku, macha ludziom ręką i tak dalej. Ale rano jeżdżę ja. To znaczy, kiedy nasi grają u siebie. Wtedy jeżdżę, wczesnym rankiem. Ale teraz są na wyjeździe, to przyszedłem trochę później.

- Chcielibyśmy się tam rozejrzeć - powiedziała Debora, wyraźnie zniecierpliwiona tym, że odezwałem się poza kolejką.

Rodriguez spojrział na nią z chytrym uśmieszkiem.

- Jasne. Macie nakaz?

Debora spiekła raka. Czerwona twarz ślicznie kontrastowała z kolorem munduru, ale cóż, rumieniec nie wzmocni policyjnego autorytetu. A znając ją, wiedziałem, że zaraz poczuje, że się zaczerwieniła i dostanie szału. Ponieważ nie mieliśmy nakazu - co więcej, nie mieliśmy tam do roboty nic, co można by chociaż nagiąć i podciągnąć pod obowiązujące prawo - uznałem, że wybuch gniewu nie będzie najlepszym manewrem taktycznym.

- Steban - powiedziałem, żeby siostra nie palnęła czegoś, czego potem by żałowała.

- No?

- Od dawna pan tu pracuje?

Wzruszył ramionami.

- Odkąd otworzyli stadion. Przedtem przez dwa lata robiłem na starym.

- A więc był pan tu w zeszłym tygodniu, kiedy znaleziono tego trupa?

Rodriguez uciekł wzrokiem w bok i jego śniada twarz pozieleniała. Głośno przełknął ślinę.

- Już nigdy w życiu nie chcę czegoś takiego oglądać. Nigdy.

- Wcale się panu nie dziwię - odparłem ze szczerym współczuciem. - Właśnie dlatego tu jesteście.

Zmarszczył czoło.

- Jak to?

Zerknąłem na Deborę, żeby sprawdzić, czy nie sięga przypadkiem po broń. Miała zaciśnięte usta i groźnie postukiwała nogą w ziemię, ale milczała.

Podszedłem bliżej.

- Steban - powiedziałem moim najbardziej męskim i najbardziej konfidencjonalnym głosem. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że kiedy otworzy pan te drzwi, będzie tam na pana czekało to samo, co w zeszłym tygodniu.

- O żesz ty! - nie wytrzymał Rodriguez. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- To zrozumiałe.

- *Me cago en diez* całe to gówno.

- Właśnie - ciągnąłem. - Może więc najpierw wpuści pan tam nas? Tak na wszelki wypadek.

Spojrzał na mnie, a potem na nachmurzoną Deborę; miała śliczną minę, którą dobrze podkreślał kolor munduru.

- Mogę mieć kłopoty - mruknął. - Mogę wylecieć z pracy...

Uśmiechnąłem się do niego z dobrze udawanym współczuciem.

- Albo może pan tam wejść i na własne oczy zobaczyć stertę odciętych rąk i nóg. Tym razem będzie ich więcej.

- O żesz ty... Ale mnie wyrzuca, wylecę z roboty. Co mam robić?

- Pomyśleć, że spełnia pan obowiązek obywatelski.

- Człowieku, co ty pieprzysz? Co mi po obowiązkach, jak wyląduję na bruku?

Może nie wyciągał do mnie ręki, ale zachowywał się jak ktoś z pretensjami i było oczywiste, że liczy na mały prezent, który pocieszyłby go na ewentualnym bezrobociu. Bardzo rozsądny sposób myślenia, zwłaszcza w Miami. Sęk w tym, że miałem przy sobie tylko pięć dolarów, a musiałem jeszcze kupić słodki rogalik i kawę. Dlatego kiwnąłem głową jak mężczyzna, który rozumie drugiego mężczyznę.

- Ma pan rację - powiedziałem. - Cóż, mieliśmy nadzieję, że nie będzie pan musiał oglądać tych rąk i nóg... Wspominałem już, że tym razem będzie ich więcej? Ale oczywiście nie chcemy, żeby stracił pan pracę. Przepraszamy, że zawracaliśmy panu głowę. Miłego dnia! - Uśmiechnąłem się do Debory. - Jedziemy - rzuciłem. - Trzeba tam wrócić i poszukać palców.

Debora była wciąż naburmuszona, ale miała przynajmniej na tyle oleju w głowie, żeby nie zepsuć przedstawienia. Otworzyła drzwiczki, wesoło pomachała Rodriguezi i wsiadła.

- Zaczekajcie! - zawołał. Spojrzałem na niego z uprzejmym zainteresowaniem. - Przysięgam na Boga, że już nigdy więcej nie chcę tam niczego znaleźć. - Patrzył na mnie przez chwilę, pewnie z nadzieją, że jednak zmięknię i dam mu garść krugerandów, ale, jak już wspomniałem, czekała mnie jeszcze wizyta w cukierni, dlatego nie zmiękłem. Steban oblizał wargi, odwrócił się szybko i włożył klucz do zamka wielkich podwójnych drzwi. - Idźcie - powiedział. - Ja zaczekam tutaj.

- Na pewno? - spytałem.

- Człowieku, czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Idźcie!

Uśmiechnąłem się do Debory.

- Na pewno - powiedziałem.

Deb pokręciła głową jak rozdrażniona młodsza siostra i jednocześnie jak skwaszona policjantka. Dziwna kombinacja. Obeszła samochód i ruszyła przodem.

Na lodowisku było zimno i ciemno, co zupełnie mnie nie zdziwiło. O tej porze nie mogło być inaczej. Steban na pewno wiedział, gdzie jest włącznik, ale nie raczył nam tego powiedzieć. Debora odpięła od paska wielką latarkę i powiodła światłem po lodzie. Wstrzymałem oddech, gdy z mroku wychynęła najpierw jedna bramka, a potem druga. Światło zatoczyło krąg. Parę razy zwolniło, parę razy się zatrzymało, wreszcie znieruchomiało.

- Nic - powiedziała Debora. - Wielkie gówno.

- Widzę, że jesteś rozczarowana.

Deb prychnęła i ruszyła do wyjścia. Tymczasem ja stałem na środku tafli, czując bijące z lodu zimno i snując radosne myśli. Ale tak naprawdę myśli te nie były moje.

Nie moje, ponieważ kiedy siostra się odwróciła, zza ramienia doszedł mnie cichutki głosik. Zimny, oschły rechot, znajome muśnięcie piórkiem tuż na progu słyszalności. Dlatego gdy Deb zniknęła, znieruchomiałem, zamknąłem oczy i wsłuchałem się w słowa mojego starego druha. Mówił jak zwykle niewiele, szeptał najcichszym szeptem, wydawał bezdźwięczne odgłosy, mimo to z uwagą go słuchałem. Wtem zachichotał i zaczął mrużyć mi do ucha koszarne rzeczy, podczas gdy drugim uchem słyszałem, jak Debora wpuszcza do środka Stebana i każe mu zapalić światło. Zrobił to chwilę później, a wówczas cichutki głosik przeszedł w szalone crescendo dobrego humoru i dobrodusznego horroru.

O co ci chodzi? - spytałem grzecznie, ale odpowiedział jeszcze większym wybuchem wesołości. Nie miałem pojęcia, co to znaczy. Lecz nie zdziwiłem się, słysząc potworny krzyk.

Rodriguez nie umiał krzyczeć. Był w tym straszny. Wył, chrząkał, stękał, wydawał zduszone odgłosy jak podczas gwałtownych wymiotów. Nie potrafił wlać w to ani odrobiny muzyki.

Otworzyłem oczy. W tych okolicznościach nie mogłem się skupić, zresztą nie miałem już czego słuchać. Szept ucichł, gdy Steban zaczął wrzeszczeć. Poza tym jego wrzask wszystko wyjaśnił. Prawda? Dlatego otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak Rodriguez wypada z pakamery na końcu stadionu i wbiega na taflę. Potknął się, poślizgnął, ślizgiem wpadł na bandę, a potem, mamrocząc chrapliwie po hiszpańsku i sapiąc z przerażenia, wbiegł między ławki i pognął do wyjścia. Na lodzie, w miejscu, gdzie upadł, pozostała rozmazana smużka krwi.

Debora wpadła do środka z pistoletem w rękę, ale on ją minął, zatoczył się i uciekł na dwór.

- Co się stało? - krzyknęła siostra z bronią gotową do strzału.

Przekrzywiłem głowę i słysząc zamierające echo oschłego chichotu oraz resztki przerażających odgłosów wydawanych przez Rodrigueza, wszystko zrozumiałem.

- Steban chyba coś znalazł - odparłem.

Polityka policyjna, której znajomość tak bardzo chciałem zaszcześcić Deborze, jest rzeczą śliską i porośniętą licznymi mackami. A kiedy spotykają się przedstawiciele dwóch policyjnych organizacji, które się nie lubią, wspólna operacja przebiega bardzo powoli, ospale i według wszelkich możliwych przepisów, przy czym niemal zawsze towarzyszą jej wykrety, zawołane obelgi i groźby. Wspaniale się to ogląda, rzecz w tym, że śledztwo trwa wtedy odrobinę dłużej niż to konieczne. Dlatego też od przerażającego odkrycia Stebana minęło kilka godzin, zanim ostatecznie rozstrzygnięto spory o zakres kompetencji i zanim nasza ekipa przystąpiła wreszcie do badania małej niespodzianki, którą nasz nowy przyjaciel Rodriguez znalazł za drzwiami pakamery.

Przez cały ten czas Debora stała z boku, z trudem panując nad zniecierpliwieniem i prawie wcale go nie ukrywając. Przyszedł kapitan Matthews, przyszła detektyw LaGuerta. Uścisnęli ręce swoim odpowiednikom z hrabstwa Broward, kapitanowi Moonowi i detektywowi McClellanowi. Potem doszło do grzecznego, a raczej prawie grzecznego politycznego sparingu, który sprowadzał się mniej więcej do tego: Matthews był niemal pewny, że odkrycie sześciu rąk tudzież sześciu nóg na terenie hrabstwa Broward stanowi integralną część śledztwa, które policja z hrabstwa Miami-Dade prowadzi w sprawie odkrycia trzech znalezionych na ich terenie głów. Używając określeń o wiele zbyt przyjacielskich i prostodusznych, kapitan stwierdził, że jest wielce nieprawdopodobne, żeby w Miami-Dade znaleziono wkrótce

trzy głowy bez ciała, a następnie trzy całkowicie różne ciała bez głów.

Kierując się podobną logiką, Moon i McClellan zauważyli, że podczas gdy ludzkie głowy znajduje się w Miami niemal codziennie, w hrabstwie Broward jest to zjawisko stosunkowo rzadkie, dlatego też traktują je poważniej, zresztą najpierw trzeba przeprowadzić wiele badań wstępnych, żeby sprawdzić, czy sprawy te w ogóle się z sobą łączą, a badania powinni przeprowadzić oni, ponieważ teren ten należy do ich jurysdykcji. Naturalnie z radością przekażą nam wyniki.

Takie postawienie sprawy było oczywiście nie do przyjęcia dla ich adwersarzy. Kapitan Matthews odparł, że śledczy z Broward nie wiedzą, czego szukać, dlatego mogliby coś przeoczyć albo zniszczyć ważny dowód rzeczowy. Naturalnie nie przez niekompetencję czy głupotę; kapitan był niemal pewny, że policjanci z Broward są w większości rzetelnymi fachowcami.

Jak można się było spodziewać, kapitan Moon nie przyjął tych słów w duchu radosnej kooperacji i nie ukrywając emocji, zauważył, że kapitan Matthews zdaje się sugerować, iż w jego wydziale pracuje banda podrzędnych kretyńców. Matthews był już na tyle wkurzony, by grzecznie odrzec, że och nie, bynajmniej nie podrzędnych. Jestem przekonany, że polemika zakończyłaby się bójką, gdyby nie pojawił się sędzia, czyli dżentelmen z FDLE.

FDLE, florydzki urząd śledczy, jest czymś w rodzaju stanowego FBI. Jego funkcjonariusze mają prawo działać na terenie całej Florydy i w przeciwieństwie do federalnych, są szanowani przez większość policjantów. Dżentelmen, o którym mowa, był mężczyzną średniego wzrostu i lichej postury. Miał krótko przyciętą brodę, ogoloną głowę i robił wrażenie zupełnego przeciętniaka, ale kiedy stanął między dwoma o wiele wyższymi i bardziej krzepkimi kapitanami,

ci natychmiast zamknęli się i cofnęli. Dżentelmen szybko wszystko wyjaśnił i ustalił i już po chwili mogliśmy przystąpić do pracy na uporządkowanym i właściwie zorganizowanym miejscu zbrodni.

Według jego zarządzenia śledztwo mieliśmy prowadzić my, policja z Miami-Dade, chyba że badania tkanek wykażą, iż znalezione na lodowisku ręce i nogi nie pasują do naszych głów. Bezpośrednim skutkiem praktycznym jego decyzji było to, że przed tłumem reporterów, kłębiącym się przed stadionem, jako pierwszy miał stanąć kapitan Matthews.

Przyjechał Angel-Bez-Skojarzeń i od razu zabrał się do pracy. Nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć i nie chodziło mi wcale o jurysdykcyjne kłótnie. Nie, o wiele bardziej niepokoiło mnie samo wydarzenie, niepokoiło i dawało do myślenia. Ale nie zabójstwo jako takie i nie układ odciętych kończyn, chociaż ten był nader pikantny. Bo oczywiście przed przyjazdem policji udało mi się zajrzeć do izdebki horroru naszego Stebana - doprawdy, czy można mi się dziwić? Pragnąłem jedynie zakosztować widoku i zrozumieć, dlaczego mój drogi, tajemniczy współpracownik wybrał akurat to miejsce. Chciałem tylko zerknąć, naprawdę.

Dlatego kiedy tylko Steban wybiegł ze stadionu, kwicząc, krztusząc się i chrząkając jak dławiące się grejpfrutem prosię, potruchtałem do pakamery, żeby zobaczyć, co go tak przestraszyło.

Tym razem członki nie były owinięte. Tym razem leżały na podłodze w czterech grupach. I kiedy się im przyjrzałem, zrozumiałem coś cudownego.

Jedna noga leżała prosto po lewej stronie pakamery. Błada, sinawa i dokładnie odsączona, na kostce miała złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serduszka. Była naprawdę urocza, słodziutka, nieoszczędzona wstrętnymi plamami krwi. Bardzo elegancka robota. Dwie ciemne ręce, równie starannie odcięte

i zgięte w łokciu, ułożono równolegle do nogi, łokciem na zewnątrz. A obok rąk, tuż obok siebie leżały pozostałe kończyny, wszystkie zgięte w stawach i jakby zaokrąglone u dołu.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Szybko zamrugałem i gdy obraz się wyostrzył, musiałem mocno zmarszczyć brwi, żeby nie zachichotać, bo Deb znowu powiedziała, że zachowuję się jak nastolatka.

A chciało mi się śmiać dlatego, że mój mistrz zrobił z rąk i nóg litery, z których ułożył krótki napis: BUU.

Pod BUU spoczywały trzy korpusy, ułożone w śliczny, halloweenowy uśmiech.

Co za łobuziak.

Ale podziwiając humor bijący z tej małej wystawy, zastanawiałem się, dlaczego zorganizował ją akurat tutaj, w pakamerze, zamiast na lodzie, gdzie mogłaby zdobyć uznanie szerszej publiczności. Zgoda, pakamera była dość przestronna, jednak w sumie ciasna i wystarczyło w niej miejsca tylko na samą ekspozycję. Więc dlaczego?

Gdy się nad tym zastanawiałem, z trzaskiem otworzyły się główne drzwi: przybyli pierwsi ratownicy. I kiedy się otworzyły, przez tafłę lodowiska przemknął podmuch zimnego powietrza, który omył mi plecy...

Odpowiedział mu ciepły prąd płynący w tym samym kierunku. Leciutki jak muśnięcie czubkiem palca dotarł do mrocznego dna podświadomości i poczułem, że gdzieś tam, w bezkسیężycowej nocy mojego jaszczurczego mózgu, coś się zmieniło, że Mroczny Pasażer ochoczo wyraża zgodę na coś, czego nawet nie słyshałem ani nie rozumiałem, choć wiedziałem, że musi mieć to coś wspólnego z palącą niecierpliwością zimnego powietrza, z napierającymi zewsząd ścianami, z narastającym przeświadczeniem, że...

Tak jest dobrze. Tak, na pewno. Że tak jest dobrze, że właśnie tak powinno być, że mój tajemniczy autostopowicz jest zadowolony, podekscytowany i spełniony w sposób, jakiego nie jestem w stanie ogarnąć rozumem. Jednocześnie przebijało przez to wszystko niejasne wrażenie, że skądś to znam. Nie miało to żadnego sensu, ale tak było. Lecz zanim zdążyłem zgłębić znaczenie tego dziwnego objawienia, młody, przysadzisty mężczyzna w policyjnym mundurze kazał mi wyjść z pakamery z rękami na widoku. Musiał przyjechać jako pierwszy i celował we mnie z rewolweru w bardzo przekonujący sposób. Ponieważ twarz przecinała mu tylko jedna długa, ciemna brew i ponieważ nie miał czoła, uznałem, że lepiej spełnić jego życzenie. Wyglądał na tępego, prymitywnego draba, który może przypadkiem zastrzelić niewinnego człowieka - albo nawet mnie.

Niestety, mój odwrót odsłonił małą dioramę w pakamerze i prymitywny drab zaczął rozpaczliwie szukać miejsca, gdzie mógłby zwrócić śniadanie. Wreszcie dopadł dużego kosza na śmieci sześć metrów dalej i zaczął wydawać okropne rżęząco-gulgoczące odgłosy. Stałem nieruchomo i czekałem, aż skończy. Rozrzucać wokoło na wpeł strawione jedzenie - cóż za okropny zwyczaj. Jaki niehigieniczny. I pomyśleć, że robił to strażnik bezpieczeństwa publicznego.

Dołączyli do nas kolejni mundurowi i już wkrótce mój małpi przyjaciel dzielił kosz z kilkoma kolegami. Wydawali bardzo niemiłe dźwięki, nie wspominając już o tym, że musiałem wdychać te wszystkie nieprzyjemne zapachy. Mimo to grzecznie czekałem, ponieważ jedną z najbardziej fascynujących rzeczy, jakie można powiedzieć o rewolwerze, jest to, że da się z niego wystrzelić, nawet wymiotując. Jeden z mundurowych wyprostował się wreszcie, wytarł rękawem usta i zaczął mnie przesłuchiwać. Niedługo potem odepchnięto mnie na bok, zakazano mi odchodzić i czegokolwiek dotykać.

Kilka minut później przyjechali kapitan Matthews z detektyw LaGuertą i kiedy przejęli dowództwo, trochę się odprężyłem. Ale teraz, kiedy mogłem już wszędzie pójść i wszystkiego dotknąć, po prostu siedziałem tam i myślałem. A myśli miałem zaskakująco niepokojące.

Dlaczego wystawa w pakamerze wydała mi się tak dobrze znajoma, tak rozkosznie swojska?

Nie wiedziałem, byłem zupełnie zagubiony. Oczywiście mógłbym powrócić do moich porannych, jakże idiotycznych koncepcji i wmówić sobie, że to moje dzieło, ale tego nie zrobiłem. Moje dzieło - co to za głupota? Buu, rzeczywiście. Nie warto było nawet z tego szydzić. Czysty absurd.

Jeśli tak, skąd wrażenie, że tę wystawę znam?

Westchnąłem i doświadczyłem kolejnego nowego uczucia: uczucia dezorientacji. Po prostu nie miałem pojęcia, co się dzieje, i wiedziałem tylko, że to coś dotyczy w jakiś sposób mnie. Nie było to objawienie przełomowe ani pomocne, ponieważ dokładnie pasowało do moich poprzednich wniosków, jakże logicznych i analitycznych. Jeśli wykluczyć absurdalny pomysł, że zrobiłem to nieświadomie - a ja ten pomysł wykluczyłem - każde kolejne wytłumaczenie stawało się coraz mniej prawdopodobne. Tak więc podsumowanie wyglądało następująco: Dexter jest w tę sprawę zamieszany, ale nie wie nawet, co to znaczy. Poczułem, jak kilka trybików w moim dumnym niegdyś mózgu wyskakuje z łożysk i spada z trzaskiem na podłogę. Brzdęk, brzdęk. Ziuuu! Dexter wykolejony.

Od kompletnego załamania uratowało mnie pojawienie się Debory.

- Chodź - rzuciła. - Idziemy na górę.
- Można spytać po co?
- Żeby pogadać z urzędasami. Może coś wiedzą.
- Muszą coś wiedzieć, skoro mają własne biuro.

Patrzyła na mnie przez chwilę, odwróciła się i powtórzyła:

- Chodź.

Nie wiem, może zmusił mnie do tego jej rozkazujący ton głosu, tak czy inaczej, wstałem i poszedłem. Przeszliśmy na drugą stronę lodowiska i wyszliśmy na korytarz. Przed windą stał policjant z Broward, a przez przeszklone drzwi zobaczyłem kilku innych, którzy pilnowali taśmy ostrzegawczej przed wejściem. Debora pomaszerowała prosto do tego przed windą.

- Morgan - powiedziała, a on od razu kiwnął głową i wcisnął guzik. Potem spojrzał na mnie, ale zrobił to bez najmniejszego zainteresowania, co wiele mówiło.

- Ja też jestem Morgan - wyjaśniłem, lecz on odwrócił głowę i wbił wzrok w przeszklone drzwi.

Rozległ się stłumiony gong i przyjechała winda. Debora weszła do kabiny i grzotnęła ręką w guzik tak głośno, że policjant spojrzał na nią tuż przed tym, gdy zamknęły się drzwi.

- Dlaczego jesteś taka ponura, siostrzyczko? - spytałem. - Czy nie tego zawsze chciałaś?

- Każą mi to robić tylko po to, żebym miała coś do roboty i wszyscy o tym wiedzą - burknęła.

- Ale jest to robota detektywistyczna - zauważyłem.

- Ta suka znowu namieszała - syknęła Deb. - Jak tylko się tu wybiegam, mam wracać do dziwek.

- Ojej. Znowu w tym seksubranku?

- Znowu.

Zanim zdążyłem znaleźć magiczne słowa pocieszenia, przyjechaliśmy na miejsce i otworzyły się drzwi. Deb wysiadła, ja wysiadłem za nią. Szybko trafiliśmy do holu, gdzie pracownicy mieli czekać, aż przedstawiciele majestatu prawa będą mieli czas z nimi porozmawiać. Przed drzwiami stał

kolejny policjant z Broward, pewnie po to, żeby żaden z nich nie uciekł i nie spróbował przedrzeć się przez granicę do Kanady. Debora skinęła mu głową i weszła do środka. Bez entuzjazmu poczłapałem za nią, wciąż rozmyślając o moim problemie. Ale siostra szybko wyrwała mnie z zadumy, wypychając drzwiami młodego, opryskliwego człowieka o tłustej twarzy i koszmarnie długich, tłustych włosach. Powłokłem się za nimi.

Oczywiście wiedziałem, o co chodzi: Debora oddzieliła go od pozostałych, żeby go przesłuchać. Bardzo dobra zagrywka, ale szczerze mówiąc, nie rozpałała mi serca. Po prostu czułem - nie mając pojęcia dlaczego - że żaden z pracowników nie wniesie do sprawy niczego znaczącego; sądząc po tym długowłosym, uogólnienie to można by zastosować również do jego życia. Siostrę obarczono nudnym, rutynowym zadaniem na niby, ponieważ kapitan uznał, że zrobiła coś dobrze. Wciąż uchodziła za szkodnika, więc dostała trochę detektywistycznej roboty, żeby miała jakieś zajęcie i nie wchodziła nikomu w paradę. A ja wlokłem się za nią, bo mnie o to prosiła. Może chciała sprawdzić, czy moje zdolności postrzegania pozazmysłowego pomogą jej ustalić, co ci potulni kanceliści jedli na śniadanie. Spojrzałem na twarz towarzyszącego nam młodzieńca i od razu wiedziałem, że skonsumował zimną pizzę i chipsy, popijając to litrem pepsi. Musiał jeść tak od dawna, bo miał zniszczoną cerę i biła z niego bezmyślna wrogość.

Pan naburmuszony zaprowadził nas do sali konferencyjnej na zapleczu. Stał tam długi dębowy stół, dziesięć czarnych krzeseł z wysokim oparciem oraz biurko z komputerem i sprzętem audio-wideo. Debora i jej przyszczaty przyjaciel usiedli i zaczęli wymieniać złowrogie miny, tymczasem ja podszedłem do biurka. Pod oknem, tuż obok biurka, stała mała półka. Wyjrzałem na dwór. Na dole, niemal dokładnie

pode mną, zobaczyłem ciągle rosnący tłum reporterów i policyjne radiowozy przed drzwiami, którymi weszliśmy na lodowisko ze Stebanem.

Spojrzałem na półkę i pomyślałem, że zrobię sobie trochę miejsca i oprę się o nią, dyskretnie dystansując się od przesłuchującej i przesłuchiwanego. Na półce leżała sterta żółtych teczek, a na nich jakiś mały, szary przedmiot. Był kwadratowy i chyba plastikowy. Czarny przewód łączył go z komputerem. Chciałem go podnieść i przesunąć, ale...

- Hej! - zawołał pryszczaty. - Niech pan nie dotyka mojej kamery.

Spojrzałem na Deborę. Debora spojrzała na mnie i przysięgam, nozdrza zafalowały jej jak u wyścigowego konia przed bramką startową.

- Czego? - spytała.

- Ustawiłem ją na drzwi - ciągnął pryszczaty. - A teraz będę musiał ją przefokusować. Kurczę, człowieku, musi pan grzebać w moich rzeczach?

Ponownie przeniosłem wzrok na siostrę.

- On powiedział: „kamera”.

- Kamera - powtórzyła Debora.

- Tak.

Pani detektyw spojrzała na naburmuszonego księcia z bajki.

- Jest włączona?

Książę gapił się na nią, próbując zachować pałającą gniewem twarz.

- Ale co?

- Kamera. Czy ta kamera działa?

Książę prychnął i wytarł palcem nos.

- Myśli pani, że zawracałbym sobie nią głowę, gdyby nie działała? Kosztowała mnie dwie stowy. Musi działać.

Wyrzależem przez okno, żeby sprawdźić, gdzie skierowany jest obiektyw, tymczasem on gderał dalej.

- Mam własną stronę internetową. Kathouse.com. Kiedy nasi wyjeżdżają albo wracają, wszystko leci na żywo.

Debora podeszła do mnie i też wyrzależa przez okno.

- Była skierowana na drzwi - powiedziałem.

- No, a gdzie? - burknął nasz rozmówca. - Inaczej nic nie byłoby widać.

Debora przeszyła go wzrokiem i pięć sekund później zaczerwienił się i spuścił głowę.

- Czy w nocy też była włączona?

- Jasne - mruknął, wciąż patrząc na blat stołu. - To znaczy, chyba tak.

Siostra odwróciła się do mnie i uniosła brwi. Jej wiedza komputerowa ograniczała się do wypełniania standardowych meldunków o zdarzeniach drogowych. Wiedziała, że moja jest trochę głębsza.

Spojrzałem na informatyka.

- Jak ją pan ustawia? - rzuciłem, adresując pytanie do czubka jego głowy. - Na automatyczną archiwizację?

Tym razem podniósł wzrok. Użyłem określenia: „automatyczna archiwizacja”, więc musiałem być w porządku.

- Tak - odparł. - Odświeża obraz co piętnaście sekund i zapisuje na dysku. Rano zwykle to kasuję.

Debora chwyciła mnie za rękę tak mocno, że omal nie pękła mi skóra.

- Dzisiaj też pan skasował? - spytała.

Informatyk uciekł wzrokiem w bok.

- Nie. Wpadliście tu z takim wrzaskiem, że nie zdążyłem nawet sprawdzić poczty.

- Bingo - powiedziałem.

- Niech pan tu podejdzie - rozkazała Debora.

- Słucham? - nie zrozumiał nasz smutny harcerzyk.

- Niech pan tu podejdzie - powtórzyła siostra, a wtedy powoli wstał, otworzył usta i niepewnie potarł kłykcie.

- Ale po co?

- Czy zechce pan tu podejść? - warknęła Deb jak na starą weterankę przystało. Informatyk wreszcie ożył i podszedł bliżej.

- Może pan pokazać nam zdjęcia z dzisiejszej nocy?

Informatyk zerknął na komputer, potem na nią.

- Po co? - spytał. Ach, te niezbadane tajemnice ludzkiej inteligencji.

- Bo niewykluczone - odrzekła Debora bardzo powoli i wyraźnie - że jest wśród nich zdjęcie zabójcy.

Informatyk szybko zamrugał i się zaczerwienił.

- No, nie.

- No, tak - odparłem.

Z rozdziawionymi ustami młodzian spojrzał na mnie, potem znowu na Deborę.

- Ale odlot - sapnął. - Bez kitu? To znaczy... naprawdę? O żesz ty... - Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Możemy przejrzeć te zdjęcia? - powtórzyła Deb.

Pryszcłaty stał nieruchomo jeszcze przez sekundę, a potem rzucił się na krzesło przy biurku i poruszył myszką. Momentalnie ożył ekran, a wtedy on zaczął wściekle stukać w klawiaturę i jeździć myszką po podkładce.

- Od której? - rzucił.

- O której wszyscy wyszli? - spytała siostra.

Wzruszył ramionami.

- Wczoraj nie graliśmy. Chyba gdzieś o... ósmej?

- Niech pan zacznie od północy - powiedziałem.

Kiwnął głową.

- Dobra. - Przez chwilę walił w klawisze i cicho mamrotał. - No, szybciej, ty... To tylko sześćset megaherców. Nie chcą nam

dać lepszego sprzętu. Ciągłe mówią, że wystarczy, a to bydlę jest takie powolne, że... - Nagle urwał. - Mam.

Na ekranie monitora ukazał się ciemny obraz, pusty parking przed stadionem.

- Północ - powiedział informatyk.

Piętnaście sekund później obraz zmienił się na identyczny.

- Będziemy to oglądali przez pięć godzin? - spytała Debora.

- Niech pan przewinie - poleciłem. - Szukamy świateł, reflektorów samochodowych, czegoś, co się rusza.

- Jjjjasne. - Pryszczyaty książkę gwałtownie poruszał myszką, znowu zastukał w klawiaturę i obrazy zaczęły przesuwać się z prędkością jednego na sekundę. Początkowo były takie same: ten sam ciemny parking, to samo jaskrawe światło na skraju kadru. Ale mniej więcej pięćdziesiąt klatek później na ekranie coś się pojawiło.

- Furgonetka! - sapnęła Deb.

Nasz ulubiony informatyk pokręcił głową.

- Ochroniarz - mruknął i rzeczywiście, po chwili zobaczyliśmy samochód ochrony.

Obrazy przesuwały się dalej, wciąż takie same i niezmiennie. Co trzydzieści, czterdzieści klatek przez ekran przejeżdżał samochód ochrony, a potem nie działo się nic. Po kilku minutach przestał przejeżdżać nawet samochód.

- Mam cię - rzucił nasz nowy, pyszałkowaty przyjaciel.

Debora zmarszczyła brwi.

- Kamera wysiadła?

Pryszczyaty spojrzał na nią, zaczerwienił się jak piwonia i uciekł wzrokiem w bok.

- Nie, to ten ochroniarz - odparł. - Facet się obja. Noc w noc gdzieś o trzeciej parkuje naprzeciwko i daje w kimono. - Ruchem głowy wskazał przesuujące się czarne obrazy. - Widzi pani? Hej tam, panie ochroniarz! Niech się pan

tylko nie przemęczy. – Z jego nosa wydobył się dziwny, mokry odgłos; założyłem, że to śmiech. – A to sukinkot. – Znowu zabulgotało mu w nosie i na ekranie znowu ukazał się pusty parking.

I nagle...

– Zatrzymaj! – krzyknąłem.

Na ekranie pojawiła się furgonetka. Stała tuż przy wejściu. Kolejny obraz i obok furgonetki wyrósł jakiś mężczyzna.

– Nie można bliżej? – spytała Debora.

– Niech pan podkręci zoom – rzuciłem, zanim zdążył zmarszczyć czoło.

Przesunąłem kursor, podświetliłem fragment obrazu z mężczyzną i kliknąłem myszką. Fragment się powiększył.

– Za małą rozdzielczość – powiedział. – Te piksele...

– Zamknij się – warknęła Debora. Wpatrywała się w ekran tak intensywnie, jakby chciała roztopić go wzrokiem. Wiedziałem dlaczego.

Było ciemno i mężczyzna stał za daleko, żeby mieć całkowitą pewność, mimo to na podstawie kilku ledwo widocznych szczegółów stwierdziłem, że jest w nim coś znajomego. Jego sylwetka, sposób, a jaki stał na znieruchomiałym obrazie, rozkładając ciężar ciała na obydwie nogi. Wrażenie było bardzo niejasne i nieuchwytnie, ale wszystko to razem do czegoś się sprowadzało. I kiedy z głębokich zakamarków mojego umysłu buchnął głośny, syczący rechot, poczułem się tak, jakby spadł mi na głowę fortepian koncertowy. Bo mężczyzna z ekranu wyglądał jak...

– Dexter? – wychrypiła Debora dziwnie zduszonym głosem. Rzeczywiście.

Wyglądał dokładnie jak Dexter.

Musiała odprowadzić tłustowłosego księcia do holu, ponieważ kiedy podniosłem wzrok, stała przede mną sama. I chociaż była w mundurze, nie wyglądała teraz jak policjantka. Była zmartwiona, wewnętrznie rozdarta, jakby nie wiedziała, czy ma na mnie nawrzeszczyć, czy rozplakać się jak mama, którą zawiódł ulubiony synek.

- No i co? - warknęła.

U mnie? Dobre pytanie.

- Fatalnie - odparłem. - A u ciebie?

Kopnęła krzesło. Krzesło upadło.

- Przestań się wygłupiać, do ciężkiej cholery! Powiedz coś. Powiedz, że to nie ty!

Milczałem.

- W takim razie powiedz, że to ty! No, mów coś!

Pokręciłem głową.

- Widzisz... - Cóż miałem powiedzieć? Znowu pokręciłem głową. - Jestem pewny, że to nie ja. Prawie pewny. - Nawet dla mnie zabrzmiało to tak, jakbym był absolutnym mistrzem kulawych odpowiedzi.

- Co znaczy: „prawie”? Że nie jesteś pewny? Że to możesz być ty?

- Cóż. - Błyskotliwa riposta, zwłaszcza w tej sytuacji. - Może. Nie wiem.

- Nie wiesz? Nie wiesz, czy mi powiesz, czy nie wiesz, kim jest ten facet na ekranie?

- Jestem prawie pewien, że to nie ja - powtórzyłem. - To znaczy, jestem pewien, ale nie na sto procent. Wszystko wskazuje na mnie, co?

- Cholera jasna! - Kopnęła leżące krzesło. Krzesło grzmotnęło w stół. - Jak możesz tego nie wiedzieć?

- Trochę trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj!

Otworzyłem usta, ale pierwszy raz w życiu nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie dość, że wszystko się waliło, to jeszcze straciłem inteligencję.

- Widzisz, mam... mam te sny, ale... naprawdę nie wiem. - Powiedziałem to? Czy wymamrotałem?

- Niech to szlag! Niech to szlag! Niech to szlag! - Kop w krzesło, kop w krzesło i piąty kop w krzesło.

Zanalizowała tę sytuację bardzo trafnie, trudno było się z nią nie zgodzić.

Z nową, szyderczą siłą powróciły moje głupie, masochistyczne myśli. Oczywiście, że to nie ja. Przecież to niemożliwe. Gdybym to był ja, musiałbym o tym wiedzieć. Jak widać, nic byś nie musiał, drogi chłopcze. Jak widać, nic o tym nie wiedziałeś. Nasze małe, ciemne, tępe mózdzki podsuwają nam tylko to, co wpływa i wypływa z rzeczywistości, a zdjęcia nie kłamią.

Deb przepuściła nową serię szaleńczych ataków na krzesło i wreszcie się wyprostowała. Miała zaczerwienioną twarz, a jej oczy nigdy dotąd nie były tak bardzo podobne do oczu Harry'ego.

- Dobrze - powiedziała. - To jest tak. - Urwała i zamrugła, ponieważ obydwójce zdaliśmy sobie sprawę, że zacytowała ojca.

I przez chwilę Harry naprawdę z nami był, przez chwilę między nami stał. Chociaż tak bardzo się różniliśmy, byliśmy jego dziećmi, jego dziwną, jedyłą w swoim rodzaju spuścizną.

Debora nagle złagodniała i znowu wyglądała jak człowiek, czego dawno u niej nie widziałem. Patrzyła na mnie bardzo długo, a potem się odwróciła.

- Jesteś moim bratem, Dex. - Dawałem głowę, że nie to chciała powiedzieć.

- To nie twoja wina - odparłem.

- Cholera jasna, jesteś moim bratem! - warknęła. - Nie wiem, co było między tobą i tatą, bo nigdy nie chcieliście o tym mówić. Ale wiem, co tato zrobiłby na moim miejscu.

- Oddałby mnie w ręce policji - powiedziałem, a ona kiwnęła głową. Coś błyszczało w kąciku jej oka.

- Jesteś moją jedyną rodziną, Dex.

- Fatalnie, co?

Spojrzała na mnie i zobaczyłem w jej oczach łzy. Przez długą chwilę tylko na mnie patrzyła, a ja patrzyłem na łzę, która spływała po jej lewym policzku. Wytarła ją, głęboko odetchnęła i odwróciła się do okna.

- Tak - powiedziała. - Oddałby cię w ręce policji. Ja też tak zrobię. - Patrzyła w pustkę, w dal, na horyzont. - Muszę ich przesłuchać. A ty ustalisz, czy te materiały mają znaczenie dla sprawy. Weź nagranie, idź do domu i sprawdź, co się da. Skończ robotę i przed powrotem na komendę przyjadę do ciebie. Przyjadę, a ty powiesz mi to, co będziesz miał do powiedzenia. - Zerknęła na zegarek. - O ósmej. I jeśli będę musiała cię aresztować, to cię aresztuję. - Znowu na mnie spojrzała i patrzyła jeszcze dłużej niż przedtem. - Niech cię szlag, Dexter - powiedziała cicho i wyszła.

Wyjrzałem przez okno. Przed wejściem kłębił się ten sam tłum reporterów, policjantów i gapiów. Daleko za parkingiem widziałem autostradę pełną samochodów i ciężarówek pędzących z obowiązującą u nas prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W zamglonej dali za autostradą strzelały w niebo drapacze chmur Miami.

A tu, na pierwszym planie, stał biedny, blady, bezsilny Dexter, patrząc przez okno na nieme miasto, które nie powiedziało mu nic nawet wtedy, gdyby umiało mówić.

Niech cię szlag, Dexy.

Nie wiem, jak długo tak stałem, ale w końcu dotarło do mnie, że przez okno nie wypatrzę żadnych odpowiedzi. Odpowiedzi takie mogły jednak kryć się w komputerze kapitana Pryszczatego. Podszedłem do biurka. Komputer miał nagrywarkę. W górnej szufladzie znalazłem pudełko płyt CD. Włożyłem jedną do nagrywarki i skopiowałem nagranie. Wyjąłem płytę i zważyłem ją w rękę: ona też nie miała mi nic do powiedzenia, a cichutki chichot, który nagle usłyszałem, musiał być produktem mojej wyobraźni. Ale na wszelki wypadek skasowałem nagranie z twardego dysku.

Policjanci z Broward mnie nie zatrzymali ani nawet do mnie nie zagadali, chociaż wydawało mi się, że patrzą na mnie z podejrzliwą obojętnością.

Zastanawiałem się, jak to jest mieć sumienie. Pewnie nigdy się tego nie dowiem - w przeciwieństwie do biednej Debory, rozdartej poczuciem lojalności wobec tyłu idei i przekonań, że pewnie nie mogły żyć razem w jednym mózgu. Podziwiałem jej inteligencję, to, że kazała mi ustalić, czy nagranie ma istotne znaczenie dla sprawy. Bardzo sprytne. Było w tym coś z Harry'ego. To tak, jak zostawić nabity rewolwer przyjacielowi i wyjść z pokoju, wiedząc, że poczucie winy każe mu pociągnąć za spust i zaoszczędzić miastu kosztów procesu. Zhańbione sumienie nie mogło po prostu dalej żyć, nie w świecie Harry'ego.

Ale, o czym Harry dobrze wiedział, świat ten umarł już dawno temu, a ja nie miałem ani sumienia, ani poczucia wstydu czy winy. Miałem tylko płytkę CD z serią zdjęć. W dodatku zdjęcia te były jeszcze bardziej absurdalne niż sumienie.

Nie, musiało istnieć rozwiązanie, które nie uwzględniało Dextera. Ani Dextera, ani tego, że śpiąc, jeździł furgonetką po Miami. Naturalnie jeździć tak potrafi większość kierowców, ale oni są przynajmniej częściowo przytomni, siadając za kierownicą, prawda? No, a ja, czujny, bystrooki Dexter, facet zupełnie niepodobny do monstrów, które grasują nocą po mieście i nieświadomie zabijają? Nie, to niemożliwe: należałem do tych, którzy zabijając, pragną chłonąć tę chwilę od początku do końca. No i kwestia zasadnicza: wieczór na autostradzie. Było fizycznie niemożliwe, żebym rzucił tą głową sam w siebie. Prawda?

Chyba że wmówiłbym sobie, iż jestem w stanie być w dwóch miejscach naraz, co w sumie miałyby sens, zważywszy że jedyną alternatywą było to, że tylko mi się tak zdawało, że tylko myślałem, iż siedzę w samochodzie i widzę, jak ktoś rzuca we mnie głową, podczas gdy tak naprawdę rzuciłem nią sam, a potem...

Nie. Przecież to absurd. Mózg miałem co prawda w strzępach, ale nie mogłem żądać, żeby uwierzył w bajki. Tak, musiało istnieć proste, logiczne wytłumaczenie i na pewno je znajdę i chociaż brzmiało to tak, jakbym chciał wmówić sobie, że pod łóżkiem niczego nie ma, powiedziałem to na głos:

- Istnieje proste, logiczne wytłumaczenie. -
A ponieważ nigdy nie wiadomo, czy ktoś nas nie podsłuchuje, szybko dodałem: - A pod łóżkiem niczego nie ma.

Ale i tym razem jedyną odpowiedzią było wymowne milczenie Mrocznego Pasażera.

Mimo radosnej żądzы krwi trawiącej kierowców na autostradzie w drodze do domu nie wpadłem na żaden pomysł. Dokładniej mówiąc, na żaden sensowny pomysł. Pomysłów głupich miałem co niemiara. Ale wszystkie obracały się wokół przesłanki, że wasz ulubiony potworek nie ma piątej klepki, z czym za nic nie mogłem się pogodzić. Może dlatego,

że nie czułem się wcale bardziej obłąkany niż przedtem. Bo przecież nie zauważyłem, żeby ubyło mi szarej substancji. Nie zauważyłem, żebym myślał wolniej czy dziwaczniej, no i jak dotąd nie gadałem z duchami, a przynajmniej nic o tym nie wiedziałem.

Nie licząc snów, naturalnie. Ale czy sny naprawdę się liczyły? Czy nie jest tak, że we śnie wszyscy jesteśmy obłąkani? Czyż sen nie jest procesem, dzięki któremu możemy wrzucić nasz obłąd do mrocznej jamy, jaką jest podświadomość, obudzić się rano i zjeść na śniadanie płatki, zamiast dziecka sąsiada?

Nie licząc snów, wszystkie pozostałe elementy pasowały jak ulał: to nie ja, tylko ktoś inny rzucił we mnie głową. To ktoś inny podarował mi lalkę Barbie i ułożył zwłoki w intrygujący wzór. Ktoś inny. Nie ja, nie wasz dobry, drogi Dexter. I to nie ja byłem na zdjęciach na płytce. Obejrzę je i raz na zawsze udowodnię, że...

Mogę być jednak zabójcą?

Brawo, Dexter. Bardzo dobrze. A mówiłem, że istnieje proste, logiczne wytłumaczenie. To po prostu ktoś inny, kto tak naprawdę jest mną. Oczywiście. Wszystko trzyma się kupy, prawda?

Dojechałem do domu i ostrożnie zajrzałem do mieszkania. Wyglądało na to, że nikt tam na mnie nie czeka. Naturalnie nie było żadnego powodu, żeby ktoś czekał. Jednakże myśl, że terroryzujący miasto lucyfer wie, gdzie mieszkam, była trochę denerwująca. Zdażył już udowodnić, że jest potworem, który nie cofnie się przed niczym. Że może przychodzić tu o każdej porze dnia i nocy i podrzucać mi głowy lalek. Zwłaszcza jeśli jest mną.

Ale oczywiście mną nie był. Naturalnie, że nie. Wypatrzę na zdjęciach jakiś mały, malutki szczegół, który dowiedzie, że podobieństwo jest zupełnie przypadkowe. Że przypadkowe jest również to, iż potrafię tak dobrze wczuć się w prawdziwego

mordercę. Tak, to na pewno seria okropnych, całkowicie logicznych przypadków. Chyba powinienem zadzwonić do redakcji Guinnessa. Ciekawe, jaki jest rekord niepewności, czy popełniło się serię zabójstw, czy nie.

Puściłem płytę Philipa Glassa i usiadłem w fotelu. Muzyka poruszyła wypełniającą mnie pustkę i po kilku minutach odczułem przyływ spokojnej, zimnej logiki. Włączyłem komputer. Włożyłem płytkę i obejrzałem zdjęcia. Powiększałem je i oddalałem, robiłem wszystko, co umiałem, żeby oczyścić je i wyostrzyć, w tym rzeczy, o których tylko słyszałem i które wymyśliłem na poczekaniu. Nie poskutkowało. Nie posunąłem się do przodu ani o krok i skończyłem tam, gdzie zacząłem. Wyostrenie twarzy mężczyzny na zdjęciach było po prostu niemożliwe, nie przy tej rozdzielczości. Mimo to nie zrezygnowałem. Obróciłem zdjęcia i obejrzałem je pod innym kątem. Wydrukowałem je i obejrzałem pod światło. Zrobiłem wszystko, co na moim miejscu zrobiłby każdy normalny człowiek i chociaż naśladowanie *Homo sapiens* szło mi doskonale, nie odkryłem nic ponad to, że mężczyzna jest ludzako podobny do mnie.

Nie mogłem rozróżnić żadnych szczegółów, nawet szczegółów ubrania. Miał na sobie koszulę, która mogła być biała, brązowa, żółta, a nawet błękitna. Stał w świetle argonowego reflektora, a te świecą upiornym, różowo pomarańczowym światłem. Dodać do tego niską rozdzielczość ekranu monitora i nic więcej nie było tam widać. No i był w spodniach, długich, luźnych i jasnych. Krótko mówiąc, miał na sobie ubranie, które mógł mieć dosłownie każdy, łącznie ze mną. W ubrania z mojej szafy mogłbym wyposażyć cały pluton sobowtórów Dextera.

Udało mi się powiększyć fragment obrazu, na którym widać było bok furgonetki, i odczytać z niego kilka liter: literę „A”,

a poniżej litery „B”, „R” i „C” albo „O”. Furgonetka stała pod kątem, tak że widziałem tylko to.

Zdjęcia nie podsunęły mi żadnej wskazówki. Obejrzałem je jeszcze raz: mężczyzna zniknął, pojawił się i zniknął ponownie, tym razem z furgonetką. Brak dobrej perspektywy, ani jednego, choćby przypadkowego ujęcia tablicy rejestracyjnej, ani jednego powodu, żeby z całym przekonaniem stwierdzić, że jest to - lub nie jest - nasz dobry, drogi Dexter.

Kiedy w końcu oderwałem wzrok od ekranu monitora, za oknem było już ciemno. Wtedy zrobiłem coś, co każdy normalny człowiek zrobiłby już kilka godzin wcześniej: rzuciłem to w cholerę. Teraz mogłem jedynie czekać na Deborę. I pozwolić, żeby moja biedna, udręczona siostrzyczka zawiozła mnie do aresztu. Bo tak czy inaczej, byłem winny. Tak czy inaczej, powinno się mnie zamknąć. Może wsadzą mnie do jednej celi z McHale'em. Nauczyłyby mnie tańczyć szczyrzy taniec.

I pomyślawszy to, zrobiłem coś cudownego.

Zasnąłem.

Nic mi się nie śniło. Nie miałem wrażenia, że opuszczam własne ciało i dokąś szybuję. Nie widziałem parady upiornych, zdekapitowanych, bezkrwawych ciał. Nie tańczyły mi w głowie śliwki w czekoladzie. Nie było tam dosłownie nic, nawet mnie, tylko czarny, beczasowy sen. Mimo to kiedy obudził mnie dzwonek telefonu, od razu wiedziałem, że chodzi o Deborę, że siostra nie przyjdzie. Ręka spociała mi się, zanim zdążyłem podnieść słuchawkę.

- Mówi kapitan Matthews. Z detektyw Morgan poproszę.

- Nie ma jej - odparłem i na myśl o tym, co to oznacza, poczułem, że coś się we mnie zapada.

- Hm. Cóż, nie tak mi... Kiedy wyszła?

Odruchowo zerknąłem na zegarek; był kwadrans po dziewiątej i spociałem się jeszcze bardziej.

- W ogóle nie wyszła. Nie było jej tu.

- Powiedziała, że jedzie do pana. Jest na służbie, powinna tam być.

- Jak widać, nie dojechała.

- Cholera. Mówiła, że ma pan jakieś dowody.

- Bo mam - odparłem. I odłożyłem słuchawkę.

Miałem dowody, byłem tego przerażająco pewny. Nie wiedziałem tylko, jakie. Musiałem się tego dowiedzieć i zostało mi bardzo mało czasu. Konkretnie mówiąc, nie mnie, tylko Deborze.

I znowu nie byłem pewny, skąd o tym wiem. Nie powiedziałem na głos: „On ma Deborę”. Przed oczami nie stanął mi niepokojący obraz tego, co nieuchronnie

ją czekało. Nie musiałem też przeżywać nagłego olśnienia ani myśleć: O rety, Deb powinna już tu być, to zupełnie do niej niepodobne. Po prostu wiedziałem, tak samo jak obudziwszy się, wiedziałem, że siostra wyjechała i nie dojechała. Wiedziałem również, co to znaczy.

Miał ją.

Uprowadził ją ze względu na mnie. Na pewno. Zataczał coraz węższe i węższe kręgi, był u mnie w domu, za pośrednictwem swoich ofiar przesyłał mi wiadomości, prowokował mnie aluzjami i fragmentami obrazów tego, co robi. A teraz był tak blisko, jak blisko można być, nie przebywając z kimś w jednym pokoju. Porwał Deborę i czekał. Czekał na mnie.

Ale gdzie? I ile czasu upłynie, zanim straci cierpliwość i zacznie bawić się beze mnie?

Jeśli zacznie, doskonale wiedziałem, z kim będzie się bawił: z Deborą. Jechała do mnie w stroju prostytutki i była dla niego jak świąteczny prezent. Pomyślał pewnie, że to Boże Narodzenie. Uprowadził ją i dziś wieczorem siostra będzie jego miłą i bardzo wyjątkową przyjaciółką. Przywiązana do stołu, z ustami zaklejonymi taśmą, będzie patrzyła, jak powoli, kawałek po kawałku znika na zawsze z tego świata. Nie chciałem tak o niej myśleć, jednocześnie wiedziałem, że tak będzie. W innych okolicznościach powiedziałbym, że czeka nas upojny wieczór - ale nie z Deborą. Nie chciałem tego. Nie chciałem, żeby zrobił coś trwałego i cudownego. Nie dzisiaj. Może kiedy indziej, komuś innemu. Kiedy się trochę lepiej poznamy. Ale nie teraz. Nie mojej siostrze.

Od razu poczułem się lepiej. Jak to miło, że wreszcie to ustaliłem. Wolałem Deborę żywą i całą, zamiast Debory martwej i w bezkrwawych kawałkach. Urocze. Niemal ludzkie. Ale co dalej? Mógłbym zadzwonić do Rity i zabrać ją do kina

czy na spacer do parku. Albo, hm... Albo na przykład... uratować Deborę? Świetnie, fantastycznie, tylko...

Jak?

Oczywiście miałem kilka wskazówek. Znałem sposób jego myślenia, bo ostatecznie sam tak myślałem. Poza tym chciał, żebym go znalazł. Wiadomość była jasna i wyraźna. Gdybym mógł wybić sobie z głowy te głupie i rozpraszające myśli – te wszystkie sny i marzenia o uganianiu się za dobrymi wrózkami rodem z New Age – na pewno bym go namierzył, szybko i logicznie. Przecież nie uprowadziłyby Debory, nie podsuwając mi jednocześnie wskazówek, dzięki którym każdy inteligentny potwór łatwo by go znalazł.

A więc dobrze, dzielny Dexterze, znajdź go. Wytrop porywacza. Niechaj twoja nieugięta logika mknie po pustkowiu niczym stado mroźnych wilków. Niechaj twój wielki umysł wrzuci najwyższy bieg. Niechaj rozgrzaną do czerwoności koniugację mejotyczną chromosomów twojego potężnego mózgu ochłodzi wiatr, niechaj twe myśli ułożą się w piękny, jednoznaczny i nieuchronny wniosek. Naprzód, Dexterze! Do boju!

Dexter?

Halo? Jest tam ktoś?

Najwyraźniej nie. Nie czułem ani wiatru, ani swądu rozgrzanych synaps. Byłem pusty jak nigdy dotąd. Nie kłębiły się we mnie żadne uczucia, bo ich po prostu nie mam, mimo to rezultat był zniechęcający. Byłem odrętwiały i wyczerpany, jakbym naprawdę coś odczuwał. Debora. Groziło jej straszliwe niebezpieczeństwo: mogła stać się fascynującym dziełem sztuki performance. A jej jedyną nadzieją na dalszą egzystencję – nie licząc tej w postaci serii zdjęć na tablicy w policyjnym laboratorium kryminalistycznym – był jej bezrozumny, beznadziejny brat. Durny Dexter, który siedział sobie w fotelu,

podczas gdy jego mózg kręcił się w kółko, ścigając własny ogon i wyjąc do księżyca.

Wziąłem głęboki oddech. Musiałem być sobą bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Skupiłem się, uspokoiłem i kiedy moja czaszkę wypełniła echem cząstka dawnego Dextera, zdałem sobie sprawę, jak bardzo stałem się ludzki i głupi. Nie było tu żadnej tajemnicy. Wprost przeciwnie, rzecz była zupełnie oczywista. Mój demon i przyjaciel zrobił wszystko, co możliwe, nie przysłał mi tylko oficjalnego zaproszenia: „Mam zaszczyt zaprosić Szanownego Pana na wiwisekcję Pańskiej siostry. Serce i dusza nieobowiązkowe”. Lecz ta maleńka iskierka czystej, zdrowej logiki szybko zgasła, gdyż w mojej pulsującej bólem głowie powstała myśl, która wybijając się powoli ponad inne, zatruwała je logiką ohydną i porażającą.

Debora zniknęła, kiedy spałem.

Czy mogło to znaczyć, że znowu zrobiłem to nieświadomie? Bo co, jeśli poćwiartowałem Deborę, poukładałem jej członki w jakiejś małej, zimnej chłodni, a potem...

W chłodni? Skąd ta chłodnia?

Uczucie klaustrofobii. Wrażenie, że pakamera na lodowisku jest w sam raz, taka jak trzeba. Podmuch zimnego powietrza na plecach. Dlaczego to było takie istotne? Dlaczego wciąż do tego powracałem? Bo powracałem przez cały czas, bez względu na to, co się działo. Powracałem do tych samych nielogicznych wspomnień i wciąż nie rozumiałem dlaczego. Co się za tym kryło? I dlaczego, u diabła, mnie to obchodziło? Znaczyło to coś czy nie, musiałem znaleźć miejsce pasujące do moich odczuć i wrażeń, do uczucia klaustrofobii i nieodpartego wrażenia, że to tu. Po prostu nie było innego wyboru: musiałem poszukać jakiegoś małego, zimnego pudła, chłodni albo lodówki. W niej znajdę Deborę albo znajdzie ją tam moje nie ja. Czyż to nie proste?

Nie. Nie proste, tylko prostacko-naiwne. Nie było żadnego sensu zwracać uwagi na upiorne wskazówki napływające ze snów. Sny nie mają nic wspólnego z jawą i to wcale nieprawda, że Freddy Krueger zostawiał na niej ślady swoich szponów. Nie, nie mogłem wypaść z domu i w psychicznym dołku zacząć jeździć bez celu po mieście. Byłem istotą rozumującą chłodno i logicznie. Dlatego jako istota rozumująca chłodno tudzież logicznie, zamknąłem drzwi na klucz i ruszyłem do samochodu. Wciąż nie wiedziałem, dokąd pojedę, jednak silny, wewnętrzny przymus szarpnął cugłami i skierował mnie na parking. Ale sześć metrów od mojego wiernego wozu przystanąłem tak gwałtownie, jakbym nadział się na niewidzialny mur.

W samochodzie paliło się światło.

Na pewno go nie zapaliłem. Parkowałem za dnia, poza tym sprawdziłem, czy dobrze zamknąłem drzwiczki. A przypadkowy złodziej zostawiłby je otwarte, żeby uniknąć niepotrzebnego hałasu.

Podszedłem bardzo powoli, nie wiedząc, co tam znajdę i czy na pewno chcę to zobaczyć. Z odległości półtora metra na fotelu kierowcy nie zobaczyłem niczego. Ostrożnie obszedłem samochód i czując nerwowe mrowienie na karku, zajrzałem z drugiej strony. No i proszę. Leżała tam, a jakże.

Barbie. Znowu. Jeszcze trochę i stanę się właścicielem sporej kolekcji.

Ta była w marynarskiej czapeczce, bluzce bez brzucha i w obcisłych, różowych szortach. W rączce ścisnęła walizeczkę z napisem Cunard .

Uchyliłem drzwiczki, wziąłem lalkę, wyjąłem jej z ręki walizeczkę i otworzyłem ją. Coś z niej wypadło i potoczyło się po podłodze. Małe, okrągłe coś. Do złudzenia przypominało szkolny sygnet Debory, bo na wewnętrznej stronie miało wygrawerowane dwie litery: „D” i „M”. Jej inicjały.

Opadłem na fotel z rączką Barbie w dłoni. Odwróciłem ją na plecy. Zgiąłem jej nogi. Pomachałem rękami. Co wczoraj robiłeś, Dexterku? Och, bawiłem się lalkami, podczas gdy mój przyjaciel ćwiartował moją siostrzyczkę.

Nie traciłem czasu na zastanawianie się, jak ta mała, marynarska dziwka trafiła do mojego samochodu. Wiedziałem, że jest to jakaś wiadomość - a może wskazówka? Ale wskazówki zwykle coś wskazują, tymczasem ta chciała mnie najwyraźniej zwieźć. Mój demon uprowadził Deborę, to było pewne. Ale CUNARD? Co pasażerskie linie żeglugowe miały wspólnego z ciasnymi, zimnymi pomieszczeniami do wiwisekcji i ćwiartowania zwłok? Nie dostrzegałem w tym żadnego związku. W Miami było tylko jedno miejsce, gdzie związek taki mógł zaistnieć.

Z Douglas skręciłem w prawo, do Coconut Grove i musiałem zwolnić, żeby nie przejechać któregoś z rozradowanych debili tańczących między sklepami i kawiarniami. Zdawało się, że mają za dużo czasu i pieniędzy i za mało oleju we łbie, ale ponieważ było ich naprawdę dużo, jechałem bardzo powoli, o wiele wolniej niż powinienem - z drugiej jednak strony, po co miałem się denerwować, skoro i tak nie wiedziałem, dokąd jadę. Wiedziałem tylko, że dokądś, przed siebie. Bayfront Drive, Brickle, śródmieście. Wszędzie widziałem olbrzymie neony z błyskającymi strzałkami i zachęcającymi słowami: „Na wiwisekcję!” Mimo to jechałem dalej i wreszcie dotarłem do American Airlines Arena i do autostrady MacArthura. Zerknąłem w stronę areny i tuż za nią zobaczyłem nadbudówkę okrętu pasażerskiego przy nabrzeżu Government Cut. Nie była to naturalnie nadbudówka statku linii Cunard, mimo to wyteżyłem wzrok w poszukiwaniu jakiegoś znaku czy wskazówki. Było oczywiste, że mój demon nie chce skierować mnie na statek pasażerski; na statku było za dużo ludzi, za dużo wścibskich urzędasów. Ale na pewno chodziło

mu o coś takiego, o coś zbliżonego, a skoro tak, musiało mu chodzić o... Tu skończyły mi się pomysły. Patrzyłem na okręt tak intensywnie, że jeszcze trochę i stopiłbym wzrokiem nadbudówkę rufową, lecz na próżno. Debora nie wyskoczyła z ładowni i nie zbiegła na ląd, tańcząc po trapie.

Rozejrzałem się. Za statkiem, niczym porzucone rekwizyty z *Gwiezdnych wojen*, strzelały w niebo portowe dźwigi. Nieco dalej, w cienistym mroku za dźwigami, stały ledwo widoczne z tej odległości kontenery, mnóstwo bezwładnie rozrzuconych stalowych pudeł przypominających gigantyczne klocki, które znudzony chłopczyk wysypał z pudełka; niektóre z nich były chłodzone. A za kontenerami...

Chwileczkę, Dexterku, wróć.

A któż to do mnie szeptał? Kto mruczał te ciche słowa do smętnego, samotnego Dextera? Kto za mną siedział? Kto tak chichotał? I dlaczego? Jaka wiadomość tłukła się w mojej pustej, pozbawionej mózgu czaszce?

Kontenery.

Chłodzone kontenery.

Ale dlaczego akurat kontenery? Z jakiego powodu miałbym zainteresować się nagle stertą zimnych, ciasnych, klaustrofobicznych pudeł?

No tak. Jeśli ująć to w ten sposób...

Czy to możliwe, żeby mieściło się tu w przyszłości muzeum narodzin Dextera? Takie z eksponatami naturalnej wielkości, gdzie pokazywano by jakże rzadko widywaną wiwisekcję jego jedynej siostry?

Szarpnąłem kierownicą i zajechałem drogę bmw z bardzo głośnym klaksonem. Choć raz zachowując się jak na mieszkańca Miami przystało, pokazałem kierowcy środkowy palec i zjechałem z autostrady.

Okręt stał po lewej stronie. Plac z kontenerami był po prawej, za wysokim ogrodzeniem zwieńczonym ostrym jak brzytwa drutem kolczastym. Zmagając się z narastającą falą pewności i coraz głośniejszym chórem czegoś, co brzmiało jak pieśń bojowa Mrocznego Pasażera, dojechałem do drogi dojazdowej. Na końcu drogi stała budka. Był tam również szlaban, przed którym leniuchowało kilku umundurowanych dżentelmenów i pod którym nie sposób było przejechać, nie odpowiadając na serię kłopotliwych pytań. Przepraszam, czy mógłbym się tu rozejrzeć? Widzi pan, myślę, że mój przyjaciel ćwiartuje tu moją siostrę.

Dziesięć metrów przed szlabanem zawróciłem między pomarańczowymi pachołkami i pojechałem z powrotem. Statek miałem teraz po prawej. Tuż przed mostem na stały ład skręciłem w lewo i wjechałem na olbrzymi plac z terminalem portowym po jednej stronie i z ogrodzeniem po drugiej. Ogrodzenie było ozdobione wesołymi znakami ostrzegawczymi Amerykańskiego Urzędu Celnego, które groziły surową karą każdemu, kto zbłądzi na ten teren, i ciągnęło się skrajem dużego, pustego o tej porze parkingu.

Jechałem i patrzyłem na kontenery. Przyplłynęły zza granicy i czekały na kontrolę, dlatego dobrze ich pilnowano. Trudno tam było wejść, a jeszcze trudniej wyjść, zwłaszcza z podejrzanym ładunkiem półciartowanych zwłok czy czegoś w tym rodzaju. Nie, musiałem poszukać innego miejsca albo przyznać, że poleganie na niejasnych przeczuciach po serii szyderczych snów i po zabawie skąpo ubraną lalką Barbie jest czystą stratą czasu. Im szybciej przyznam, że nie miałem racji, tym większe będę miał szanse na odnalezienie siostry. Bo tu jej nie było. Nie było też żadnego powodu, żeby miała być.

Nareszcie logiczna myśl. Od razu poczułem się lepiej i na pewno by mnie to ucieszyło, gdybym w tej samej chwili

nie zobaczył znajomej furgonetki, która parkowała tuż za ogrodzeniem w taki sposób, że zobaczyłem również widniejący na jej drzwiczkach napis: ALLONZO BROTHERS. Prywatny chór w suterynie mojego umysłu zawył tak głośno, że nie usłyszałbym nawet własnego śmiechu, dlatego szybko zjechałem na bok i zaparkowałem. Inteligentna część mojego ja zapukała do frontowych drzwi mózgu i wrzasnęła: „Szybko! Szybko! Naprzód!” Ale ponieważ jednocześnie z tyłu wypełzła na okno oślizgła jaszczurka z czujnie wysuniętym rozdwójonym językiem, minęło sporo czasu, zanim wreszcie wysiadłem.

Podszedłem do ogrodzenia i stanąłem przed nim jak aktor grający epizodyczną rolę w filmie o obozie jenieckim z czasów II wojny światowej, który z palcami kurczowo zaciśniętymi na siatce tęsknym wzrokiem patrzy na to, co znajduje się ledwie kilka niemożliwych do pokonania metrów za nią. Byłem pewien, że łatwo można się tam dostać, że stworzenie tak cudownie inteligentne jak ja bez trudu znajdzie jakiś sposób, jednak za nic nie mogłem połączyć jednej myśli z drugą, co mówiło, w jakim byłem stanie. Musiałem tam wejść i nie mogłem. Dlatego stałem przed siatką i patrzyłem na furgonetkę, doskonale wiedząc, że tam, ledwie kilka kroków dalej, są wszystkie najważniejsze odpowiedzi. Patrzyłem na nią i myślałem, lecz ilekroć mój gigantyczny umysł rzucał jakąś myśl, myśl ta odbijała się od furgonetki jak kamień od ściany i wracała do mnie bez żadnego rozwiązania. Mózg lubi wychodzić na przechadzkę w najbardziej nieodpowiednich chwilach, prawda?

Na tylnym siedzeniu samochodu zaterkotał budzik. Musiałem odejść, i to natychmiast. Była noc, a ja łąziłem po dobrze strzeżonym terenie. Któryś ze strażników mógł w każdej chwili zainteresować się młodym, przystojnym mężczyzną wypatrującym czegoś przez płot. Tak, musiałem odjechać i poszukać wejścia. Cofnąłem się, posławszy

furgonetce ostatnie tęskne spojrzenie. I wtedy... Tuż pod nogami, dokładnie w miejscu, gdzie przed sekundą stałem, dostrzegłem ledwo widoczną dziurę. Siatka była przecięta akurat na tyle, żeby przecisnął się przez nią człowiek, a nawet jego sobowtór, taki jak ja. Przecięta, odchylona i przygnieciona kołami furgonetki, żeby nie odskoczyła, nie wróciła z trzaskiem na miejsce i niczego nie zdradziła. Ktoś musiał ją przeciąć niedawno, tej nocy, zaraz po przyjeździe furgonetki.

Miałem przed sobą oficjalne zaproszenie.

Cofnąłem się powoli jeszcze dalej i niby-roztargniony wykrzywiłem twarz, maskując się nieobecny uśmiechem z cyklu: Dzień dobry, witam, sierżancie. Właśnie wyszedłem na spacer. Uroczy wieczór, prawda? W sam raz na małą wiwisekcję. Patrząc na wiszący nad wodą księżyc i wesoło pogwizdując pod nosem, szparkim krokiem wróciłem do samochodu, wsiadłem i odjechałem. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, nie licząc radosnego chóru głosów w głowie. Ruszyłem w kierunku biura linii okrętowych jakieś sto metrów od mojej małej, ręcznie zrobionej bramy do rajki. Stało tam kilka samochodów i mój na pewno nie będzie rzucał się w oczy.

Ale kiedy zaparkowałem, tuż obok zaparkował błękitny chevrolet z kobietą za kierownicą. Przez chwilę siedziałem bez ruchu. Ona też. Wreszcie otworzyłem drzwiczki i wysiadłem.

Wysiadła również detektyw LaGuerta.

Zazwyczaj umiałem wybrnąć z niezręcznych sytuacji towarzyskich, ale muszę przyznać, że ta mnie zaskoczyła. Nie wiedziałem, co powiedzieć i bardzo długo patrzyłem na nią bez słowa; to znaczy, na LaGuertę. Ona patrzyła bez słowa na mnie, nie mrugając i lekko obnażając kły, jak dzika kocica, która zastanawia się, czy zjeść cię, czy się z tobą pobawić. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć bez zająknięcia, a wyglądało na to, że ją interesuje tylko patrzeć. Tak więc, staliśmy naprzeciwko siebie, patrzyliśmy i milczeliśmy. Wreszcie przerwała ciszę dowcipnym pytaniem:

- Co tam jest? - Ruchem głowy wskazała ogrodzenie sto metrów dalej.

- Pani detektyw! - wykrzyknąłem, chyba z nadzieją, że zapomni o swoim pytaniu.

- Jechałam za tobą. Co tam jest?

- Tam? - powtórzyłem. Wiem, riposta była beznadziejna, ale naprawdę wyczerpałem już cały zasób inteligentnych i ciętych, zresztą trudno było oczekiwać, żebym w tej sytuacji wymyślił coś ładnego.

Przekrzywiła głowę, wysunęła czubek języka i oblizała dolną wargę, tak powoli, z lewej strony do prawej i z prawej do lewej.

- Masz mnie za idiotkę - powiedziała. Oczywiście myśl ta kilka razy mi zaświtała, lecz niepolitycznie było o tym wspominać. - Tylko pamiętaj, że ja jestem detektywem, a to jest Miami. Jak myślisz, jakim cudem awansowałam?

- Dzięki urodzie? - rzuciłem z oszłamiającym uśmiechem; komplement nigdy nie zaszkodzi, zwłaszcza w rozmowie z kobietą.

Pokazała mi swoje piękne ząbki, które w świetle parkingowych reflektorów były jeszcze bielsze niż zwykle.

- Dobrze - odparła i wykrzywiła usta w tym dziwnym półuśmiechu, który wsysał policzki i postarzał. - Kupowałam te bzdury, kiedy myślałam, że ci się podobam.

- Ależ podoba mi się pani, naprawdę - zapewniłem ją może trochę zbyt gorliwie.

Chyba mnie nie słyszała.

- Ale kiedy odepchnąłeś mnie i przewróciłeś na podłogę jak jakąś świnię, zaczęłam się zastanawiać, co jest ze mną nie tak. Może jedzie mi z ust? I wtedy mnie olśniło. To nie ze mną jest coś nie tak. Tylko z tobą.

Naturalnie miała rację, jednak trochę mnie to zabolalo.

- Nie rozumiem.

Pokręciła głową.

- Sierżant Doakes ma ochotę cię zabić i nie wie dlaczego. Powinnam go była posłuchać. Coś jest z tobą nie tak. I masz coś wspólnego z tymi zamordowanymi prostytutkami.

- Ja? Coś wspólnego?

Tym razem w jej uśmiechu ujrzałem błysk sadystycznie radosnego podniecenia, a w jej akcencie zabrzmiała kubańska nutka.

- Zachowaj te błazeńskie sztuczki dla adwokata. A może i dla sędziego. Bo tym razem cię mam. - Zaskrzyły jej się oczy. Wyglądała jak monstrum, dokładnie tak samo jak ja, i poczułem nieprzyjemne mrowienie na karku. Czyżbym jej nie docenił? Czy naprawdę była aż tak dobra?

- I dlatego pani za mną jechała?

Znowu błysnęła zębami.

- Tak. Dlaczego ciągle zerkasz na to ogrodzenie? Co tam jest?

W normalnych okolicznościach wpadłbym na to już dawno temu, ale tłumaczy mnie działanie pod przymusem. Dlatego pomyślałem o tym dopiero teraz. Ale kiedy już pomyślałem, w głowie zapaliło mi się małe, boleśnie jaskrawe światełko.

- Gdzie mnie pani namierzyła? - spytałem. - Pod moim domem? O której?

- Dlaczego ciągle zmieniasz temat? Coś tam jednak jest, he?

- Proszę, to może być bardzo ważne. Gdzie i o której zaczęła mnie pani obserwować?

Przyglądała mi się przez chwilę i zdałem sobie sprawę, że jednak jej nie doceniałem. Było w niej dużo więcej niż tylko instynkt polityczny. Tak, miała w sobie to coś. Wciąż nie wiedziałem, czy jest to inteligencja, ale na pewno była cierpliwa, a w jej pracy cierpliwość bywa ważniejsza niż rozum. Była gotowa po prostu czekać, obserwować mnie i zadawać mi to samo pytanie, aż bym odpowiedział. A wtedy zapewne powtórzyłaby je jeszcze kilka razy, znowu by mnie poobserwowała i zobaczyła, co zrobię. W innej sytuacji bez trudu bym ją przechytrył, ale nie tym razem, nie tego wieczoru. Dlatego przybrałem moją najpokorniejszą minę i szepnąłem:

- Proszę...

Znowu wysunęła język i znowu go schowała.

- Dobrze - odparła. - Twoja siostra nie odzywała się przez kilka godzin, więc pomyślałam, że coś knuje. Ale sama nie mogła nic zrobić, więc dokąd pojechała? - Uniosła brew i triumfalnym tonem ciągnęła: - Jak to dokąd? Do ciebie! Żeby z tobą pogadać! - Kiwnęła głową, żeby podkreślić, jak bardzo cieszy ją ta dedukcyjna logika. - No i zaczęłam myśleć o tobie. O tym, że zawsze przyjeżdżasz na miejsce

przestępstwa, chociaż nie musisz. Że rozgryzłeś kilku seryjnych z wyjątkiem tego ostatniego. Że oszukałeś mnie tą zasną listą, że przez ciebie wyszłam na kretynekę, że przewróciłeś mnie na podłogę, że... - Przez chwilę znowu miała starą, zajadłą twarz. - Powiedziałam coś na głos w biurze, a sierżant Doakes na to: „A nie mówiłem? Ale nie chciała mnie pani słuchać”. I nagle wszędzie widzę twoją wielką, przystojną gębę, wszędzie, we wszystkich miejscach, gdzie nie powinno jej być. - Wzruszyła ramionami. - No i pojechałam do ciebie.

- Kiedy? O której? Pamięta pani?

- Nie, ale siedziałam tam najwyżej dwadzieścia minut. Potem wyszedłeś, pobawiłeś się trochę tą pedalską lalką i przyjechałeś tutaj.

- Dwadzieścia minut... - A więc nie widziała, nie mogła widzieć, kto lub co uprowadziło Deborę. I chyba nie kłamała. Pojechała za mną, żeby zobaczyć... Zobaczyć co?

- Ale dlaczego w ogóle mnie pani śledziła?

Wzruszyła ramionami.

- Bo masz z tym coś wspólnego. Może tego nie zrobiłeś, nie wiem. Ale się dowiem. A to, czego się dowiem, na pewno do ciebie przylgnie. Co jest w tych kontenerach? Powiesz mi, czy będziemy stać tu przez całą noc?

Na swój sposób dotknęła sedna rzeczy. Nie mogliśmy tu stać przez całą noc. Nie mogliśmy tu stać ani sekundy dłużej, gdyż w każdej chwili Deborze mogło przydarzyć się coś strasznego. Jeśli już się nie przydarzyło. Musieliśmy iść, teraz, zaraz, natychmiast, musieliśmy znaleźć go i powstrzymać. Tylko jak? Z LaGuertą? Czułem się jak kometa z niechcianym ogonem.

Wziąłem głęboki oddech. Rita zabrała mnie kiedyś na warsztaty zdrowotne New Age, gdzie bardzo podkreślano znaczenie głębokiego, oczyszczającego oddychania. Dlatego odetchnąłem jeszcze raz. Nie poczułem się ani trochę

czystszy, ale ożył przynajmniej mój umysł, to nic, że tylko na sekundę, ponieważ w sekundzie tej zrozumiałem, że muszę zrobić coś, co rzadko kiedy robię: powiedzieć prawdę. LaGuerta wciąż patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź.

- Myślę, że jest tam ten morderca - powiedziałem. - I że wprowadził moją siostrę.

Długo obserwowała mnie bez ruchu.

- Dobrze - odrzekła w końcu. - I dlatego przyjechałeś tu i stanąłeś przy siatce? Tak bardzo kochasz swoją siostrę, że chciałeś sobie popatrzeć?

- Nie, chciałem się tam dostać. Szukałem jakiejś dziury.

- Szukałeś dziury, bo zapomniałeś, że jesteś policjantem?

No tak, tu mnie miała. Od razu wypatrzyła prawdziwy problem, w dodatku sama, bez niczyjej pomocy. Nie miałem na to dobrej odpowiedzi. Mówienie prawdy jest zawsze kłopotliwe i łączy się z nieprzyjemnościami.

- Chciałem... Chciałem się przedtem upewnić, żeby nie narobić niepotrzebnego hałasu.

- Aha - odparła. - Świetnie. Ale powiem ci, co o tym myślę. Albo zrobiłeś coś złego, albo coś o tym wiesz. I albo to ukrywasz, albo chcesz sprawdzić to sam.

- Sam? Ale po co?

Pokręciła głową, żeby pokazać mi, jakie to było głupie.

- Żeby całą zasługę przypisać sobie. Sobie i siostrze. Myślisz, że na to nie wpadłam? Mówiłam ci: nie jestem idiotką.

- To nie mnie szukacie - powiedziałem, zdając się na jej łaskę i dobrze wiedząc, że poczucie litości jest jej jeszcze bardziej obce niż mnie. - Ten, którego szukacie, jest tam, w jednym z tych kontenerów.

Oblizwała usta.

- Dlaczego tak myślisz?

Zawahałem się, lecz LaGuerta wciąż patrzyła na mnie tymi swoimi jaszczurczymi ślepiami. Chociaż czułem się naprawdę nieswojo, musiałem powiedzieć jej coś jeszcze. Wskazałem parkującą za ogrodzeniem furgonetkę.

- To jego samochód.

- Ha! - powiedziała i wreszcie zamrugowała. Rozmył jej się wzrok i chociaż wciąż patrzyła na mnie, odpłynęła w głąb siebie. Myślała o swoich włosach? O makijażu? O dalszej karierze? Tego nie wiedziałem, ale każdy dobry detektyw zadałby na jej miejscu mnóstwo kłopotliwych pytań. Skąd wiem, że to jego wóz? Jak go tu znalazłem? Skąd pewność, że po prostu nie porzucił furgonetki i nie uciekł? Rzecz w tym, że LaGuerta nie była dobrym detektywem i nie umiała analizować danych. Dlatego tylko kiwnęła głową i znowu oblizwała usta.

- Jak go tam znajdziemy?

A jednak jej nie doceniałem. Bez zająknięcia przeszła od „ty” do „my”.

- Nie wezwie pani wsparcia? - spytałem. - To bardzo niebezpieczny człowiek. - Chciałem jej tylko dogryźć, ale wzięła to na poważnie.

- Jeśli nie schwytam go sama, za dwa tygodnie będę pilnowała liczników parkingowych - odparła. - Mam broń. Nie ucieknie mi. Wezwę wsparcie, kiedy go aresztuję. - Przekrzywiła głowę. - A jeśli go tam nie będzie, aresztuję ciebie.

Uznałem, że lepiej tego nie komentować.

- I przeprowadzi nas pani przez szlaban? - spytałem. - Da pani radę?

Roześmiała się.

- Oczywiście, że dam. Mam odznakę, wejść, gdzie zechcę. Co potem?

Właśnie to było najdelikatniejsze i najtrudniejsze. Gdyby to kupiła, istniała szansa, że wrócę do domu wolny jak ptak.

- Potem rozdzielimy się i poszukamy.

Przyglądała mi się. I znowu na jej twarzy ujrzałem to, co zobaczyłem, gdy wysiadła z samochodu: minę drapieżnika wążącego losy ofiary, zastanawiającego się, kiedy i gdzie zaatakować, ilu użyć szponów. To było straszne - naprawdę zaczynałem ją lubić.

- Dobrze - powiedziała i ruchem głowy wskazała swój wóz. - Wsiadaj.

Wsiadłem. Dojechaliśmy do asfaltówki, potem do szlabanu. Nawet o tej porze panował tu spory ruch. Większość ludzi wyglądała na turystów z Ohio szukających drogi na statek, mimo to kilkoro z nich utknęło przed szlabanem i zostało odesłanych z powrotem. Detektyw LaGuerta przebiła się na początek kolejki. Umiejętności kierowców ze środkowego zachodu nie umywają się do umiejętności Kubanki z Miami, która ma wysokie ubezpieczenie na życie i samochód, o który nie dba. Wściekle zatrąbiły klaksony, rozległ się czyjś stłumiony krzyk i stanęliśmy przed szlabanem.

Z budki wychylił się szczupły, muskularnie zbudowany Murzyn.

- Proszę pani, tędy nie wolno...

LaGuerta pokazała mu odznakę.

- Policja. Otwierać. - Powiedziała to tak władczym tonem, że omal nie wyskoczyłem z samochodu i nie podniosłem szlabanu sam.

Murzyn zamarł, wciągnął ustami powietrze i nerwowo zerknął za siebie.

- Czego tu...

- Otwieraj ten pieprzony szlaban! - LaGuerta potrząsnęła blachą i Murzyn w końcu ożył.

- Niech pani pokaże - powiedział. LaGuerta bezwładnie opuściła rękę i żeby obejrzeć odznakę, strażnik musiał zrobić krok do przodu. Zmarszczył czoło, ale nie dopatrzył się niczego podejrzanego. - Aha - mruknął. - Można wiedzieć, czego tu szukacie?

- Można, ale jeśli za dwie sekundy nie podniesiesz szlabanu, wpakuję cię do bagażnika, zawiozę do miasta, zamknę w celi pełnej spedalonych motocyklistów i zapomnę, gdzie cię zamknęłam.

- Chciałem tylko pomóc. - Murzyn wyprostował się, zerknął przez ramię i zawołał: - Tawio, szlaban.

Szlaban powędrował do góry, LaGuerta chrząknęła i ruszyliśmy.

- A to sukinsyny. Coś się tu dzieje, oni coś knują. - Powiedziała to z rozbawieniem i z narastającym podnieceniem w głosie. - Ale przemyt mam dzisiaj gdzieś. - Spojrzała na mnie. - Gdzie jedziemy?

- Nie wiem - odparłem. - Zaczniemy chyba od furgonetki.

Kiwnęła głową i pomknęliśmy przejściem między kontenerami.

- Jeśli chce wynieść zwłoki, musiał zaparkować blisko miejsca, gdzie teraz jest. - Przed ogrodzeniem zwolniła, potem zwolniła jeszcze bardziej i znaleźliśmy się piętnaście metrów od furgonetki. - Obejrzyjmy ten płot - rzuciła, przesuwając dźwignię biegów na „Parkowanie” i wysiadając w chwili, gdy samochód zatrzymał się i zakołysał.

Ja też wysiadłem. LaGuerta wdepnęła w coś, w co chyba nie chciała wdepnąć, i podniosła nogę, żeby obejrzeć but.

- Cholera jasna - zakląła.

Minąłem ją z walącym sercem i obszedłem furgonetkę, sprawdzając drzwiczki. Wszystkie były zamknięte i chociaż z tyłu były dwa okna, zamalowano je od wewnątrz farbą.

Stałem na zderzaku i spróbowałem zajrzeć do środka, ale nie znalazłem żadnej szpary. Z tej strony nie było nic więcej do oglądania, mimo to przykucnąłem i popatrzyłem na ziemię. Wyczułem, że bezszelestnie podpełzła do mnie LaGuerta.

- Co masz? - spytała i wstałem.

- Nic. Okna są zamalowane od środka.

- A te z przodu?

Obszedłem furgonetkę jeszcze raz, ale z przodu też nic nie znalazłem. Za przednią szybą rozstawiono tak popularny na Florydzie ekran przeciwsłoneczny, który opierając się o deskę rozdzielczą, skutecznie zasłaniał widok. Stałem na zderzaku, wszedłem na maskę, przeczołgałem się po niej z prawej do lewej, ale w ekranie też nie było żadnych szpar.

- Nic - powiedziałem i zeskoczyłem na ziemię.

- Dobra - odrzekła LaGuerta, patrząc na mnie spod przymkniętych powiek i wysuwając czubek języka. - Którędy chcesz iść?

Tędy, szepnął ktoś z głębi mojego mózgu. Tędy! Zerknąłem w prawo, bo pokazywał tam palcem, a potem spojrzałem na LaGuertę, która przesywała mnie wzrokiem wygłodniałej tygrysicy.

- Pójdę w lewo i zatoczę koło - powiedziałem. - Spotkamy się w połowie drogi.

- Dobrze - odrzekła z drapieżnym uśmiechem. - Z tym, że w lewo pójdę ja.

Udałem zaskoczonego i zasmuczonego i chyba udało mi się dobrze zagrać, bo kiwnęła głową.

- Dobrze - powtórzyła i skręciła w przejście między dwoma pierwszymi rzędami kontenerów.

Zostałem sam na sam z moim wstydliwym wewnętrznym doradcą i przyjacielem. Co teraz? Wykiwałem ją i mogłem spokojnie pójść w prawo, tylko po co? Nie miałem żadnego

powodu, by myśleć, że pójście w prawo będzie lepsze od pójścia w lewo albo od stania pod płotem i liczenia orzechów kokosowych na najbliższej palmie. Popychał mnie tam jedynie sykliwy chór głosów, ale czy to na pewno wystarczy? Kiedy jest się lodową wieżycą czystego rozsądku, jaką zawsze byłem, szuka się logicznych wskazówek, które by tobą pokierowały. Ignoruje się również irracjonalny i nieobiektywny chór skrzekliwych głosów z dna mózgu, który próbuje zepchnąć cię na złą drogę, i to bez względu na tempo, w jakim pożera światło księżycy.

Jeśli zaś chodzi o resztę, czyli o moją marszrutę... Popatrzyłem na długie, nierówne rzędy stalowych pojemników. Po lewej stronie przejścia, tam, gdzie zniknęła LaGuerta i jej szpilki, w kilku rzędach stały pomalowane na jaskrawy kolor naczepy i przyczepy. A przede mną, od lewej strony do prawej, rósł las kontenerów.

Nagle ogarnęła mnie niepewność. Paskudne uczucie. Zamknąłem oczy. Gdy tylko je zamknąłem, szept zmienił się w nawałnicę dźwięków i nie wiedząc dlaczego, ruszyłem w kierunku grupy kontenerów nad wodą. Nie kierowało mną nic świadomego, nic, co mówiłoby, że kontenery te są inne czy lepsze lub że kierunek ten jest bardziej odpowiedni czy korzystniejszy. Moje stopy po prostu drgnęły, ożyły, poszły przed siebie, a ja poszedłem z nimi. Wyglądało to tak, jakby kroczyły trasą, którą widziały jedynie palce, jakby zawodzenie mojego wewnętrznego chóru narzucało im skomplikowany wzór, który one odpowiednio interpretowały i przekładały na ruch.

Gdy tylko drgnęły, chór przybrał na sile, przeszedł w stłumiony, hałaśliwie wesoły ryk, który ciągnął mnie szybciej niż stopy, który potężnymi szarpnięciami ciskał mną to w lewo, to w prawo. Pojawił się również nowy głos, cichutki i rozsądny, głos, który powstrzymywał mnie i popychał do tyłu, który

mówił, że nie chcę tu być, który na mnie krzyczał, każąc mi uciekać i wracać do domu, i którego nie rozumiałem tak samo jak pozostałych głosów. Coś ciągnęło mnie do przodu, jednocześnie odpychało z tak potężną siłą, że przestałem panować nad nogami, potknąłem się i upadłem na twardą, kamienistą ziemię. Ukląknęłam i z walącym jak oszalałe sercem i spierzchniętymi ustami wymacałem dziurę w mojej pięknej, dakronowej koszuli. Wetknąłem w nią palec i pokiwałem nim do siebie. Cześć, Dexterku. Gdzie idziesz? Cześć, paluszk. Nie wiem, ale jestem już blisko. Słyszę, jak wołają mnie przyjaciele.

Wstałem, zachwiałem się i wytężyłem słuch. Teraz słyszałem to wyraźnie nawet z otwartymi oczami i czułem tak mocno, że nie mogłem zrobić ani kroku. Przez chwilę opierałem się o kontener. Wielce trzeźwiąca myśl, jakbym jej teraz potrzebował. Rodziło się tu coś bezimiennego, coś, co żyło w najgłębszych i najciemniejszych zakamarkach tego, czym byłem, i pierwszy raz w życiu ogarnął mnie strach. Nie chciałem być tam, gdzie czyhały potwory. Ale musiałem znaleźć Deborę. Rozrywała mnie na pół niewidzialna lina, której jeden koniec ciągnął w jedną stronę, drugi w drugą. Czułem się jak przykład z teorii Freuda i pragnąłem wrócić do domu, do łóżka.

Ale na niebie ryczał księżyc, w nabrzeże biły z rykiem fale, a lekki, nocny wiatr wył nade mną jak stado czarownic, zmuszając stopy do ruchu. Śpiew wezbrał we mnie niczym olbrzymi, mechaniczny chór i chór ten popychał mnie naprzód, uczył, jak poruszać koślawymi nogami, włókł mnie wzdłuż rzędu kontenerów. Serce pojękiwało i waliło jak młotem, oddech był za krótki i o wiele za głośny i pierwszy raz od Bóg wie kiedy poczułem, że jestem słaby, skołowany i głupi – jak człowiek, jak maluczki, bezbronny człowieczek.

Dziwnie znajomą trasą szedłem na pożyczonych stopach dopóty, dopóki mogłem iść, a kiedy już nie mogłem, wyciągnąłem rękę, żeby oprzeć się o kontener z kompresorem chłodziarki na tylnej ścianie. Kompresor nieprzytomnie wył i jego wycie mieszało się z przeraźliwym wyciem nocy, pulsując mi w głowie tak głośno, że prawie oślepiłem. I kiedy oparłem się o kontener, otworzyły się drzwi.

W środku płonęły dwie elektryczne latarnie sztormowe. Pod ścianą stał prowizoryczny stół operacyjny z drewnianych skrzyń.

A unieruchomiona na stole leżała moja kochana siostrzyczka Debora.

Przez kilka sekund nie odczuwałem potrzeby oddychania. Po prostu patrzyłem. Jej ręce i nogi owijały długie kawałki błyszczącej taśmy. Była w szortach ze złocistego brokatu i w skąpej bluzce zawiązanej nad pępkiem. Włosy miała mocno ściągnięte do tyłu, oczy nienaturalnie duże i oddychała gwałtownie przez nos, ponieważ usta też miała zaklejone taśmą, która unieruchamiała również głowę.

Próbowałem coś powiedzieć, ale za bardzo zaschło mi w ustach, więc tylko patrzyłem. Ona patrzyła na mnie. Z jej oczu wyczytałem dużo rzeczy, ale najwyraźniejszy był strach i strach ten sparaliżował mnie w proggu. Nigdy dotąd tak nie wyglądała i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Zrobiłem pół kroku naprzód i szarpnęła się na stole. Bała się? Oczywiście, ale mnie? Przecież przyszedłem ją uratować. Więc dlaczego się bała? Chyba że...

Ja to zrobiłem?

Bo co, jeśli podczas małej „drzemki”, którą uciałem sobie wieczorem, wpadła do mnie zgodnie z umową i stwierdziła, że za kierownicą samochodu Dextera siedzi jego Mroczny Pasażer? Jeśli zupełnie nieświadomie, nic o tym nie wiedząc, przywiozłem ją tu i przykleiłem do stołu? Bzdura. Oczywiście, że bzdura. Bo czy jak w jakimś morderczym wyścigu mogłem popędzić z powrotem do domu, podrzucić sobie lalkę Barbie, pobiec na górę, paść na łóżko i obudzić się jako ja? Niemożliwe, jednak z drugiej strony...

Skąd wiedziałbym, że muszę tu przyjść?

Pokręciłem głową. Nie było sposobu, żebym z setek różnych miejsc w Miami wybrał akurat ten kontener. Chyba że wiedziałem, co wybrać. I wiedziałem. Nasuwała się jedna odpowiedź: musiałem być tu przedtem. Jeśli nie dzisiaj z Deborą, to kiedy i z kim?

- Byłem niemal pewny, że to dobre miejsce - powiedział głos tak podobny do mojego, że przez chwilę myślałem, iż powiedziałem to ja i zacząłem się zastanawiać, o co mi chodziło.

Zrobiłem kolejne pół kroku w stronę siostry i gdy wyszedł z cienia, poczułem, że stają mi dęba włosy na karku. Oświetliło go łagodne światło lamp, spotkaliśmy się wzrokiem, zawirowały wszystkie ściany i nie wiedziałem już, gdzie jestem. Patrzyłem to na siebie, czyli na tego w drzwiach, to na niego, tego przy stole, i zobaczyłem, że ten w drzwiach widzi tamtego i że tamten widzi tego. W oślepiającym rozbłysku światłości zobaczyłem również, jak siedzę nieruchomo na podłodze i przestałem cokolwiek rozumieć. To było bardzo denerwujące, lecz nagle znowu stałem się sobą, chociaż w dalszym ciągu nie do końca wiedziałem, o co tu chodzi.

- Prawie pewny - powtórzył tamten cichym, radosnym głosem zatroskanego dziecka. - Ale skoro tu jesteś, musiałem wybrać dobrze. Nie sądzisz?

Wstyd się przyznać, ale gapiłem się na niego z rozdziawionymi ustami. Chyba się też śliniłem. Stałem tam i się gapiłem. To był on. Bez dwóch zdań. Miałem przed sobą mężczyznę ze zdjęć przyszczatego księcia, człowieka, którego zarówno Debora, jak i ja braliśmy za Dextera, czyli za mnie.

Z tej odległości widziałem, że nie jest jednak mną, a przynajmniej nie do końca, i zalała mnie fala radości. Hura! Byłem kimś innym. Jeszcze nie zwariowałem. Oczywiście, mogłem być antyspołeczny, mogłem sporadycznie mordować ludzi, ale poza tym nic mi nie dolegało. Nie zwariowałem. Był

ktoś inny i ten ktoś nie był mną. Potrójne hura na cześć umysłu Dextera.

Ale ten ktoś był też bardzo do mnie podobny. Może dwa, trzy centymetry wyższy, szerszy w ramionach i mógł uchodzić za intensywnie ćwiczącego kulturystę. Dodać do tego bladą cerę i pomyślałem, że musiał niedawno wyjść z więzienia. Ale nie licząc tego, twarz miał bardzo podobną do mojej. Taki sam nos i układ kości policzkowych, to samo spojrzenie, które mówiło, że światło się pali, ale nikogo nie ma w domu – nawet włosy miał podobne, ni to kręcone, ni to nie. Nie, nie wyglądał dokładnie jak ja, ale był podobny.

- Tak – powiedział. - Trochę to szokujące, prawda?

- Trochę – przyznałem. - Kim jesteś? I co to wszystko... - Nie dokończyłem, ponieważ nie miałem pojęcia, co i dlaczego.

Zrobił minę bardzo rozczarowanego Dextera.

- Ojej. Byłem pewny, że się domyślisz.

Pokręciłem głową.

- Nie wiem nawet, jak tu trafiłem.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Czyżby ktoś inny siedział dzisiaj za kierownicą? - Włosy stanęły mi dęba, a on zachichotał tak krótko i machinalnie, że nie wspomniałbym o tym, gdyby nie fakt, że nutka w nutkę pasował do niego jaszczurczy głos dobiegający z dna mojego umysłu. - I pomyśleć, że to jeszcze nie pełnia.

- Ale i nie nów – odparłem. Kiepska riposta, ale przynajmniej próbowałem być dowcipny, co w tych okolicznościach było ważne. Poza tym zdałem sobie sprawę, że jestem na wpół pijany świadomością, iż jest na tym świecie ktoś, kto wie. Jego uwagi nie były bezcelowe, nieprzypadkowo trafiały w samo sedno świadomości. On wiedział. Pierwszy raz w życiu mogłem spojrzeć przez bezkresną pustkę między moimi oczami

i czyimiś i bez cienia niepokoju powiedzieć: On jest taki sam jak ja.

Nie wiem, czym byłem, ale był tym i on.

- Ale mówiąc poważnie: kim jesteś?

Rozciągnął twarz w uśmiechu Kota z Cheshire, ale ponieważ uśmiech ten był bardzo podobny do mojego, widziałem, że nie ma w nim szczerzej radości.

- Co pamiętasz z dzieciństwa?

Echo tego pytania odbiło się od ścian kontenera, wpadło mi do głowy i omal nie roztrzaskało mózgu.

Co pamiętasz z dzieciństwa – spytał Harry. – No, wiesz. Sprzed adopcji.

- Nic.

Nic oprócz...

Czarnymi zakamarkami umysłu targają jakieś obrazy – sny? marzenia? – wyraźne obrazy, klarowne wizje. Nie, to niemożliwe. Kontener nie mógł tu tak długo stać, na pewno nigdy tu nie byłem. Ale ta klaustrofobiczna ciasnota, to chłodne powietrze z dudniącego kompresora, to przyćmione światło – wszystko to razem tworzyło znajomą symfonię: witaj w domu, Dexter. Oczywiście nie mógł to być ten sam kontener, jednak obrazy przemawiały z tak dużą wyrazistością, były tak znajome, tak namacalne, że niemal prawdziwe. Tylko że...

Zamrugalem. Tuż pod powiekami mignął jakiś obraz. Zamknąłem oczy.

I ujrzałem inne wnętrze. W tym nie było pudeł i skrzyń. Ale były tam inne rzeczy. Tam, obok... mamy? Widziałem samą twarz, bo mama chowała się za... za tymi pudłami, bo zza nich wyglądała. Tak, widziałem tylko twarz, nieruchomą twarz i zupełnie nieruchome oczy. I początkowo chciałem się roześmiać, pochwalić ją, że tak dobrze się ukryła. Zrobiła to naprawdę świetnie, tak dobrze, że oprócz twarzy nie widać było nic więcej. Pewnie znalazła w podłodze jakąś dziurę i to z niej wyglądała. Ale dlaczego nie odpowiadała? Przecież ją zobaczyłem. Dlaczego nawet do mnie nie mrugnęła? Nie odpowiedziała nawet wtedy, gdy do niej zawołałem,

ani nie odpowiedziała, ani się nie poruszyła. Nie zrobiła nic, tylko ciągle na mnie patrzyła. Bez mamy czułem się samotny.

Ale nie, nie całkiem. Odwróciłem głowę i pamięć odwróciła się razem z nią. Nie byłem sam. Ktoś mi towarzyszył. Bardzo mnie to skonsternowało, ponieważ tym kimś byłem ja i jednocześnie nie ja, tylko ktoś, kto wyglądał jak ja albo jak... my.

Co robiliśmy w tym wielkim pudle? I dlaczego mama się nie poruszała? Powinna nam pomóc. Przecież siedzieliśmy w głębokiej kałuży... kałuży... Mama powinna wstać, wyciągnąć nas z tej...

- Krwi? - szepnąłem.

- Przypomniałeś sobie - powiedział ktoś z tyłu. - Tak się cieszę.

Otworzyłem oczy. Potwornie bolała mnie głowa. Niemal widziałem, jak tamto pomieszczenie nakłada się na to. I w tamtym malutki Dexter siedział dokładnie tutaj. Mógłbym postawić w tym miejscu nogę. A obok mnie siedziałem ja numer dwa, ale oczywiście numer dwa nie był mną. Był kimś innym, kimś, kogo znałem równie dobrze jak siebie samego, kimś, kto miał na imię...

- Biney? - powiedziałem niepewnie. Imię zabrzmiało znajomo, choć trochę dziwnie.

Radośnie kiwnął głową.

- Tak mnie nazywałeś. Nie umiałeś powiedzieć: „Brian”. Mówiłeś: „Biney”. - Poklepał mnie po rękę. - Nie szkodzi. Miło jest mieć przydomek... - Uśmiechnął się i nie przestając patrzeć mi prosto w oczy, dodał: - Mały braciszku.

Usiadłem. On usiadł tuż obok.

- Co... - Tylko tyle zdołałem wykrztusić.

- Braciszku - powtórzył. - Jesteśmy irlandzkimi bliźniakami, urodziłeś się niecały rok po mnie. Nasza mama była trochę

nieostrożna. - Wykrzywił twarz w szkaradnie radosnym uśmiechu. - Nie tylko w tym przypadku.

Spróbowałem przełknąć ślinę. Nie zdołałem. Brian, mój brat, mówił dalej.

- Niektórych rzeczy mogę się tylko domyślać. Ale tak się złożyło, że miałem trochę wolnego czasu i kiedy zaproponowano mi, żebym nauczył się pożytecznego zawodu, chętnie skorzystałem. Opanowałem sztukę zdobywania informacji za pomocą komputera. Znalazłem stare policyjne akta. Otóż nasza najdroższa mamusia zadawała się z bardzo niegrzecznymi ludźmi. Z branży importowej, tak samo jak ja. Oczywiście oni importowali towar znacznie... delikatniejszy. - Sięgnął do najbliższego pudła i wyjął garść czapeczek ze skaczącą panterą nad daszkiem. - Mój pochodzi z Tajwanu. Ich pochodził z Kolumbii. Myślę, że mamusia i jej przyjaciele próbowali zorganizować coś na własną rękę, opchnąć towar, który tak naprawdę nie należał do nich. Jej przedsiębiorczość i niezależność nie przypadły do gustu zamorskim kontrahentom, którzy postanowili odwieść ją od tego pomysłu.

Ostrożnie schował czapeczki do pudła. Czuję, że na mnie patrzy, ale nie mogłem nawet odwrócić głowy. Po chwili spojrział w bok.

- Znalaziono nas tutaj - powiedział. - Dokładnie tutaj. - Dotknął ręką miejsca, gdzie dawno temu, w innym kontenerze naturalnie, siedziało inne, małe nie-ja. - Dwa dni później. Po kostki w zakrzepłej krwi. - Miał straszny, skrzekliwy głos, a potworne słowo „krew” wypowiedział dokładnie tak, jak wypowiedziałbym je ja, z pogardą i bezdenną nienawiścią. - Z akt wynika, że było tu również kilku innych. Najprawdopodobniej trzech czy czterech. Jednym z nich mógł być nasz ojciec. Cóż, ciało pocięte piłą łańcuchową trudno zidentyfikować. Ale są niemal pewni, że wśród ofiar była

tylko jedna kobieta. Nasza dobra, kochana mamusia. Miałeś wtedy trzy lata. Ja miałem cztery.

- Ale... - Nie zdołałem powiedzieć nic więcej.

- Taka jest prawda - ciągnął Brian. - Bardzo trudno było cię znaleźć. Dokumenty adopcyjne są w tym stanie ściśle tajne. A jednak znalazłem cię, braciszku, prawda? - Znowu poklepał mnie po rękę. Dziwny zwyczaj, nigdy dotąd u nikogo go nie widziałem. Oczywiście nigdy dotąd nie widziałem też mojego rodzonego brata. Może i ja powinienem zacząć klepać go po rękę, przeciwyczyć ten gest z nim albo z Deborą. I wtedy z lekkim niepokojem zdałem sobie sprawę, że na śmierć zapomniałem o Deborze.

Spojrzałem na nią. Wciąż leżała tam, gdzie przedtem, niecałe dwa metry dalej, mocno przymocowana taśmą do stołu.

- Nic jej nie jest - powiedział Brian. - Nie chciałem zaczynać bez ciebie.

Może to dziwne, że moje pierwsze wewnętrznie spójne pytanie dotyczyło akurat tego, mimo to je zadałem.

- Skąd wiedziałeś, że zechcę? - Zabrzmiało to tak, jakbym naprawdę chciał, tymczasem wcale nie chciałem zgłębiać cielesnych tajemnic Debory. Oczywiście, że nie. Z drugiej jednak strony, mój starszy brat chciał się ze mną bawić, a to rzadka okazja. O wiele, o wiele bardziej niż więzy rodzinne liczyło się to, że był taki sam jak ja. - Nie mogłeś tego wiedzieć. - Nie miałem pojęcia, że umiem mówić tak niepewnym głosem.

- I nie wiedziałem - odparł. - Ale pomyślałem, że to bardzo prawdopodobne. Obydwaj przeżyliśmy to samo. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i podniósł palec. - Wydarzenie traumatyczne. Znasz to określenie? Czytałeś o takich potworach jak my?

- Tak - odrzekłem. - Ale Harry, mój przybrany ojciec, nic mi o tym nie mówił.

Brian zatoczył ręką łuk.

- To zdarzyło się tutaj, mały braciszku. Piła łańcuchowa, fruwające części ciała, krew... - To ostatnie słowo znowu wypowiedział ze straszną emfazą. - Dwa i pół dnia. Cud, że w ogóle przeżyliśmy, prawda? Przez ten czas można by uwierzyć w Boga. - Zabłyły mu oczy i z jakiegoś powodu Debora szarpnęła się nagle na stole, wydając zduszony odgłos. Brian nie zwrócił na nią uwagi. - Miałeś trzy lata i uznano, że z tego wyjdiesz. Ja przekroczyłem limit wiekowy. Ale obydwaj przeżyliśmy uraz po klasycznym wydarzeniu traumatycznym. Potwierdza to cała literatura. Uraz ten sprawił, że jestem tym, kim jestem, i pomyślałem, że w twoim przypadku było podobnie.

- I było - odparłem. - Dokładnie tak samo.

- Jak to miło. Więzy rodzinne.

Spojrzałem na niego. Mój brat. Obce słowo. Gdybym wypowiedział je na głos, na pewno bym się zająknął. Za nic nie mogłem w to uwierzyć, jednak jeszcze większym absurdem byłoby nie wierzyć. Był do mnie podobny fizycznie. Lubiliśmy te same rzeczy. Miał nawet fatalne poczucie humoru, dokładnie tak samo jak ja.

- Sam nie wiem. - Pokręciłem głową. - Po prostu...

- Tak. Trudno przywyknąć do myśli, że jest nas dwóch, prawda? To musi chwilę potrwać.

- Może nawet dłużej - odparłem. - Nie wiem, czy...

- Ojej, czyżbyśmy byli aż tacy delikatni? Po tym, co się stało? Dwa i pół dnia, braciszku. Dwóch małych chłopców, którzy przez dwa i pół dnia siedzieli we krwi.

Omam nie zwymiotowałem. Zatrzepotało mi serce, zawirowało mi w pulsującej bólem głowie.

- Nie - wykrztusiłem, a on położył mi rękę na ramieniu.

- Nieważne - powiedział. - Ważne jest to, co będzie teraz.

- Co będzie... teraz - powtórzyłem.

- Tak, to, co będzie. Teraz. - Wydał krótki, cichy, dziwny odgłos, jakby pociągnął nosem i jednocześnie zagulgotał. Pewnie chciał się roześmiać, ale może nie nauczył się naśladować śmiechu tak dobrze jak ja. - Chyba powinienem powiedzieć coś w rodzaju... Ta chwila jest ukoronowaniem całego mojego życia! - Znowu pociągnął nosem. - Naturalnie żaden z nas nie osiągnąłby tego, gdyby cokolwiek odczuwał. Ale my nie odczuwamy nic, prawda? Żyjemy, grając. Recytujemy wyuczone kwestie i udajemy, że należymy do świata ludzi, nigdy ludźmi nie będąc. I zawsze, przez cały czas, szukamy czegoś, co pozwoliłoby nam czuć, odczuwać! Przez cały czas czekamy na chwilę taką jak ta! Na prawdziwe, nie udawane uczucie! Aż dech w piersi zapiera, prawda?

Rzeczywiście zapierało. Kręciło mi się w głowie i nie miałem odwagi zamknąć oczu, bojąc się tego, co tam na mnie czekało. Co gorsza, mój brat siedział tuż obok, obserwował mnie, żądał, żebym był sobą, potworem takim samym jak on. A żeby być sobą, żeby być jego bratem, tym, kim naprawdę byłem, musiałem... Musiałem co? Moje oczy, same z siebie, spojrzały na Deborę.

- Tak - powiedział i w jego głosie zabrzmiała zimna, radosna furia Mrocznego Pasażera. - Wiedziałem, że na to wpadniesz. Tym razem zrobimy to we dwóch.

Pokręciłem głową, ale chyba bez większego przekonania.

- Nie mogę.

- Musisz - odparł i obydwaj mieliśmy rację. Leciutki jak piórko dotyk na ramieniu, niemal taki sam jak ponaglący dotyk ręki Harry'ego, jak jego silna zachęta: dźwignęła mnie z podłogi i pchnęła naprzód. Jeden krok, drugi - Debora patrzyła mi prosto w oczy, ale w obecności brata nie mogłem jej przecież powiedzieć, że nie zamierzam...

- Razem - ponaglił. - Precz z tym, co było. Powitajmy to, co nowe. Wyżej, dalej, głębiej!

Zrobiłem jeszcze pół kroku. Debora krzyczała na mnie oczami, ale...

Stał przy mnie, stał ze mną i coś błyszczało mu w rękę. Nie, dwa cosie.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Czytałeś *Trzech muszkieterów*? - Podrzucił nóż do góry. Ostrze obróciło się w powietrzu, rękojeść wylądowała na otwartej dłoni. Wyciągnął rękę. Tańczące na klindze słabe światło lamp przybrało na sile, stało się tak jaskrawe, że zaczęło palić mnie żywym ogniem i tylko ogień płonący w jego oczach był silniejszy. - Proszę, braciszku. Ten jest dla ciebie. Pora zaczynać. - Zęby błyszczały mu jak stalowe ostrza.

Debora szarpnęła się, jeszcze mocniej napinając taśmę. Z jej oczu biła gorączkowa niecierpliwość, ale i narastająca złość. Przestań, Dexter. Naprawdę chcesz jej to zrobić? Przetnij taśmę i wracajmy do domu. Dobrze? Dexter? Jesteś tam? To ty, prawda?

No, właśnie. Czy na pewno ja?

- Dexter - powiedział Brian. - Oczywiście nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale odkąd dowiedziałem się, że mam brata o takich samych upodobaniach, nie mogę myśleć o niczym innym. Czujesz to samo co ja, widzę to po twojej twarzy.

- Tak - odparłem, nie odrywając oczu od zatrwożonej twarzy siostry - ale dlaczego to musi być akurat ona.

- A dlaczego nie? Kim ona dla ciebie jest?

Rzeczywiście, kim. Nie była moją prawdziwą siostrą, nie łączyły mnie z nią więzy krwi. Tak, naturalnie, bardzo ją lubiłem, ale...

Ale co? Dlaczego się wahałem? Nie, to niemożliwe. Stwierdziłem, że rzecz jest nie do pomyślenia, gdy tylko zacząłem o tym myśleć. Nie dlatego, że chodziło o Deborę, chociaż to też miało znaczenie. Nie. Moją biedną,

obolałą głowę nawiedziła myśl tak dziwna, że nie mogłem jej odpędzić. Co by powiedział na to Harry?

I stałem tam niepewnie, ponieważ bez względu na to, jak bardzo chciałem zacząć, dobrze wiedziałem, co by powiedział. Mało tego, on już to powiedział. Tak brzmiała jedna z jego niewzruszonych zasad. „Zabijaj i ćwiartuj tylko złych, Dexter. Nie zabijaj siostry”. Ale Harry nie przewidział czegoś takiego, bo niby jak mógł przewidzieć? Kiedy pisał kodeks, do głowy mu nie przyszło, że stanę przed takim wyborem: wziąć stronę Debory – która nie była moją prawdziwą siostrą czy też stronę mojego autentycznego, stuprocentowego brata i zabawić się z nim w coś, co tak bardzo mnie kusilo. Dając mi błogosławieństwo na dalszą drogę, Harry nie mógł tego przewidzieć. Poza tym nie wiedział, że mam brata, który...

Chwileczkę. Proszę nie odkładać słuchawki. Przecież Harry wiedział, przecież tu wtedy był. Prawda? Był tu i zatrzymał to dla siebie. Wszystkie te puste lata, kiedy myślałem, że jestem tylko ja, że oprócz mnie nie ma drugiego takiego – wiedział, że to nieprawda i nic mi nie powiedział. Najważniejsza tajemnica mojego życia – to, że nie jestem sam – a on nie pisał o tym ani słowa. Co mu byłem winien po tej niewiarygodnej zdradzie?

I – à propos sytuacji obecnej i bardziej naglącej – co byłem winien tej wijącej się guli zwierzęcego mięsa, temu stworowi przebranemu za moją siostrę? Jak mogłem porównywać to do więzi z Brianem, moim rodzonym bratem, żywą repliką mojego bezcennego DNA?

Kropla potu z czoła spłynęła Deborze do oka. Deb zamrugnęła, robiąc brzydkie miny, bo chciała mnie widzieć, ale nie mogła. Wyglądała żałośnie, unieruchomiona i szarpiąca się jak głupie zwierzę, jak głupie, ludzkie zwierzę. Zupełnie nie przypominała ani mnie, ani mojego brata. Ani sprytnego,

czyściutkiego, porządnego, nieznoszącego krwi wielbiciela długich, błyszczących noży, ani jego rodzonego braciszka.

- No, więc? - Był zniecierpliwiony i lekko rozczarowany, jakby już mnie osądził.

Zamknąłem oczy. Natychmiast zapadły się ściany, natychmiast pociemniało i przez chwilę byłem jak sparaliżowany. Zobaczyłem mamę. Patrzyła na mnie nieruchomymi oczami. Rozwarłem powieki. Tuż za mną stał mój brat, stał tak blisko, że czułem na szyi jego oddech. A ze stołu patrzyła na mnie siostra. Miała wytrzeszczone, nieruchome oczy, tak samo jak mama. Jej spojrzenie przyciągało jak magnes, zupełnie jak spojrzenie mamy. Zamknąłem oczy - mama. Otworzyłem - Debora.

Wziąłem nóż.

Usłyszałem cichy trzask i do chłodnego kontenera wpadł podmuch ciepłego powietrza. Odwróciłem się.

W drzwiach stała LaGuerta z małym pistoletem w ręku.

- Wiedziałaś, że spróbujesz - powiedziała. - Powinnam zastrzelić was obydwu. Może nawet wszystkich troje. - Zerknęła na Deborę i znowu przeniosła wzrok na mnie. - Ha! - dodała, spoglądając na nóż. - Powinien to zobaczyć sierżant Doakes. Miał co do ciebie rację. - Przesunęła lufę pistoletu i przez chwilę celowała we mnie.

Trwało to może pół sekundy, ale wystarczyło. Brian zaatakował szybko, wprost niewiarygodnie szybko. Mimo to LaGuerta zdążyła wystrzelić i zatoczył się lekko, wbijając jej nóż w brzuch. Stali tak przez chwilę, nagle upadli i znieruchomieli.

Na podłodze zaczęła rozlewać się kałuża krwi, krwi Briana zmieszanej z krwią LaGuerty. Nie była duża i nie rozlała się zbyt daleko, mimo to cofnąłem się bliski paniki. Zrobiłem dwa kroki do tyłu i wpadłem na coś, co wydawało zduszone odgłosy podobne do tych, jakie wydawałem ja.

Debora. Zerwałem jej taśmę z ust.

- Jezu Chryste, co za ból - syknęła. - Szybko, uwolnij mnie i przestań wreszcie świrować.

Podniosłem wzrok. Taśma pozostawiła krwawą obwódkę na jej ustach, czerwoną krew, która przeniosła mnie do przeszłości, do kontenera z mamą. A ona leżała tam dokładnie tak jak mama. Tak jak wtedy, kiedy podmuch chłodnego powietrza podniósł mi włoski na karku, kiedy wokół nas trajkotały mroczne cienie. Dokładnie tak jak wtedy, gdy leżała przywiązana taśmą, wytrzeszczając oczy i czekając jak jakaś...

- Dexter, do cholery! - powiedziała. - Szybciej. Obudź się.

Ale tym razem miałem nóż, a ona wciąż była bezbronna i mogłem jeszcze wszystko zmienić. Mogłem...

- Dexter? - spytała mama.

To znaczy, Debora. Oczywiście, że Debora. Nie mama, która nas tu zostawiła, która zostawiła nas w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło i gdzie mogło się skończyć, bo świecił cudowny księżyc, a pod księżycem na wielkim, czarnym koniu galopowała już żądza, potrzeba, palące muszę-to-zrobić, bo tysiące znajomych głosów szeptało: zrób to. Zrób to teraz. Zrób to i wszystko się zmieni. I będzie tak, jak powinno. Tak jak kiedyś...

- Z mamą? - dokończył ktoś za mnie.

- Przestań, Dexter - powiedziała mama. To znaczy, Debora. Ale nóż już wędrował do góry. - Dexter, do cholery! Przestań się wreszcie wygłupiać! To ja, Debora!

Potrząsnąłem głową i tak, to była Debora, oczywiście, że Debora, mimo to nie mogłem powstrzymać noża.

- Wiem, Deb. Bardzo mi przykro.

Nóż pełził coraz wyżej i wyżej. Mogłem go tylko obserwować, bo za nic bym go już nie powstrzymał. Wciąż czułem delikatny

jak pajęczyna dotyk Harry'ego, który kazał mi uważać i zachowywać się jak należy, lecz dotyk ten był lekki i słaby, a żądza wielka i silna, silniejsza niż kiedykolwiek dotąd, ponieważ to było wszystko, ponieważ to był początek i koniec. I dźwignęła mnie do góry, i wypchnęła z samego siebie, i wrzuciła do tunelu łączącego uwalanego krwią chłopca z ostatnią szansą naprawienia całego zła. Tak, to wszystko odmieni. Odplacę mamie, pokażę jej, co zrobiła, bo powinna była nas uratować, a nie uratowała. Więc tym razem musiało być inaczej, nawet Deb to rozumiała.

- Odłóż nóż, Dexter. - Głos miała jakby spokojniejszy, ale pozostałe głosy przybrały na sile tak bardzo, że prawie jej nie słyszałem. Próbowałem odłożyć nóż, naprawdę próbowałem, lecz zdołałem go jedynie lekko opuścić.

- Przepraszam, Deb, ale nie mogę - odparłem, przekrzykując wycie wzbierającej od dwudziestu pięciu lat burzy. I teraz, niczym dwa czarne, skłębione obłoki na ciemnym księżycowym niebie, mój brat i ja...

- Dexter! - zawołała niedobra mama, która chciała zostawić nas samych w tej zimnej krwi, na co mój głos i głos mojego brata syknął:

- Suka!

Nóż znowu powędrował wyżej. Nóż wziął zamach i...

Jakiś hałas za plecami. LaGuerta? Nie wiedziałem i nic mnie to nie obchodziło. Musiałem to skończyć, musiałem to zrobić, musiałem sprawić, żeby się stało.

- Dexter - powiedziała Debbie. - Jestem twoją siostrą. Nie zrobisz tego. Co by powiedział tato? - To zabolalo, przyznaję, że zabolalo, ale... - Odłóż nóż, Dexter.

Znowu jakiś odgłos, gulgotanie. Zacisnąłem palce na rękojeści noża.

- Uważaj! - krzyknęła Debora i się odwróciłem.

LaGuerta klęczała na jednym kolanie, sapiąc i próbując dźwignąć pistolet, który stał się nagle bardzo ciężki. Powoli, powolutku podnosiła lufę. Najpierw celowała w moją stopę, potem w kolano...

Ale czy miało to jakieś znaczenie? Nie, bo to musiało się zdarzyć, musiało się wypełnić bez względu na wszystko, dlatego chociaż widziałem, jak LaGuerta zaciska palec na spuście, nóż w moim ręku nie zwolnił ani odrobinę.

- Dexter, ona cię zastrzeli! - krzyknęła rozpaczliwie Debora.

Lufa pistoletu celowała w mój pępek i nie ulegało wątpliwości, że zmarszczona z wysiłku i strasznego skupienia LaGuerta chce mnie zabić. Odwróciłem się bokiem do niej, ale nóż wciąż opadał...

- Dex!

- Jesteś dobrym chłopcem, Dex - szepnął mi do ucha Harry i to wystarczyło, żeby ręka znieruchomiała i podniosła się do góry.

- Nie mogę, nie dam rady - odszepnąłem, wrastając w rękojeść drżącego noża.

- Możesz wybierać to, co chcesz zabić. To albo... tych - ciągnął, przesywając mnie bezkresnym błękitem oczu, obserwując mnie oczami Debory, patrząc tak, że nóż powędrował centymetr do góry. - Jest wielu takich, którzy na to zasługują - dodał cicho w coraz głośniejszym i wścieklejszym tłumulcie.

Czubek noża błysnął i zastygł bez ruchu. Mroczny Pasażer nie mógł go pchnąć, Harry odepchnąć. No i plomba. Pat.

Za plecami usłyszałem chrapliwe sapnięcie, ciężki stukot i jęk przesycony tak wielką pustką, że przepelzł mi po ramionach jak jedwabna apaszka na pajęczych nogach. Odwróciłem się.

LaGuerta leżała z pistoletem w wyciągniętym ręku. Przybita do podłogi nożem Briana, z oczami pełnymi bólu zagryzała dolną wargę. Brian kuczał przy niej, patrząc, jak na jej twarz wkrada się strach. Ciężko oddychał i uśmiechał się posępnie.

- Posprzątam, braciszku? - spytał.

- Nie... mogę - odparłem.

Brat zerwał się na równe nogi i stanął przede mną, lekko się chwiejąc.

- Nie możesz? - powtórzył. - Chyba nie znam tych słów. - Wyjął mi nóż z ręki, a ja nie mogłem ani go powstrzymać, ani mu pomóc.

Patrzył na Deborę, lecz jego głos chłostał mnie i ciął widmowe palce Harry'ego na moim ramieniu.

- Musisz, braciszku. Bez dwóch zdań. Nie ma innego wyjścia. - Głośno wciągnął powietrze, zgiął się wpół, powoli się wyprostował, powoli uniósł nóż. - Czy muszę ci przypominać, że najważniejsza jest rodzina?

- Nie - odrzekłem, wciąż słysząc, jak stłoczone wokół mnie rodziny, ta żyjąca i ta już nieżyjąca, krzyczą na mnie, żebym to zrobił i żebym tego nie robił. Wraz z ostatnim szeptem niebieskookiego Harry'ego sprzed lat zaczęła trząść mi się głowa i wówczas powtórzyłem: - Nie. - Tym razem mówiłem serio. - Nie mogę. Nie Deborę.

Brat spojrział na mnie i powiedział:

- Szkoda. Bardzo mnie rozczarowałeś.

Nóż opadł.

Epilog

Wiem, że to prawie ludzka słabość, a może tylko zwykła ckliwość, ale zawsze lubiłem pogrzeby. Są takie czyste, takie porządne, tak całkowicie nastawione na pedantyczny rytuał i ceremonię. A ten pogrzeb był naprawdę bardzo ładny. Na cmentarzu stały rzędy umundurowanych policjantów i policjantek, ludzi poważnych, schludnych, skupionych i uroczystych. Była tradycyjna salwa z karabinów, było staranne składanie flagi, wszystkie te ozdóbki i dodatki - tak, wystawiono stosowne i jakże cudowne przedstawienie dla zmarłej. Cóż, ostatecznie była jedną z nas, kobietą, która służyła wraz z garstką dumnych wybrańców. Zaraz, mówią tak o policji czy o piechocie morskiej? Nieważne. Była policjantką z Miami, a policjanci z Miami umieją organizować pogrzeby dla swoich. Mają w tym dużo wprawy.

- Och, Deboro... - westchnąłem cichutko. Naturalnie wiedziałem, że nie może mnie słyszeć, ale uznałem, że tak trzeba i chciałem zrobić to dobrze.

Niemal żałowałem, że nie mogę uronić i obetrzeć choć paru łez. Byliśmy sobie tak bliscy. No i miała bardzo nieprzyjemną, krwawą śmierć. Bo zginąć z ręki obłąkanego rzeźnika? Nie tak powinien umierać policjant. Pogotowie przyjechało za późno; odeszła, zanim ktokolwiek mógł jej pomóc. Mimo to swoją bezprzykładną odwagą pokazała, jak powinien żyć i umierać policjant. Tu oczywiście cytuję, ale do tego to się mniej więcej sprowadzało. Naprawdę świetna mowa, bardzo wzruszająca, pod warunkiem że ma się w środku coś, co da się wzruszyć. Ja tego naturalnie nie mam, ale kiedy coś takiego

słyszę, od razu wiem, czy jest to prawdziwe, czy nie. Dlatego rozczulony milczącym męstwem policjantów w czyściutkich mundurach oraz łkaniem cywilów nie mogłem się powstrzymać i ciężko westchnąłem.

- Och, Deboro - westchnąłem, tym razem trochę głośniej, niemal z uczuciem. - Droga, kochana Deboro...

- Ciszey, kretynie! - szepnęła i dźgnęła mnie łokciem w bok. W nowiutkim mundurze wyglądała prześlicznie. Awansowali ją w końcu na sierżanta, gdyż przynajmniej w ten sposób mogli podziękować jej za zidentyfikowanie Rzeźnika z Tamiami i za to, że nieomal go schwytała. Wysłano za nim list gończy i nie ulegało wątpliwości, że wcześniej czy później znajdą mojego biednego brata - pod warunkiem oczywiście, że wcześniej on nie znajdzie ich. Ponieważ tak dobitnie przypomniano mi ostatnio o znaczeniu rodziny, miałem nadzieję, że braciszek pozostanie na wolności. I że teraz, już jako pani sierżant, Debora mnie w końcu zrozumie. Bo naprawdę bardzo chciała mi wybaczyć i przekonała się już prawie do mądrości kodeksu Harry'ego. My też byliśmy rodziną i daliśmy temu wyraz, prawda? Zaakceptowanie mnie takim, jakim jestem, nie było ostatecznie aż tak wielkim przełomem. Zważywszy, że jest, jak jest. I jak zawsze było.

Ponownie westchnąłem.

- Cicho! - syknęła, ruchem głowy wskazując koniec szeregu sztywno stojących policjantów. Zerknąłem w tamtą stronę. Łypał na mnie sierżant Doakes. Nie odrywał ode mnie oczu, w trakcie pogrzebu nie zrobił tego ani razu, nawet rzucając garść ziemi na trumnę detektyw LaGuerty. Był pewny, że coś tu nie gra. A ja byłem absolutnie pewny, że kiedyś zacznie mnie tropić, że ruszy za mną jak pies, którym w sumie był, że będzie parskał i prychał, zwęszywszy mój ślad, że po nim pójdzie, że spróbuje osaczyć mnie za to, co zrobiłem i co, oczywiście, jeszcze nieraz zrobię.

Ścisnąłem Deborę za rękę, a drugą ręką wymacałem twardą krawędź szkiełka mikroskopowego w kieszeni, szkiełka z kroplą zaschniętej krwi, która zamiast pójść do grobu wraz z LaGuertą, będzie żyła wiecznie na mojej półce. Bardzo mnie to pocieszało, dlatego nie przeszkadzał mi ani sierżant Doakes, ani to, co myślał czy robił. Jak mógł mi przeszkadzać? Przecież podobnie jak wszyscy inni, on też nie miał wpływu na to, kim był, i nie potrafił nad sobą zapanować. Tak, będzie mnie ścigał. Bo doprawdy, co innego mógł zrobić?

Co możemy zrobić my, wszyscy razem i każdy z nas z osobna? Bezsilni, owładnięci mocą naszych cichutkich głosików, co tak naprawdę możemy zrobić?

Bardzo żałuję, że nie zdołałem uronić ani jednej łzy. To było takie piękne. Piękne jak piękna będzie następna pełnia księżycy, gdy wpadnę odwiedzić sierżanta Doakesa. I wszystko potoczy się tak, jak toczyło się dotąd, jak toczyło się zawsze pod tym urokliwym, jasnym księżycem.

Pod tłustym, cudownym, jakże melodyjnym, czerwonym księżycem.

Podziękowania

Nie napisałbym tej książki bez hojnej pomocy technicznej i duchowej Einsteina i Diakona. Einstein i Diakon reprezentują sobą to, co najlepszew policjantach z Miami i pokazali mi, co to znaczy uprawiać ten ciężki zawód w niebezpiecznym mieście.

Chciałbym również podziękować wszystkim tym, którzy podsunęli mi wiele bardzo cennych sugestii, zwłaszcza mojej żonie, Barclayom, Juliowi S., doktorowi Freundlichowi i jego żonie, Pookie, Bearowi i Tinky.

Jestem głęboko zobowiązany Jasonowi Kaufmanowi za jego mądrość i przenikliwość w tworzeniu tej książki.

Dziękuję również Doris, Damie Ostatniego Śmiechu.

Bardzo szczególnie podziękowania składam Nickowi Ellisonowi, który jest wszystkim tym, czym agent powinien być, a prawie nigdy nie jest.

o książce *Demony Dextera*

Powieść będąca inspiracją do powstania hitowego serialu Dexter!

Jaką mroczną tajemnicę skrywa adoptowany syn policjanta Harry'ego Morgana? Czy przystojny i czarujący analityk z kryminalnego laboratorium w Miami trafi w ręce wymiaru sprawiedliwości?

Dexter Morgan to ceniony pracownik i lubiany kolega, niestety mężczyzna coraz częściej słyszy wewnętrzny głos Mrocznego Pasażera, który każe mu brutalnie zabijać... Kiedy w Miami pojawia się seryjny zabójca prostytutek, Dexter zaczyna rozważać, czy nie powinien sam ukarać tego zwyrodnialca... Oto wydana w 2004 r. pierwsza część cyklu „Dexter”, można ją uznać za oddzielną historię lub czytać bez zachowania kolejności serii. Przed tobą mroczna opowieść, wyróżniona w 2005 r. nagrodą Dilys Award, traktująca o uroczym potworze i kontrowersyjnym mordercy, który zwykł zabijać tylko złych ludzi.

Powieści o Dexterze posłużyły za kanwę scenariusza popularnego serialu z lat 2006-2013 w telewizji Showtime, zaś odtwórca roli głównego bohatera Michael C. Hell otrzymał za nią wiele nagród i nominacji.

Jeśli lubisz powieści sensacyjno-kryminalne z wartką akcją i ciekawie poprowadzonym wątkiem psychologicznym, to pierwszy tom przygód Dextera na pewno ci się spodoba.